

**Isak
Samokovhja
modlitwa za
umarłych i
inne
opowiadania**

Wyboru dokonał, przełożył Alija Dukanović

Kadisz, modlitwa za umarłych

1

Matkę Mika pochowali o zmierzchu, kiedy zaś chłopiec opuszczał cmentarz, wziął go za rękę jakiś stary Żyd. Do swojej gospodyni powiedział, ledwie stanął w drzwiach domu:

— Przeprowadziłem go... Nie można dziecka zostawić na drodze... Sierota... 'Y:\rF--_ -

Kobieta w ostatniej chwili zrezygnowała ze sprzeciwu, jej oczy zaświeciły.

— No dobrze, sinior Judacze.

Urządziła Mikowi sianie obok swoich dzieci, dała kolację. Zasnął twardo, jakby w jego życiu nie zaszła żadna zmiana.

Zrobił się milczący, chodził ze zwieszoną głową.

Później wykryli, że ma „rzucawkę”, pozbyli się go więc, żeby własne dzieci nie żyły w strachu. Był w wielu domach, ale w żadnym go nie chciano. Ponieważ dzieci przed nim uciekały, chował się w ogrodach i na cmentarzach za nagrobkami.

Kiedy nie przygarnął go — nawet za odpowiednią opłatą gp także blacharz Binio, chłopca wydano z rodzinnej kasaby. W ten sposób trafił tutaj, do naszego miasta, i zrosł się z jego zaułkami. Przechodził z rąk do ^jrfTi!^{20*}1 W^khebrajskich, hiszpańskich, greckich i in- §1Sf|S88ll¹ .Pochodzenia orientального zawiera słowni czek zamieszczony na końcu książki

8i^Uu7l^B^n^AJ^r †TM?*** geograficzne i inne znajdują się u dołu odnośnych stronic; odsyła do nich gwiazdka.

rąk niczym lichy pieniądz i z czasem poczerniał jak Cyganiątko. Z samego rana, zimą czy latem, ruszał, żeby obejść mahale i czarszję, nieco przysadzisty, w ubranku z niebieskiego perkalu. Zapinało się z tyłu, dzieci więc _Przez to zapięcie wyciągały mu kolorową koszulę. Swoimi małymi oczkami patrzył, a raczej macał, jak maca niewidomy w słoneczny dzień. Chodził boso, zawsze w dłoniach miał kawałki różnobarwnych szkiełek albo jakieś szmatki, a kiedy go dzieci zaczepiały, wołał przeciągle: „Nie chcę... nieee chcę!” Jego głos przypominał skrzeczenie ptaka. Idąc ręce wysuwał przed siebie i rozczapierzał uniesione do góry palce, jakby się bronił od fruujących w powietrzu plag.

Takiego właśnie Mika znalazła tija Sarucza.

— Co ty mówisz, to wnuk tija Bei? Niech jej Bóg da wszelkie dobro na tamtym świecie! I rzucawkę ma, powiadasz? Co robić, to jest zło, które Bóg zsyła — błogosławione niech będzie Jego imię, Boga naszego! I dlatego trzeba je znosić. Wezmę go dla spokoju duszy swojej i ze względu na jego babcię. Niech jej Bóg da wszelkie dobro na tamtym świecie!

Sarucza poprowadziła chłopca do domu. Wszedłszy na podwórko zatrzymali się u stóp schodów.

— Siadaj tu, kochany, siadaj. Jestem stara i męczy mnie zadyszka, niech odsapnę... te przekłete schody żyć mi nie dają... wpędzą mnie do grobu przed czasem... Siadaj, dziecko kochane, siadaj... Twoja babcia jest moją znajomą... moją serdeczną znajomą. Była akuszerką i dobrą kobietą — niech jej dobrze będzie na tamtym świecie! Babkowała przy moim porodzie, przy jednym dziecku, więcej zresztą nie rodziłam... tak, synku, Bóg chciał... właśnie tak... Ona mnie też leczyła. W połogu dostałam gorączki. Leżałam od trzeciego dnia po Sukocie do ostatnich dni przed Purimem... gdyby nie ona, twoja babcia, zdaje mi się, żebym nie przeżyła ku chwale Bożej. Z pomocą Boga postawiła mnie na nogi. Do rąk dawała jakieś zioła, tak że, kochany, wyzdrowiałam. Tak, wyzdrowiałam... Potem mi zmarło i dziecko, i mój sinior Lijaczo...

Sarucza wybuchnęła płaczem, Miko zaś przysunął jedną nogę do drugiej i obydwie zgiąwszy w kolanach położył na nich dłonie, a na dłoniach czoło. 34

Kiedy w końcu pokonali schody, wprowadziła chłopca do kuchni. Tutaj nożyczkami przycięła mu włosy i wykapałszy go w gorącej wodzie, owiniętego w prześcieradło wprowadziła do izdebki i ułożyła na duszku. Wreszcie przyniosła chleba i sera, żeby zjadł coś na kolację.

Kiedy Miko zasnął, uklękła obok i wpatrzyła się w jego twarz.

— To On, On mi cię przysłał... On, Pan świata... żebyś odmówił kadisz, kiedy mnie wezwie. On, który panuje nad światem, Pan nasz. On cię przysłał, żeby się znalazł ktoś, kto zmówi kadisz za mnie i za mojego sinior Lijacza, a ja będę się tobą opiekowała i chroniła cię od nędzy.

Rozpłakała się przy chłopcu, który spokojnie i smacznie spał, pierwszy raz, być może, od dnia, kiedy zmarła jego matka. Na tepej twarzy i grubych wargach igrał cień uśmiechu.

— Uśmiechnij się, moje dziecko, uśmiechnij się, Bóg każdemu dał sobotę, jego radość, bo go stworzył i obdarzył świętą Torą...

Znów zaszlochała jak wszystkie stare kobiety, które w ten sposób wyrażają i smutek, i owo ciepłe i szlachetne uczucie, jakie czasem przepęlnia ich serce.

Potem wstała i otworzywszy stary kufer o wypukłej pokrywie wyjęła z niego niewielkie zawiniątko. W ciszy dał się słyszeć miękki brzęk złotych tureckich dukatów.

— Sarucza rozmieni jeden, żeby ci kupić szatki, synku mój—powiedziała uroczyście i odczyniwszy złe uroki, na czole Mika położyła złoty krążek, a następnie kilka razy przesunęła nim po policzku.

W pewnej chwili przypomniała sobie, że chłopiec, kiedy wchodził do domu, nie pocałował mezuzy. Podeszła więc do drzwi, do małego czworokątnego kawałka szkła przytknęła dwa palce i zaraz potem je uniosła i pocałowała. Z kolei wpatrzyła się w święte słowa na mezuzie, ponieważ jednak znajdowały się w cieniu i były niewidoczne, poszła po świecę. Trzymając świecę w jednej dłoni, długo patrzyła na mezuzę. Wreszcie znowu położyła na niej dwa palce. Oderwawszy je po chwili i szybko przemierzwszy pokój uklękła przy Miku i przyłożyła palce do jego warg. Chłopiec się szarpnął, wyseplenił owo

swoje przeciągle „Nieee chcę...” i zaczął spod kołdry wysuwać ręce.

— Los malachim ke lo gwarden... niech go aniołowie strzegą — wyszeptła jak modlitwę i zaraz potem sama ułożyła się do spoczynku.

Sarucza dużo wycierpiała.

Kiedy została wdową, zmuszona była żyć nawet z jałmużny. Później pomogli jej jacyś dobrzy ludzie, zaczęła pracować, tak że w końcu do jej imienia przyłgął przydomek „La trgovka” *. Krążąc po mieście sprzedawała perkal, jedwab, chustki na głowę, szale i tak zarabiała na chleb, a bodaj i coś niecoś odkładała na starość. Nawet teraz zajmowała się handlem domokrażnym. Oddawszy mu się, pogodziła się jakby z losem, że do końca życia będzie chodzić od podwórka do podwórka, od zaułka do zaułka, że — taka ciężka i gruba — będzie się przeciskać przez furtki i proponować po mużułmańskich i żydowskich domach towar tanio, ale za gotówkę. Nigdy zaś nie opuszczała jej myśl o śmierci, truchłała więc, kiedy zaczynało ją ścisnąć w piersiach, kiedy dobywały się z nich chrapliwe świsty. Dlatego się tak ucieszyła, gdy znalazła Mika. Będzie miała kogoś przy sobie, nie będzie sama po nocach i... kadisz, kadisz... modlitwę przeczyta...

Kiedy zmarł jej mąż sinior Lijaczo, największym smutkiem przejęło ją to, że nie było nikogo, kto na jego intencję przeczytałby kadisz. Wszystko dla niego zrobiłam, ale, cóż, Bóg nie pozwolił mi zrobić najważniejszego — mówiła. Zmarło jej pierwsze dziecko, a potem już nie powiła ani chłopca, ani dziewczynki. Radziła się hodźów, rabina, zapisywali jej lekarstwa, piła zioła, które ludzie polecali, jeździła nawet do Priboju**, do wód, ale wszystko było na nic. Nie mogła rodzić. Nie kryła się jednak z tą wadą, gdy więc zmarł sinior Lijaczo, nikt jej nie chciał, choć nie miała jeszcze czterdziestu lat.

e

Kiedy rano wstała i cicho, żeby nie obudzić Mika, wyszła do kuchni, otworzyła okno i spojrzała na zbiegające w dół ogrody. Chciała zobaczyć kogoś z sąsiadów, do kogoś się odezwać, choć słowem, ktokolwiek by to był, kto się pierwszy ukaże w oknie lub na którejś z drewnianych chwiejących się werand. Ale było za wcześnie. Dopiero co zapały koguty, zuchwale, wyzywająco, a przez gałęzie śliw i pigw, których liście były jeszcze wilgotne od rosy, przesuwała się biała, rzadka mgła. Nad Żutą Tabiją* zaś wstawała poranna zorza. Sarucza spostrzegła, że powietrze jest świeże. Czymś pachniało, jakimiś ziołami, kwiatami, lewkonią, dynią... próbowała sobie przypomnieć czym. Przyszły jej na pamięć dawno minione czasy, z piersi wyrwało się głębokie westchnienie. W tej samej chwili poczuła, że coś ciepłego i miękkiego muska jej gołe nogi. Gdy się pochyliła, czerwona na twarzy, na jej ręce skoczyła, mrucząc, burza kotka.

Wzięła ją w ramiona i położyła twarz na puszystym futerku.

2

Miko zaś rósł milkliwy i chorowity.

Z początku w domu Saruczy wszystko ożyło. Z kątów znikły pajęczyny. W oknie zapachniały dwie doniczki z młodą rutą. Tepsijki do pastelu, oddane kotlarzowi do pobielenia, wróciły od niego jak nowe. W piątki Sarucza wstawała wcześniej i przez cały dzień przygotowywała się do świętego sabatu. Roboty kończyła dopiero przed wieczorem. Wyszorowała Mika tanim, ale pachnącym mydłem, wkładała na niego świeżo wypraną bieliznę, sobotnie odzienie i odnowiony fez. Sama też się przebierała, nakrycie głowy zaś przewiązywała jedwabną chustą. Wreszcie zapaliwszy kaganek zstępowała z chłopcem na sam dół schodów, aby tu czekać na rubi Jaka.

Stary rubi przychodził w każdy piątek wieczorem prosto ze świątyni, aby w domu wdowy odmówić kidusz.

W swoim dzubecie z wyblakłego zielonego sukna wydawał się wyższy i szczuplejszy, niż był w istocie. Nieśpiesznie wstępował schodami na górę, nucąc którąś z sobotnich świętych pieśni. Kiedy Sarucza całowała go w rękę, błogosławił jej w sposób, w jaki czynili to wielcy rabiowie i słynni szaliachowie: powoli kładł rękę na nakryciu głowy kobiety, przymykał niebieskie oczy, marszczył czoło, wreszcie, odrzuciwszy głowę do tyłu, głośno wypowiadał hebrajskie słowa błogosławieństwa.

Po kiduszu odchodził, poważny i tajemniczy, Saruczy się więc zdawało, że w jej domu był jakiś święty albo legendarny Elijau-i-Nawi*. Długo patrzyła za nim, a i potem jego niebieskie oczy o białych rzęsach, twarz poorana zmarszczkami w obramowaniu białej brody i wystających spod fezu kręconych pejsów czas jakiś stały przed jej oczami.

— Miko mój, rubi Jako z łatwością nauczy cię czytać, z łatwością, synku — mówiła do chłopca otrząsając się z zamyślenia, a następnie pozdrawiała go: — Szabat szalom, Miko!

Chłopiec podchodził do Saruczy i, pocałowawszy ją w rękę, siadał obok niej na minderze. Jadł kolację milcząc, podczas gdy ona opowiadała, jak to będzie cudownie, kiedy nauczy się czytać modlitwy, odmawiać kidusz i śpiewać pieśni Dawidowe.

— Będiesz się uczył, Miko?

— Będę — odpowiadał mocząc nieśmiało kęsy chleba w zupie rybnej.

Po kolacji Sarucza słała duszki, a Miko, wydobywszy z kieszeni swoje szkiełka, zaczynał przez nie patrzeć w kaganek.

— Uu, uu, tija, czerwone, czerwone! Patrz, patrz! Uu, uu, zielone, zielone... żółte, żółte, uu, uu...

Rubi Jako zaczął przychodzić każdego dnia. Przynosił ze sobą cienką książczynę, Miko więc rozpoczął naukę alfabetu. Siadali u stóp schodów — Sarucza wcześniej wracała z miasta — i rubi, kołysząc się razem z chłopcem, mówił: — Alef — skrzydła, bet — usta, gimal — ząb, dalet — młotek, i tak po kolei, aż do ostatniej litery, do tafa — kulawej nogi.* Potem powtarzali wszystko od nowa, wiele razy, do utraty przytomności, dopóki na górze nie dało się słyszeć brzękanie filiżanek i dżewzy: to Sarucza szykowała się, żeby zejść na dół z kawą.

Wtedy rubi Jako wydobywał chustkę i ocierając usta, wąsy i brodę, mówił:

— Dziecko, na dziś starczy. Ucałuj książkę i powiedz: Amen!

Miko zamykał książeczkę i położywszy ją obok siebie brał na kolana kotkę. Kręciło mu się w głowie. Niby z jakichś ciemności wyłaniały się wszystkie owe hebrajskie litery, duże i kanciaste, a także ich symbole; w swoistej płataninie skrzydeł, ust, młotków, grubych i cienkich linii, kropek i kantów zatracala się świadomość chłopca. Jego głowa poruszała się miarowo w górę i dół, podczas gdy w uszach rozbrzmiewało: alef, bet, gimal, dalet... W końcu robił się senny.

Jak mi się wydaje? Wiesz, dobra kobieto, po pierwsze, nasz zakon** jest trudny, niełatwo nauczyć się czytać nasze święte słowa. A Miko? Bóg jest wielki. Niektórym głowom Bóg dał wiele, dużo, każdej jednak dał choć trochę, a więc i Mikowi. Kapkę dziś, kapkę jutro, i Miko się czegoś nauczy. Coś niecoś utkwi w jego głowie. Coś niecoś, bo przecież my też nie wiemy wiele. Co my inni wiemy, dobra kobieto? Zaledwie tyle, żebyśmy mogli przeczuć, jak głęboka i wielka jest nasza święta Tora. — Tak mówił rubi Jako.

Miko jednak robił słabe postępy, a jednocześnie mizerniał.

Schudł i był bladej. Przez cały dzień chodził po podwórku i wspinając się na słupy w ogrodzeniu patrzył na sąsiednie sady. Kiedy w porze icindii słyszał kroki Saruczy, głucho zeszkakiwał przed zamkniętą furtkę i zaczynał, niecierpliwiąc się, przestępować z nogi na nogę.

— Wyjdę trochę na zaulek, tylko trochę, tija, kochana tija, tylko trochę...

Samcza brała go za rękę i prowadziła do pierwszych stopni schodów.

— Miko, synku, zaczekaj, przyniosłam ci coś... Za każdym razem wydobywała z torby lokum albo lizak, albo jakiś owoc, Miko więc zaczynał to jeść lub lizać. Cmokając językiem przesuwiał cukrową masę i od czasu do czasu mówił półprzytomnie, jak we śnie:

— Na zaulek... na zaulek...

Pewnego dnia zniknął z podwórka. Bura kotka szukała go po całym domu, a kiedy zauważyła oderwane okno, skoczyła na parapet i parę razy zamiaucała. Potem wróciła i położyła się w nasłonecznionym miejscu, żeby czekać na swoją panią.

Sarucza straciła głowę, gdy się przekonała, że Mika nie ma w domu. Załamywała ręce, chodziła do sąsiadów, wreszcie, zmęczona i zdyszana, usiadła i zaczęła płakać.

Przed samym zmrokiem Jak bezcielesna zjawa, jak cień wszedł Miko na podwórze. Kotka zeskoczyła z kolan Saruczy, która gwałtownie się wstrząsnęła.

— Miko... ach, niedobry Miko... Biada mnie grzesznej... gdzieś był?

On tymczasem, cicho idąc przez podwórze, powoli, powoli niósł fez pełen szkiełek, jakby niósł szklanke wody, i mówił:

— Czerwone, czerwone... uu, uu... żółte, żółte... uu, uu... tija... tija... czerwone...

W zimie Sarucza się rozchorowała. Świszczało jej w piersiach, jęczała:

— Umrę, a ty się nie słuchasz, nie uczysz się, jeszcze nawet kadiszu nie umiesz... ach, jaka ja grzeszna...

Przecież doszedłeś do siebie i jesteś już duży. Przez całe lato płaciłam rubi Jakowi... a ty się gdzieś wałaszasz... Boże, Panie świata, umrę, umrę...

Dusiła się kaszląc. Obok niej siedział Miko jak pokutnik i opuściwszy głowę na kolana, po cichu, przeciągając, powoli mówił: aaalef... beebet... giiimal... daaa- let... Zdawało mu się, że odmawia największą modlitwę na intencję wyzdrowienia tija Saruczy.

Przez cały czas jej choroby siadywał u podnóża .schodów, spod pachy wyciągał książeczkę i głośno wymawiał 40

hebrajskie litery. Od czasu do czasu, unosząc głowę ku niebu, głęboko wzdychał. Wieczorem, kiedy Sarucza znów zaczynała wydawać jęki, stękać i krztusić się kaszlem, przysuwał się do niej, aby się po jakimś czasie odezwać z wahaniem:

— Tija, nie bójcie się... nie bójcie się, tija, nie umrzecie... — Potem dalej szeptał swoją modlitwę: — Aaalef, beebet, giiimal, daaalet...

Sarucza kilka razy wracała do zdrowia.

Tak toczyło się ich życie, aż przyszło i drugie lato, kiedy Miko zupełnie się rozpuścił. Nie przychodził do domu przez cały dzień. Sarucza przeszukiwała czar- sziję, wypytywała o niego, z trudem go odnajdywała. Zazwyczaj siedział na skraju drogi i patrzył, jak się dzieci kąpią w Miljacce. Zakurzony, okryty potem, uderzał kamieniem o ziemię albo się gapił na rzekę. Inne dzieci krzyczały, piszcząc oblewały się wodą, ze skalnych występów rzucały się do głębszych miejsc, pływały i nurkowały, a te, które się nie potrafiły utrzymać na powierzchni, nadmuchiwały mokre kalesony i ostrożnie opuszczając się na falę płynęły jak duże kolorowe pęcherze.

— Biada mi, biada grzesznej, co z ciebie będzie! Po co cię wzięłam do siebie? Boże ty mój, Boże! Przecież nie jesteś już dzieckiem... nie jesteś... — karciała go Sarucza, zasapana i pod szalem cała spocona.

Prowadząc go do domu po drodze kupowała mu stambulskich orzeszków, a następnie, siedząc u stóp schodów i głaszcząc go, mówiła pieszczotliwie:

— Miko, kochany, czas najwyższy, żebyś się poprawił. Uraduj mnie biedną i smutną, przejrzyj wreszcie na oczy, uznaj cię za swojego, żebyś drugi raz nie został sierotą, żeby przynajmniej teraz było wiadomo, że miałeś matkę... No, Miko, dziecko kochane, przejrzyj i popatrz mi w oczy. Proszę, wszystko będzie twoje, Bóg mi to dał, a mnie niech tylko lekką śmierć ześle... Słyszysz, Miko, wszystko, co po mnie zostanie, będzie twoje, dom, podwórze, kufer i to, co w nim jest, a jest, kochany, niemało, tak, niemało, będziesz mógł sklep otworzyć... Czy ty mnie słyszysz, Miko?...

Miko siedział obok niej. Jedną ręką gładził kotkę, a drugą w kieszeni przebierał kawałki szkła.

— Ja wcześniej umrę, ja wcześniej!

— A niech Bóg broni! — jęknęła Sarucza i wstała. — Niech Bóg broni!... No, widzisz, Miko, wraca w ciebie życie, wraca...

Wzięła dłoń chłopca, zaczęła go głaskać: — Nie umrzesz, nie umrzesz, da Bóg, że ku mojej radości zupełnie wyzdrowiejesz, tak, zupełnie, i do żeniaczki dorośniesz... A tija Sterlucza ma córkę Zimbulę, tak, synku, to nic, że jest zezowata, będzie z niej dziewczyna, jaka była z jej matki. Masz się ożenić, właśnie tutaj mają przychodzić na świat twoje dzieci, pierwszy powinien się urodzić chłopiec. A kiedy będziesz go polecał naszemu Panu, to to moje domisko i podwórze powinny rozbrzmiewać śpiewem i defami. Ty, Miko, masz długo żyć i za mnie mówić kadis... kadis... Za mnie i za mojego sinior Lijacza.

Ujęła w dłonie głowę chłopca, pocałowała go w czoło. Zakrztusił się z jakiegoś uniesienia, uśmiechnąwszy się otworzył usta i parę razy dziwnie sapnął. W chwilę później wstrząsnął się, poruszył nogą, zacisnął pięści, wyrócił oczy, że widać w nich było białka, i zwaliwszy się na podłogę nieprzytomny, zaczął się miotać w konwulsjach i bólu. Zawsze kiedy doznawał silnej radości, dostawał ataku „rzucawki”.

Na jakiś czas się poprawił, nie uciekał z domu, aż pewnego dnia znowu zniknął. Błądził po mahalach, zapuszczał się nawet na muzułmańskie cmentarze. Wracał do domu po ciemku, skradając się, nocował pod schodami, aby wczesnym świtem znów się ulotnić. Zdarzało się, że muzułmańskie dzieci obrzucały go kamieniami, wracał więc do domu pokrwawiony i stawał przed tija Saruczą z pochyloną głową, tak jak pokutnik. Sarucza ostatecznie straciła nadzieję, że coś z niego będzie. A ponieważ trochę go ganiła i besztala, był z tego niezadowolony i znów porzucał dom.

Zbierano właśnie śliwki i smażyono powidła, kiedy wśród Żydów rozniosła się wiadomość, że epileptyk Miko jest w nowym szpitalu, który za sadami śliwkowymi Mustaj- -beja zbudowali Austriacy*. Pobiegli zaraz do tija Saruczy, żeby ją o tym zawiadomić, ale ona, biedna, sama była w łóżku. Nogi miała spuchnięte jak słupy.

— Biada mi — zaczęła lamentować — biada mi, teraz się i to musiało na mnie grzeszną zwalić!

Całego sechsera** dawała kobiecie, która ją pielęgnowała, żeby odwiedziła Mika i dowiedziała się, co mu jest, ale młoda osoba odmówiła, przerażona, a nawet obrażona, że Saruczy coś takiego w ogóle mogło przyjść do głowy.

— Dziwię się, naprawdę, że to właśnie wy mi to mówicie, tija Saruczo! Jak, na Boga, kobieta może chodzić tam, aż tam, za miasto, do tego, jak mu tam... szpitala... Niech Bóg uchroni!...

Tak się w czarszii zajęto losem Mika. Był to pierwszy Sefardyjczyk, który znalazł się w sarajewskiej lecznicy. Przełożony Hewra Kadiszy postanowił, że samas każdego dnia będzie chodził i dowiadywał się, czy Spaniol Miko Pardo, epileptyk, zmarł. Trzeba go pochować wedle zakonu, a cóż o tym wiedzą tamci na wzgórzu... Szwabi.

— Wedle zakonu trzeba go pochować od razu, ledwie się dusza odłączy od ciała. A oni gotowi trzymać zmarłego i dwa, trzy dni. Nie daj Boże, by się to przydarzyło żydowi, choćby nim był epileptyk Miko.

Tak zdecydowano, samas więc każdego dnia wystawał przed żelazną kratą szpitalnej bramy. Ludzie wchodzili i wychodzili, a samas się kręcił, dopóki strażnik nie zapytał, czego sobie życzy. , — Czy umarł tamten... Pardo... Miko... Żyd, Spaniol... chory na padaczkę. Samas za każdym razem wracał z nowymi wiadomo-

ściami: Mika zamknęli w tamtym domu, w którym odrzynają nogi, otwierają brzuch, wyjmują oczy... Wyrażano przypuszczenie, że Mikowi też ucięli kawał jelita i otworzyli głowę, aby zobaczyć, skąd u niego „rzucawka”. Jedni opowiadali, że ukąsił go wąż na mużułmańskim cmentarzu opodal Sedrenika, odrąbali mu więc nogę pod samym kolaniem...

Przy końcu tego lata bura kotka była sama na dole, u podnóża schodów. Na górze Sarucza jęczała, a na podwórzu przygrzewało jeszcze słońce, kotka więc mogła tu w południe, w gorącu, rozkosznie się przeciągać. Wykręciwszy się na bok i wyciągnawszy łapy, mrużyła złoto-zielone ślepia, w których ledwie, ledwie, na kształt cienkich kresek, widniały czarne źrenice. Wypukły brzuch wznosił się i opadał, a wśród porastających go szarych delikatnych włosków różowiły się niewielkie brodawki. Gdy zaskrzypiała furtka, kotka leniwie obróciła ku niej wzrok. W tej samej chwili porwała się na nogi i jakby się zbliżał do niej pies, nastroszyła się.

Tymczasem był to Miko. Duży, o świecących oczach, z jakimś dziwnym uśmiechem na twarzy. IGedy zapukał do drzwi i wszedł do pokoju, Sarucza o mało nie zemdląła. Zbliżył się do łóżka, wyrośnięty, chudy, i pocałował ją w rękę. Przyglądała mu się: Jakże się zmienił! Skóra jego stała się biała, spojrzenie otwarte, wargi wąskie. Miał na sobie jakieś żółtawe cienkie ubranie, a na nogach półbuty z czerwonymi sznurowadłami.

Sarucza, kiedy oprzytomniała, wybuchnęła płaczem. Głaskała go po twarzy i głowie.

— Miko mój, kochany... Miko... widzisz, do czego mnie doprowadziłeś... Popatrz... — i odsłoniła nogi.

Ukazały się dwie niezwykle zniekształcone spuchnięte kończyny — blade, wodniste, zimne, o trupim lśnieniu.

— Wszystko będzie dobrze, tija Saruczo, wszystko, nie martw się! O, pomacaj tutaj... tutaj mnie trafili kamieniem... Turcy*... Na górze, obok drewnianego meczetu... Bęc, uderzył kamień, a kiedy się obudziłem, leżałem na łóżku. Głowę całą miałem w bawelninie... Teraz się czuję dobrze, jakoś mi lekko, jakby coś z głowy uszło... Tak, tija, teraz wszystko będzie dobrze... wszystko...

Usiadł koło Saruczy i zapłakał. Pieściła go, kiedy się zaś wyzaliła do syta, zaszepotała:

— Miko, czy odmówisz kadisza, kiedy umrę... umiesz jeszcze?... Odmówisz?

— Odmówię... — powiedział zdławionym głosem, przez płacz.

Sarucza się trochę podźwignęła.

— No, synku mój, podnieś się, otwórz stary kufer, oto klucze... Na dole, na samym dnie, jest książka... wyciągnij ją, synku...

Kiedy Miko podał jej książkę, wzięła ją w obydwie dłonie, podniosła do ust, ucałowała. Długo przesuwiała ręką po ciemnoczerwonych aksamitnych okładkach, okutych srebrem, a potem mu ją zwróciła.

— Weź ją, Miko, to mojego sinior Lijacza... Żebyś był dobrym Żydem, żebyś się modlił do naszego Boga i żył ku jego chwale...

Miko pocałował Saruczę w rękę, a ona się rozplakała.

Od tego dnia nie oddalał się od domu. Chodził koło chorej, zaparzał jej kawę, przesuwiał spuchnięte nogi, robił okłady na głowę, od sąsiadek zaś przynosił zupę i przygotowywał wywary z ziółek. Siedząc przy łóżku całymi nocami czytał modlitewnik, sylabizował hebrajskie słowa, a śpiewając po cichu, wydłużał końcówki wyrazów i przewracał oczami.

Kiedy tija Sarucza zaczęła sinieć, kobiety z trudem usunęły go z pokoju, żeby nie widział, jak kona. Smutny, blady, niewyspany i głodny, z książką pod pachą, z pochylonymi plecami, stanął przy drzwiach. Wewnątrz słychać było rżenie, jakby się ktoś dusił, dławił. Zaczął dygotać, oderwał się jednak od drzwi, a choć nogi ugiwały mu się w kolanach, jakoś się z piętra zwałók na dół.

Zatrzymał się na ostatnich stopniach schodów. Wieczorne słońce oblało go różowym blaskiem i ciepłem. Nagle wstrząsnął się jak w gorączce. Przez chwilę nasłuchiwał, czy z góry, z pokoju, dochodzą jakieś głosy, a potem się odwrócił i zapatrzył w niebo.

Cudowny, rumiany blask przenikał do jego oczu i wpły-

wał przez nie do wnętrza jak do jakiejś przepaści bez dna, a gdy za jaką chwilę, dwie dosięgnął szczytu, na twarzy chłopca wykwitły wielkie czerwone plamy. Wtedy otworzył modlitewnik o aksamitnych okładkach i odszukawszy znane miejsce, zaczął czytać kadisz, modlitwę za umarłych.

Czytał głośno, słowo po słowie, przeciągając, z jakimś dziwnym przyśpiewem, w niezwykłym uniesieniu. Oczy na przemian zamykał i otwierał, podnosił się na palcach i opuszczał. Tymczasem jego policzki mocno się zaczerwieniły, a w kącikach ust ukazała się biaława piana. Drżał na całym ciele.

Przez furtkę wchodzili różni ludzie, żydzi i muzułmanie, i patrzyli na Mika jak na jakieś nieziemskie stworzenie. Jego głos, smutny i uroczysty, rozbrzmiewał i znikał gdzieś daleko w ciszy rumianego wieczora. — ...Amen... je... e... szeme raba... Śpiewał tak, dopóki nie dokończył modlitwy. Wtedy zapanował całkowity spokój. Tylko jedna puszysta ćma pomarańczowym skrzydełkiem uderzała o biały mur. Miko zamknął książkę, pocałował ją, uniósłszy się na palcach wyciągnął ręce do góry i tak zastygł. Potem, jakby się rozdarł, rozłamał na czworo — zwałił się u stóp schodów. Podbiegli jacyś ludzie. Niektórzy radzili, żeby mu do dłoni wcisnąć klucz. Avd-aga, piekarz, który na rogu w Pehlivanuszy wypiekał miękkie jak wata chlebki, przykucnął i chwyciwszy rękę chłopca wymacał tętno.

— Nie, dalibóg, to nie rzucawka. Klucz nie jest potrzebny! To koniec, tętno się urwało. Udar, ciężki udar — powiedział Avd-aga i opuściwszy martwą rękę wykrztusił:—Allah rachmetejle! Niech się Bóg nad nim zmiłuje!

Przykryli Mika białym prześcieradłem. W tej samej chwili na górze otworzyły się drzwi i jakaś kobieta do zebranych na podwórzu powiedziała przytłumionym głosem:

— Powiedzcie, żeby wylali wodę. Tija Sarucza poszła do żywych. Niech Bóg będzie dla niej miłościwy!

Na wiosnę rozwleczono wszystko, co było w domu tija Saruczy. Do furtki więc przytwierdzono nową kłódkę. 46

W starym domostwie nieboszczki zaległa cisza. Tylko przez podziurawiony dach przenikały promienie słońca i na belkach mrocznego strychu lśniły niewielkie krążki jak złote dukaty. Wszystkie drzwi były otwarte na oścież. Kiedy niekiedy stare sosnowe bierwiona wydawały suchy trzask. Na dole, w głębi schodów, w słońcu wygrzewała się bura kotka. Ze strychu przeniosła w zębach, po jednym, swoje małe. Ułożywszy się na boku mrugała ślepiami. Każdej brodawki czepiało się jedno puszyste kocię. Było południe.

Podczas gdy gdzieś w ogrodach, które zdążyły się już okryć białym kwieciami, zawodziła harmonia, w dolnej części miasta, na nowej katedrze*, wybijała godzina dwunasta: Din-don, din-don...

Bim-bam, bim-bam... — tajemniczo odpowiadało echo w domu tija Saruczy.

W oknie, w nadpękniętej doniczce, pomiędzy zeschniętych łądyżek, wybijały, się wiotkie listki ruty. Ludzie, którzy mieli wrażliwe powonienie, przechodząc obok domu tija Saruczy, także po mocnym zapachu tej roślinki mogli poznać, że jest wiosna.

Simcha

Opowieść o radościach

1

Był piątek.

Na zasnutę pajęczyną okno niewielkiego warsztatu szewskiego na ulicy Limarskiej* padło — po raz pierwszy w tym roku — parę promieni wczesnowiosennego słońca.

Wewnątrz, przy niskim stoliku, na wyścielanej skrzyni siedział wdowiec Rafael Maczoro. Pochylony i całkowicie zaabsorbowany pracą, nawet nie zauważył, że do warsztatu weszło słońce.

Zresztą nie zauważyłby tego i każdego innego dnia: zawsze cały oddawał się robocie. Co prawda tym razem miał powód, żeby pracować z większą sumiennością niż zazwyczaj, przyszywał bowiem łątę do buta swojego sąsiada, blacharza Santa. Tego sinior Santa (warsztaty ich prawie przytykały do siebie — 7 oddzielała je tylko wąska przestrzeń, którą szło się do jakiegoś starego zaniedbanego ogrodu)—otóż sinior Santa Rafael bardzo szanował. Często zachodził do jego zakładu i chętnie z nim gawędził. Bardzo się też cieszył, kiedy otrzymywał od niego jakąś robotę, zabierał się więc do niej ze szczególną przyjemnością. Tak było i tego dnia.

Pracował w zapamiętaniu. Zrećźnie i uważnie sztyłem robił dziurki, przewlekał przez nie długą ostrą igłę, a następnie z całej siły przyciągał do siebie nawoskowaną, mocną nić.

Nanizując szwy, drobne, gęste, coraz to chwytął młotek i obstukiwał obrzeża podłużnej łąty; od czasu do czasu podnosił też but prawie do czubka nosa i oglądał to, co zrobił. Starał się ze wszystkich sił, żeby robota wypadła jak najlepiej. Chciał sinior Santowi sprawić przyjemność, chciał, żeby go — kiedy się przekona, że but został naprawiony po mistrzowsku — poklepał po ramieniu i powiedział: „Dobrzeście to zrobili, sinior Rafaelu, dobrze! Proszę, usiądźcie na chwilę, wypijemy razem kawę, wypalimy papierosa i co jest jeszcze ważniejsze i pożyteczniejsze, trochę rozprostujemy nasze zgarbione plecy. Jesteśmy niewolnikami pracy. Stukamy od rana do wieczora, męczymy się. Bo musimy. Trzeba zarobić na obiad i kolację, a blacha jest droga i skóra droga. Siadajcie, sinior Rafaelu! Naprawdę, świetnieście je zre- perowali, łąty przyszyliście jak prawdziwy mistrz.”

Rafael zawczasu cieszył się na tę pochwałę. Już teraz błyszcząły mu oczy.

Takimi to drobnymi, skromnymi radościami żył ten szewc, smutny wdowiec, którego los doświadczał w swoisty sposób, człowiek nieszczęśliwy, bity ze wszystkich stron, wystraszony, zamknięty w sobie, snujący jakieś tam marzenia i czegoś tam pragnący, lecz zawsze biedny, jakby się bieda prawie wyłącznie jego uczepiła i tylko dlatego, że nie miała kogo innego, do kogo mogłaby przyłąć.

Kiedy wykończył łątę i z zadowoleniem postawił but obok siebie, decydował się przez chwilę, czy się od razu zabrać do drugiego (na nim trzeba było, oprócz łąty, wykonać i inne naprawy), czy też powinien najpierw pozamiatać w warsztacie. Rzucił spojrzenie, aby sprawdzić, czy woda, którą wcześniej skropił podłogę, dobrze wsiąkła. Dopiero teraz dostrzegł na podłodze jasne plamy i promienie słońca, które przenikały przez niewielkie szyby w oknie.

Ucieszył się niezwykle z tego żywego światła. Proszę, i do jego warsztatu weszło słońce! Zrobiło mu się ciepło wokół serca, bez mrugnięcia więc patrzył na świetliste plamy. Kiedy zobaczył, jak nad nimi unosi się zwiewna mgielka, którą wyparowywały mokre deski, wyprostował się i sięgnawszy po pudełko skręcił papierosa.

Palił tego papierosa ze szczególną przyjemnością i — jakby nie miał nic do roboty — spokojnie obserwował mieniące się, migoczące nikłe cząsteczki kurzu w strudze słońca, która zawisła między szybami w oknie a plamami na podłodze. Patrzył, jak dym wnika w skrzącą się strugę, jak się w niej rozświetla i jak niespodziewanie, zmieniając kolor, ukazuje się oczom w postaci niebieskawej i srebrzystej, jako coś, co zaczęło oddychać nowym, pogodniejszym życiem.

W czasie gdy tak obserwował igraszki słonecznego światła, budziły się w nim wspomnienia z dawno minionych dni jego młodości. Były to drobne przeżycia, dla niego jednak i przyjemne, i pogodne, cisnęły się zaś do jego świadomości to pojedynczo, to znów całymi rojami, jak świecące cudowne skry.

Powoli wyodrębniło się spośród nich coraz silniej jedno wspomnienie i odżywało coraz wyraźniej, ze wszystkimi szczegółami.

Przez dym papierosa — dym, który w sieci promieni słonecznych dziwnie się odkształcał — Rafael patrzył na barwny, żywy obraz, jaki mu się ukazywał.

Wieczór... Dzień piątkowy... Niewielkie podwórce... Kocie łby pozamiatane i obmyte... Wszystkie prace zostały zakończone, wszystko było gotowe do powitania świętej soboty... Ojciec poszedł już do świątyni. On, Rafael, stał jeszcze w pokoju... Był wykąpany, w czystej koszuli, w sobotnim ubraniu... Matka dolewała oliwy do kaganka, poprawiała knoty... Z kuchni dochodził zapach sobotniego jedzenia, które pykało na małym ogniu... Niewielki pokój i przyległa do niego spiżarnia, kuchnia i podwórce tchnęły niecodzienną schłodnością i pięknem... Jak gdyby najdrobniejsza nawet rzecz została starannie umyta... Na podłodze, ścianach, przedmiotach — jasne, słoneczne plamy... A słońce, gdzieś tam w oddali, czerwone i spokojne, gotowało się do zajścia za góry... Patrzył, obracał się i (choć i on powinien już być udać się do świątyni) w żaden sposób nie mógł ruszyć z miejsca... Tylko patrzył dokoła... A gdzie tylko padł

jego wzrok, wszędzie było cudownie... Jak gdyby owe słoneczne plamy wniosły do domu i do jego chłopięcej duszy jakieś nie widziane jeszcze piękno. Nagle z podwórka dał się słyszeć głos siostry. Odezwała się niespodziewanym okrzykiem radości i zachwytu: — Mamo, patrz! Krokusy! — Miała pełne ręce niebieskich kwiatów... Oczy dziewczyny lśniły, policzki były zaróżowione... Czerwone wargi napęczniały: — Krokusy, mammo, krokusy... — Powietrze wibrowało od okrzyków... I oto po chwili stali razem, we troje, na podwórzu, na obmytych kocich łbach... więc cała trójka pochylała głowę nad roślinkami w pąkach i kwiatach, nad cudem wczesnej wiosny... Ręce były w ruchu, jedne, żeby dawać, inne, żeby przyjmować... — Patrz, Rafaelu, krokusy!... Mamusiu, przyjrzyj się im, sama je zrywałam, sama! — słychać było wołania siostry...

Rafael spokojnie palił papierosa, w uniesieniu przeżywał jasne chwile swojej młodości i coraz to się chwycił za serce. Liczne wspomnienia wiązały go z ową cząstką czasu, serce więc biło i biło, jakby się dzisiaj odezwało pierwszy raz.

Podniecony, uniósł się ze skrzyni, zrobił krok, dwa do przodu. Otworzywszy drzwi podparł je jakimś starym butem i kucnął przy samym progu.

Teraz uderzał w niego cały strumień słonecznych promieni. Z trudem patrzył. W oczach stanęły mu łzy. W chwilę później poczuł błogie ciepło, jakim przenikało go wiosenne słońce. Przepływało przez niego, jakby gdzieś w jego wnętrzu znajdowały się ciepłe źródła i jakby się ich prądy niosły ciałem razem z krwią. Westchnął głęboko, a następnie, rozpromieniony, zadowolony i ożywiony dziwnym szczęściem, wyprostował się, postąpił do przodu i stanąwszy na progu wychylił głowę. Obracał nią powoli, a następnie uniósłszy wzrok zapatrzył się w skrawek czystego i pogodnego nieba.

Stał tak jaką chwilę, cały w słońcu, nie ruszając się, zachwycony. W jego czarnym gęstym zaroście ukazały się liczne rozproszone, czerwone nitki. Błyszczały tak, iż zdawało się, że są ze szklistej masy albo z jedwabiu.

Saraf Daniel nigdy w piątki nie chodził do domu na obiad. Tego bowiem dnia w jego domu robiono wielkie porządki. Przygotowywano się do powitania soboty, świętego dnia spokoju i odpoczynku.

Każdego piątku skoro świt przed bramą domostwa sarafa przystawały dwie kobiety, otulone długimi szalami, i lekkim stukaniem powiadały o swoim przyjeździe. Prawie w tej samej chwili Simcha, służąca siniory Daniela, jakby od dawna czekała na nie, zstąpiwszy schodami na dół przebiegała podwórze i otwierała bramę.

— Dobrze wam rano! Przyszłyście w samą porę! Siniory Bulka właśnie zrobiła kawę, a małe chlebki akurat wyjęto z pieca! Wejdźcie! — Simcha wesoło pozdrawiała kobiety. Zaraz potem, bosa, z zakasanyimi rękawami i włosami owiniętymi chustą, jak nieprzytomna wbiegała schodami na górę.

Siniory Bulka, żona sarafa Daniela, była gospodynią starej daty i wielką czyściochą. A porządki przed sobotnim świętem uważała za jedną z najważniejszych spraw w życiu. Nie mogła się doczekać piątku. Choć była dosyć tęga i ciężka, a na twarzy blada, w piątki zaczynała się ruszać, dostawała rumieńców, jakby się w wielkim sprzątaniu odmładzała.

Rena, ta z dwu kobiet, które u siniory Bulki w przed- sobotnich porządkach pomagały już od ponad dziesięciu lat, za każdym razem, gdy zaczynało mówić o sobocie, zwykła powiadać: „Kto chce odczuć, co to jest sobota, niech idzie do siniory Bulki. U niej cały dom, od podwórza do strychu, tchnie nastrojem świątecznym i sobotnim spokojem. A powiem też, dlaczego tak jest: W całym domu sprząta się powoli, bez pośpiechu, bez bieganiny, więc każda rzecz we właściwym czasi&trafia na właściwe miejsce. Myje się, co ma być umyte, czyści się, zamiata, porządkuje i układa, tak że na długo przed zmrokiem, gdzie bądź się spojrzysz, widać, że wszystko jest posprzątane, że każda praca została zakończona. A kiedy siniory Bulka opuści zasłony i zapali kaganek, najdrobniejszy nawet szczegół zdradza, że do domu wszedł prawdziwy sobotni spokój, że w nim zagościł. Można 52

go dostrzec, gdzie tylko się chce: w podwórzu, na schodach, w kuchni i w pokojach, na strychu, wszędzie.”

Tak opowiadała owa Rena. Ale sobota nie wchodziła znów tak łatwo do domu siniory Bulki. Dwie kobiety ciężko pracowały przez cały dzień, a razem z nimi i siniory Bulka, i służąca Simcha. Pracowały od wczesnego rana, co prawda bez pośpiechu, ale i bez wytchnienia. Tego dnia nawet obiad jadły na stojąco, tylko kawę wypijały siedząc i rozmawiając. Siniory Bulka zaś miała szeroki gest — wynagradzała kobiety jak należy. Ale jednocześnie je pouczała: „Kto z ochotą pracuje, zrobi dwa razy więcej.”

A jej służącej nigdy nie trzeba było zapędzać do pracy ani pouczać. Była pilna sama z siebie, zawsze znajdowała coś do roboty. W tych jednak dniach — tegorocznej wczesnej wiosny — pracowała z takim zapalem, jakiego u niej przedtem nie widziano. Siniory Bulka, kiwając głową, mówiła w duchu: „Oby to się tylko na dobre obróciło!”

Simcha była u niej już trzynaście lat, przez cały czas, od chwili gdy została sierotą. A kiedy jakies stworzenie tyle czasu przebywa w czyimś domu i ciągle się je ma przed oczami, nietrudno spostrzec czy przeczuć, co się w nim dzieje.

W tych dniach każdy ruch Simchy zdradzał, że wstąpiło w nią nowe życie. W oczach dziewczyny był coraz bardziej widoczny blask ognia, który się w niej rozplomieniał.

W piątki pracowała jak nieprzytomna. To krzątała się na strychu, to w kuchni, to znów na podwórzu. Za każdym razem, kiedy przechodziła obok kobiet, miała zwyczaj jedną czy drugą uszczypnąć w ramię. Kobiety filuternie piszczały, a czasem, rozochoczone, okładały ją po rękach, plecach, gdzie popadło. — Masz, zbytnico! — dodawały do razów, a Simcha, rozkosznie się śmiejąc, zręcznie się im wymykała. Kiedy siniory Bulki nie było w pobliżu, parskała głośnym śmiechem i, przegięta w pół, trzęsła się cała niczym rozbrykana dziewczynka.

Tego dnia pobudzała do intensywniejszego życia cały dom. Kiedy wszystkie trzy razem szorowały podłogę w pokojach, z początku słychać było tylko wesołą rozmowę, potem śmiech, wreszcie chichot. Po jakimś

czasie dal się też słyszeć śpiew, najpierw cichy, potem coraz głośniejszy, w końcu rozbrzmiewał w całym domostwie i przez otwarte okna przedostawał się do sąsiedztwa. W pobliskich domach kobiety, przerywając robotę, nasłuchiwały.

Były to dziwne melodie (Simcha dobierała je w zależności od nastroju), powstałe gdzieś daleko, przepojone melancholijną tęsknotą, pełne bezkresnych równin, wieczornej ciszy i odległych gwiazd; słowa mówiły o dziewczynie czekającej na swojego ukochanego i o ukochanym, który znajduje się daleko — na morzu, w podróży, na wojnie lub w więzieniu.

Kiedy się zbliżało południe, w Simchę wstępował gorączkowy niepokój. Nawet gdy rozmawiała z kobietami, nie przestawała nadstawiać uszu, chcąc usłyszeć, kiedy siniora Bulka ją zawoła i każe zanieść sinior Danielowi obiad.

Wtedy gwałtownie odrywała się od roboty i szybko się myła i ubierała. Wreszcie narzuciwszy na siebie szal, z twarzą w wypiekach, śpieszyła do czarszii, trzymając w ręce zawiniątko.

Tej wczesnej wiosny Simcha zaczęła chodzić ulicą Limarską. Nie tędy wiodła najkrótsza droga do zakładu sinior Daniela. Ale na ulicy Limarskiej stukał młotkiem Lijaczo, syn blacharza Santa — stukał i kusił. Simcha więc szła za tym głosem.

Na Limarskiej bił niejeden młotek i od ciężkich uderzeń blacha brzęczała zgrzytliwie, rażąc uszy. Hałas na Limarskiej był duży o każdej porze dnia, koło południa jednak największy.

Simcha lubiła ten hałas. Czuliła się wśród niego szczęśliwa. Pośród tego hałasu jej serce mogło falować i bić do woli. Nikt zaś nie mógł usłyszeć tego bicia. Serce Simchy więc biło jak oszalałe. Biło tak mocno i tak przejmująco, iż się chwilami bała, że wyskoczy z piersi. Ale Simcha była też rozumną dziewczyną. Szła powoli, krok jej był równy 54

i pewny, i ciągle uważała, żeby zawiniątko nie wypadło jej z ręki.

Tymczasem w niedużym zakładzie za blaszanymi piecami stał, cały umorusany, młody Lijaczo, »yn blacharza Santa. W ciągu jednej krótkiej chwili wymieniali spojrzenia, a dziewczyna, chcąc sprawić sobie większą przyjemność, kiedy dochodziła do rogu, odwracała się i jeszcze raz próbowała spojrzeć w głąb ulicy.

Dwoje młodych patrzyło na siebie także owego piątku, kiedy Rafael Maczoro swoją wyścielaną skrzynię przeniósł w pobliże otwartych drzwi; owego piątku, kiedy ten smutny szewc, ze skrawkiem jasnego nieba w oczach, kończył drugi but swojego sąsiada Santa. Tego więc dnia skrzyżowały się nie tylko radosne spojrzenia pary młodych ludzi, ale i marzycielski wzrok szewca Rafaela spotkał się z oczami Simchy.

Simcha przeszła tuż obok drzwi Rafaela, łatwo więc mógł zobaczyć jej rozradowane oczy. Zresztą nie tylko oczy. Zobaczył też, że się w cudowny sposób uśmiecha. I przekonał się, że uśmiech jej jest ciepły, pełen słodyczy. Wszystko to jednak stało się zbyt niespodziewanie, kiedy bowiem uprzytomnił sobie, że powinien wstać i obejrzeć się za dziewczyną, było już za późno; zdążyła zniknąć za rogiem, wejść w inną ulicę.

Czy to sen, czy jawa?

Rafael obracał głowę w prawo i lewo, usiłując przyjść do siebie. Może to było przywidzenie? Nie, nie było! Jest przecież trzeźwym, normalnym człowiekiem. Owszem, dziś słońce sprawiło, że oświecały nim dziwne, pogodne uczucia, ale mimo to uśmiechnięta twarz dziewczyny nie była żadnym złudzeniem, żadnym snem. Oczy jej błyszczały tak cudownie, jak tylko żywe oczy mogą błyszczeć. Podobnych oczu nie potrafiłby sobie wyobrazić nawet we śnie. W takim razie co to mogło być? Może to, co go dziś spotkało, jest zapowiedzią jego szczęścia? Wszystko zaczęło się od tych ciepłych promieni słońca. Czy oczy dziewczyny nie są dalszym ciągiem łaski losu?

Do głowy Rafaela cisnęły się przeróżne myśli i pytania. Dlaczego dziewczyna na niego tak patrzyła? Dlaczego się tak uśmiechała? Może ktoś jej o nim mówił? Ale kto? Kto mógł z dziewczyną o nim rozmawiać? O, Panie Boże!

Młotek tkwił spokojnie w jego dłoni. Tylko myśli tkwały jakieżś, niczym pajęczyna delikatne, jedwabne płótno. I wszystko lśniło w słońcu, błyszczało, jak błyszczały oczy dziewczyny.

— Co tak zapamiętałe rachujecie, sinior Rafaelu? — wyrwał go ze snu jakiś przechodzień.

Rafaël szybko, jakby go przyłapano na złym uczynku, sięgnął po but i z ożywieniem zaczął przybijać drewniane gwoździe. Ale po chwili z powrotem pogrążył się w owych przyjemnych, ekscytujących rozmyślniach: Ona na pewno znowu tędy przejdzie! Powinien się opanować i spokojnie, bez podniecenia patrzeć, bo może mu się uda zrozumieć, o co dziewczynie chodzi. Może ona Bóg wie ile razy przechodziła obok zamkniętych drzwi, a dzisiaj — dopiero dzisiaj — zauważyła, że są wreszcie szeroko otwarte. Słońce, parę jego promieni, i te świetliste plamy na podłodze — one je otworzyły. Przedziwne są drogi Boże! Przedziwne! A może to jakaś niespełna rozumu, postrzelona dziewczyna? Nie... Nie... to nie może być. W żadnym wypadku! Jest zdrowa... widział przecież... Chore stworzenie patrzy inaczej... Tak, inaczej...

4

W piątki Żydzi wcześniej zamykali swoje zakłady. Trzeba było bowiem pójść do domu, przygotować się do soboty i na czas, zanim się ściemni, zdążyć do świątyni na modlitwę.

Owego piątku Rafaël Maczoro później niż inni Żydzi zamknął warsztat. Czekał biedak, czy dziewczyna przypadkiem znowu nie przejdzie ulicą Limarską. Czekając krzątał się po zakładzie i wyglądał, ale na próżno. Simcha tego dnia drugi raz nie przeszła ulicą blacharzy.

Mała Streja, córka Rafaela, niepokoiła się o ojca.

- Tatusiu, spóźnisz się do świątyni! Pośpiesz się! — powiedziała, kiedy wreszcie nadszedł. Szybko się więc umył, przebrał i wyszedł.

Sobota mijała mu zbyt wolno — nigdy żaden dzień tak mu się nie dłużył. W niedzielę był pierwszym rzemieślni-

kiem, który otworzył zakład na Limarskiej, choć się spodziewał, że dziewczyna, jeśli się w ogóle pojawi, przejdzie jego ulicą dopiero koło południa. Przez cały czas nadsluchiwał kroków, patrząc zaś tak natężal uwagę, że się w końcu zmęczył. Wszystko jednak było na nic. Tak upłynęły jeszcze dwa dni.

W środę był nieco spokojniejszy. Dowiedział się, kim jest dziewczyna i jak ma na imię. Dowiedział się też, że w piątki zanoszą obiad swojemu panu, sarafowi Danielowi.

0 to, co go interesowało, tak indagował, że nikt nie mógł nawet przeczuć, że chodzi mu o Simchę. Wszystko robił ostrożnie i zręcznie. Nie zwracał się z pytaniami ani do blacharza Santa, ani do innych sąsiadów z Limarskiej. To byłoby nieroztropne. Bardzo nieroztropne. Dumnie

1 z zadowoleniem zacierał dłonie, nie mogąc się doczekać piątku.

Simcha też z niecierpliwością czekała na ten dzień.

Owego drugiego piątku wszystko odbyło się podobnie jak pierwszego. Wszystko było tak samo, tyle tylko, że tego piątku Rafaël tak stanął w drzwiach, żeby móc patrzeć na dziewczynę, ale żeby nikt tego nie zauważył.

Tego piątku zobaczył, jak Simcha, znalazłszy się na rogu Limarskiej, odwróciła się i cudnie uśmiechnęła. Widział to dokładnie. Do niego — do niego się uśmiechnęła! Do nikogo innego, tylko do niego!

Boże miłosierny! Zresztą do kogo innego mogłaby się uśmiechnąć? — powtórzył to prawie głośno. Był podniecony jak nigdy. Podniecenie sprawiało, że robiło mu się ciemno w oczach.

W czasie więc gdy sinior Daniel, wielki pan, powszechnie szanowany saraf, mężczyzna wysoki i tęgi, w czerwonym głębokim fezie z jedwabnym chwastem, w czasie gdy ten pan z powagą, z taką samą, z jaką liczył dukaty i sufuriny*, rozwiązywał zawiniątko zawierające troskliwie poukładane naczynia z jeszcze ciepłymi potrawami i siadał przy ladzie, aby kęsy białego chleba moczyć w tłustych sosach — w tym samym czasie Rafaël Maczoro, smutny wdowiec, cały zarośnięty w swoją gęstą brodę, w za t łuszczonym fezie, zgarbiony, o zapadniętych, ■ i

ale błyszczących oczach, siedział i wpatrywał się w leżący przed nim kawałek przybrudzonego wosku. Miał wzrok utkwiony w tę drobną rzecz, ale jej nie widział. Zamiast niej widział uśmiechniętą młodą istotę, dziewczynę Sim-chę. Jakby stała tuż obok niego, przy jego stoliku, jakby z nim rozmawiała, opowiadała o czymś, i jakby miała usiąść i kontynuować — powoli, ze szczegółami — swoją oszałamiającą opowieść.

Simcha miała około trzydziestu lat. Wzrostu była raczej średniego, przysadzista, o krótkiej szyi. Twarde kędzierzawe włosy, czarne i lśniące, czesała na rozdziałek i mocno splatała w dwa niewielkie warkocze, które spadały jej na plecy. Perkaty nos wyróżniał się trochę wywinętymi na zewnątrz nozdrzami. Ale w jej twarzy najbardziej odznaczały się grube, napęczniałe wargi, jak i policzki, usiane mnóstwem drobnych, czerwonych i zeschniętych pryszczków. Zaokrąglone plecy i tęgie ramiona, a zwłaszcza wydatne piersi można było wyraźnie dojrzeć pod luźnym strojem. Nawet pod szalem. Chód miała mocny, kroki drobne. Stwardniałe, szorstkie dłonie zdradzały siłę i pracowitość.

Rafael widywał Simchę tylko owiniętą szalem, ale dokładnie wyczuł, jaka była naprawdę.

Tak, jest zdrowa jak mało kto w tym mieście — powtarzał w duchu, zadowolony. A to, że nie grzeszy urodą, nic nie szkodzi. Wystarczy, że jest tęga i pulchna.

Owego dnia, kiedy się dowiedział, że ma około trzydziestu lat, jego radość się wzmogła. Tyle zalet łączyła w sobie ta dziewczyna, wszystkie zaś były w niej zespolone i zbite, jak nabite było jej ciało. Śniąc o nowym życiu, o radościach, targał brodę, coś obliczał, zatracał się w uniesieniu.

W tym uniesieniu i rozmarzeniu mijały mu tygodnie, a wraz z nimi i dni piątkowe. Rzecz dojrzewała coraz bardziej, aż dojrzała całkowicie. Tak się przynajmniej zdawało pogrążonemu w zachwycie Rafaelowi. Zdążył już przyciąć brodę, każdego piątku, na dwie godziny przed południem, udawał się do sinior Leza, aby mu uformował fez (to już nie było owo jego zaszmelcowane nakrycie głowy, lecz odświeżone, sobotnie). Inaczej też się poruszał. Wysuwał do przodu pierś, stapał energicznie.

58

Był nawet trochę uśmiechnięty. Z jego oczu biła szczególnego rodzaju pogoda.

— Proszę, nasz Rafael jakby trochę odżył! — mówili ludzie. Rafael jednak nie tylko trochę odżył, ale był też pełen wewnętrznego szczęścia, kosztował najradośniejszych chwil w swoim życiu.

5

Niesiony swoimi pragnieniami (a tkwiły one głęboko w jego duszy), śnił cudowne sny.

Ożeni się, weźmie Simchę i szczęście razem z nią wreszcie wejdzie do jego domu. Szczęście, które do tej pory do jego domu nie tylko nie chciało przyjść, ale nawet nie zajrzało.

W tych dniach często wracał do owych długich lat, jakie przeżył z nieboszczką Luną, kobietą od urodzenia chorowitą. Całą biedę tego życia, zacząwszy od dnia, kiedy jego ojciec zaręczył go z nią z własnej woli, aż do jej śmierci, wszystkie te lata, pełne cierpień Luny i jego udreki przy niej, wspominał teraz w najdrobniejszych szczegółach. Grzebał w tych latach, długich, ciągnących się w nieskończoność, a grzebiąc szukał rzeczy najbardziej w nich gorzkich, aby następnie z tej nędzy i goryczy gwałtownie się wynurzyć w swoje nowe istnienie, które sobie wyobrażał, które się rodziło, kiedy się w myślach napawał zdrowiem i kształtami — mocnymi udami Simchy, służącej sarafa Daniela.

Szczyt szczęścia jawił mu się w postaci bliżej nie określonego letniego dnia. Oto zamknął już warsztat i ruszył do domu. Po drodze kupił gruszek i duży melon. Ledwie skręcił w swój zaułek, już z rogu zauważył, że w furtce siedzą Simcha i jego córka Streja. Teraz Streja była jak odrodzona. Znowu stała się dziewczynką albo — mówiąc dokładniej — teraz po raz pierwszy w jej oczach ukazała się owa cudowna dziecienna wesołość i beztroska. Chichocze, trzęsie się ze śmiechu, jakby ją łaskotano w czułe miejsca, ledwie ktoś wymówi jakieś uciesznie czy niezwykle słowo albo opowie coś zabawnego. Bie-

59

ga z miejsca na miejsce, jak gdyby była odurzona radościami, którym nie widać przyczyny, rzuca się z otwartymi ramionami ku Simsze, swojej macosze, na jej piersi, obejmując ją krztusi się z przyjemności, rozradowania, dziecinnej swawoli.

- Idzie sinior padre, ojciec! — słyszy, jak Simcha mówi do dziewczynki, a ona unosi głowę, jakby się ocknęła ze snu, kiedy go zaś zauważy, zaczyna biec ku niemu na złamanie karku, gotowa, zdaje się, w każdej chwili wyciągnąć się jak długa na kocich łbach. Podniecona chce go pocałować w rękę, popatrzeć na niego ożywionymi, błyszczącymi oczami i dziecinnym spojrzeniem wypowiedzieć to wszystko, czego słowem nie da się przekazać. Zaraz potem kierowała do niego pytanie: Padre, to, co masz w chustce, to są gruszki?—bo tego lata ze wszystkich owoców one smakowały jej najbardziej.

Kiedy zaś w jego dłoniach zauważy melon, zapomni o gruszkach i nie uspokoi się, dopóki nie weźmie owocu w 9woje ręce i uszczęśliwiona i dumna, nie poniesie go sama, przynajmniej paręnaście kroków, które dzieliły ich od domu... Simcha tymczasem zdąży wejść do domu, bo przecież żonie w furtce witać męża nie wypada...

W domu zaś, w niewielkim pokoju i jeszcze mniejszej kuchni, wszystko tchnie ładem, czystością i rozbrzmiewa dziecinną paplaniną. Streja klaszcze w dłonie, tańczy wokół melona, mlaska językiem (tymczasem zdążyła wbić zęby w gruszkę, więc słodki sok spływa jej po brodzie).

A Simcha, która zdołała już z rąk dziecka odebrać melon i powąchać go, szybko znalazła miedziany sagan, skierowała się do studni i napełniwszy naczynie zimną wodą wstawiła do, niego owoc, żeby się chłodził.

Kolacja im niezwykle smakuje: kromka chleba i kawałek trawnickiego sera*, parę gruszek i gruby plaster melona. Kto spożywa taką kolację? Cesarze? Paszowie? Wypije jeszcze kawę na świeżym powietrzu w podwórzu. Simcha umieściła tam jakąś skrzynię i nakryła kawałkiem pocerowanego i upranego dywanika. Usiądzie tutaj, wypali papierosa, wypłtfe filiżankę kawy, posłucha, jak się Streja w domu szykuje do snu nu minderze, podczas gdy Simcha będzie rozkładać materac, kolorowe prześcieradło, koldrę, teraz starannie połatana, przetrzepywać skołtuniałą wełnę w poduszce i kłaść ją na wezgłowiu. Przez otwarte drzwi dostrzeże, jak klęka na środku pokoju, to pośpiewując, to pieszczotliwie ostrzegając Streję, żeby się już kładła, bo jutro trzeba wcześniej wstać. Gdy uśpi dziewczynkę, Simcha wyjdzie na podwórko, nie usiądzie jednak, ale postoi trochę opodal niego, przestępując z nogi na nogę. Porozmawia z nim, poradzi go się w tej czy innej sprawie, a potem się uda na spoczynek.

Tak wyobrażał sobie swoje szczęście.

Był półprzytomny z dziwnego upojenia i radości.

6

Rafał Maczoro od dawna nie chodził ulicą, na której mieścił się niewielki warsztat parasolnika Kucza. Co więcej, za każdym razem, kiedy miał spotkać tego człowieka, schodził mu z drogi.

Parasolnik Kuczo, który chętnie zajmował się też swataniem (otrzymywał za to trochę pieniędzy albo jakieś prezenty), ledwie minął rok od śmierci Luny, zaczął Rafała nachodzić i nagabywać, żeby się zenił. Zaglądając do niego każdego tygodnia narzucał mu się na wszystkie dozwolone i niedozwolone sposoby.

Rafał, owszem, chciał się zenić — nie mógł się nawet doczekać tego — ale jak miał to uczynić, skoro natrętny pośrednik proponował mu tylko jakieś wdowy z trojgiem lub większą liczbą dzieci, w dodatku kobiety zwiędłe, podstarzałe, przywalone ciężkim brzemieniem życia. Parasolnik na próżno je chwalił, na próżno wynajdywał różne ich zalety i cnoty. Nie pomogło nawet to, że w sposób zawołowany zachwalał również ich kobiece kształty oraz ich wdzięk i urodę. Podchodził Rafała z różnych stron, ale bez skutku.

Lepiej, żeby tak wegetował ze swoją Streją, a nawet się zamęczył, niżby miał się związać z kobietą niezupełnie

61

zdrową i w podeszłym wieku. Był przekonany, że każda chuda kobieta jest chora, że każdą trapią jakieś ukryte dolegliwości, bądź żołądka czy jelit, bądź jakiejś innej wewnętrznej części ciała. Widział w wyobraźni, jak każda z nich skręca się w ciężkich konwulsjach, jęczy z bólu albo, wyczerpana i wycieńczona, leży z obwiązaną głową, w głębokiej rozpacz.

Przeżył wiele lat ze swoją nieboszczką Luną, która była właśnie taką chudą i chorą kobietą, i wycierpiał z nią tyle, że dosyć już miał chorych kobiet. Teraz marzył o zdrowej, nabitej ciałem, uśmiechniętej kobiecie, pełnej pogody ducha. Dlatego żadne wysiłki Kucza, skądinąd zręcznego, doświadczonego pośrednika, nie mogły nim zachwiać, a cóż dopiero skłonić go do zmiany nastawienia.

— Znajdźcie mi zdrową kobietę i bez dzieci, wtedy się ożenię — mówił Rafael do namolnego parasolnika.

Kuczo wreszcie dał mu spokój, przestał go nachodzić. „Trudno, niech sobie żyje jak mondzio, niech czeka, aż jakaś królewna wyśle po niego swatów” — mamrotał parasolnik w duchu.

Ale oto przyszedł czas, że Rafael jego szukał. Właściwie Rafael miał nadzieję, że się Kuczo sam zgłosi, po trosze się nawet dziwił, że go nie ma. Przecież musiał się dowiedzieć, co się dzieje na Limarskiej. Czemu więc nie przychodzi? Teraz by się szybko porozumieli. Simcha jest nawet panną, w dodatku zdrową, tęgą...

Rafael był człowiekiem z natury cierpliwym, zdążył już przywyknąć do tego, że musi czekać na swoje szczęście, czekał więc spokojnie i cierpliwie. Wszystko jednak za bardzo się przeciągało. Jego niepokój stawał się coraz silniejszy. Marząc o nowym życiu, życiu z Simchą, zdrową i pracowitą kobietą, zaczął cierpieć na bezsenność, dokuczały mu męczące sny. Poza tym ciągle ją sobie przypominał, lubił o niej myśleć bez przerwy. Ale od pewnego momentu przestały go zadowalać czcze marzenia. Uznał, że już najwyższy czas zacząć żyć naprawdę, życie z Simchą zaś wydawało mu się tak pociągające, tak piękne! Radość wejdzie do wszystkich zakątków jego domu, nawet do warsztatu! Simcha do jego życia wniesie również oddech tej wiosny i lata, razem ze słońcem, ciepłymi wiatrami, zapachem ziół, kolorowymi kwiatami, 62

pierwszymi owocami i arbusami. Jej ręce rozpedzą cały smutek i biedę, która gnieździ się w jego domu. Wybieli ściany, wyszoruje podłogi, wy lepi kafłowy piecyk, poceruje bieliznę. Przybrana rutą będzie na niego czekać każdego wieczora, z blaskiem w oczach, będzie go witała na środku pokoju, wysuwając Streję, jego dziecko, przed siebie, aby pocałowała ojca w rękę. Simcha będzie też lubiła małą Streję. Dziewczynka poczuje ciepło rąk, które pieczą ją duszą i sercem, będzie się jej rzucała na szyję, będzie szeptała, że ją kocha, że jest szczęśliwa.

Rafael wreszcie zdecydował się zajrzeć do warsztatu parasolnika. Wejdzie, przywita się z nim i od razu powie, jak sprawa wygląda. Już od dwóch miesięcy ulicą Li marską przechodzi Simcha. Podobamy się sobie, nadajemy się jedno do drugiego, no więc, sinior Kuczo, porozmawiajcie, z kim trzeba, i załatwcie wszystko jak najszybciej...

Kiedy się zbliżył do warsztatu na odległość dziesięciu kroków, ogarnął go wstyd, minął więc drzwi, nie spojrzawszy nawet w ich stronę.

Jeszcze raz przeszedł tam i z powrotem, ale ani razu się nie odważył zajrzeć do Kucza. Ten jednak zauważył Rafaela. Co więcej, zauważył też wszystkie zmiany, jakie w nim zaszły.

„Hm, hm! — kręcił pośrednik głową, przekładając z jednej ręki do drugiej czerwoną damską parasolkę, którą właśnie miał naprawiać. — Nasz Rafaelek się zmienił. Ba, odżył. Będę musiał do niego zajrzeć. Jak najprędzej. Bo może mnie ubiec tja Sterucza.”

Nie zwlekał długo. Już następnego dnia stanął w otwartych drzwiach warsztatu szewca.

— Dzień dobry, sinior Rafaelu! — pozdrowił go i sponad okularów spojrzął na szewca, aby sprawdzić, jakie wrażenie wywarło na nim to, że się znów u niego zjawia.

Rafael, ledwie zobaczył parasolnika, zmieszał się, zdrętwiał. Opanowawszy się z trudem, poprosił Kucza do środka i zaczął się dobrotliwie uśmiechać.

„Wszystko jest na najlepszej drodze!” — myślał w duchu stary rajfur, wchodząc do warsztatu.

— Nie przyszedłem na długą rozmowę — zaczął układnie. — Zajrzałem, żeby was o coś zapytać. Proszę zgadnąć, co mnie do was sprowadza.

Rafael udawał naiwnego. Odłożywszy na stół młotek i szydło, spokojnie popatrzył na gościa. Oczy Rafaela się świeciły.

— Skąd mam wiedzieć. Niech od was usłyszę, sinior Kuczo. Proszę, siadajcie!

— Przyszedłem, żeby się dowiedzieć, ile macie lat.

Rafaelowi jak błyskawica przeleciała przez głowę myśl:

„Proszę, rozmawiano już o mnie i o Simsze i ktoś (Rafael był przekonany, że sara Daniel) musiał powiedzieć, że jestem już za stary i że nie mogę być partią dla Simchy.”

Ta myśl trochę go zaniepokoiła. Widział już, jak wszystkie jego sny się wałają, zapadają w nicość. Ale ponieważ wiedział, że między nim a Simchą nie ma większej różnicy wieku, szybko zdobył się na odwagę, zebrał siły, aby ratować swoje szczęście. Musi im udowodnić, że ta rzecz nie może być uważana za przeszkodę, bo to nieprawda. Nie jest stary, gdzieżby tam, zresztą proszę bardzo, niech mu się przyjrzą z bliska. Brodę przecież zrzucił, a przekonają się, że będzie wyglądał jeszcze lepiej, kiedy się tylko zacznie jego nowe życie, życie z Simchą!

Wszystko to Rafael przemyślał w jednej krótkiej chwili, udało mu się, więc odsunąć od siebie strach, który na początku poczuł, i zastąpić go uśmiechem, nienatrętnym, ale pewnym.

— Jak wy sądzicie, sinior Kuczo, ile mogę mieć?

Parasolnik najpierw wbił wzrok w swoje buty, potem się zapatrzył w powałę, wreszcie zdjął okulary i przecierając chustką szkła powiedział:

— Według mnie, macie pięćdziesiąt.

— Pięćdziesiąt! — zaśmiał się Rafael. Byłoby mu jeszcze przyjemniej, gdyby parasolnik powiedział pięćdziesiąt pięć. Proszę bardzo, niech im będzie, niech sobie tak myślą! Ma o wiele mniej. Może im to udowodnić. W pewnej książce modlitewnej, na wewnętrznej stronie okładki, zanotowano dzień jego urodzenia. W samo święto Tiszabeaw się urodził, tego i tego roku. Tak napisano w książce, ba, wykaligrafowano pięknymi, czytelnymi literami ósmego dnia po jego przyjściu na świat. Każdy może to zobaczyć i sprawdzić.

64

Przekonany, że w sprawie swoich lat odniesie zwycięstwo, Rafael się uśmiechnął z zadowoleniem.

— Mniej, sinior Kuczo, o wiele mniej!

— Jak powiedzieliście? — parasolnik udawał, że nie słyszał.

— Mniej, o wiele mniej! — powtórzył Rafael.

— Czterdzieści pięć?

— Jeszcze mniej.

pt Ależ to niemożliwe! — dziwił się parasolnik.

— Możliwe, możliwe. Pokażę wam książkę, w której to zanotowano. Na Tiszabeaw kończę czterdzieści.

— Czterdzieści?

— Tak, czterdzieści!

— Dziwne! -r wycodził pośrednik. — Co prawda, teraz wyglądacie młodziej, a kiedy nosiliście brodę, zdawało się, że macie przeszło pięćdziesiąt.

Rafael śmiał się głośno i machał ręką, z dziwną śmiałością i wiarą w siebie.

— A jak wam się wiedzie, jak praca, sinior Rafaelu?

— Dobrze, dzięki Bogu — powiedział Rafael skwapliwie i jakby chciał to czymś zaświadczyć, podsunął gościowi czarne pudełko, do samego wierzchu wypchane żółtym tytoniem.

Parasolnik powoli skręcał papierosa.

— Cieszy mnie to wszystko, co usłyszałem — mówił tonem uroczystym i z dłuższymi przerwami. — Widzę, że teraz... że, że... rzeczywiście dobrze wyglądacie. Jesteście zdrowi. Wszystko wam się dobrze układa.

Wszystko.

Potem zapalił, wypuścił parę kłębow dymu i pogładziwszy brodę nagle wstał.

— Spieszę do siebie. Muszę reperować jakieś parasolki. Klienci nie dają mi spokoju. Molestują mnie, żebym skończył robotę, jakby nie dalej jak jutro miało się rozpaść. Zostańcie z Bogiem, sinior Rafaelu!

- Niech was Bóg prowadzi, sinior Kuczo! — oddał pozdrowienie Rafael, a w duchu pomyślał: „Spiesz się, żeby wszystko, co słyszał, powtórzyć sinior Danielowi.”

Rozradowany jak nigdy i przekonany, że pośrednik od niego skierował się prosto do wekslarza Daniela, już, już miał się z jeszcze większym nakładem sił zabrać do roboty.

Nagle parasolnik się odwrócił na samym progu i powiedział z powagą: — Trafia się dla was dobra kandydatka na żonę. Rafael poczuł ściśnięcie w sercu. Ten wstęp nie przypadł mu do gustu. Spodziewał się, że Kuczo, kiedy zacznie rozmowę o Simsze, odezwie się zupełnie inaczej. Że nie będzie tego jemu, Rafaelowi, tak niemiłego wstępu: „Trafia się dobra kandydatka”, powie natomiast wprost: „Wam, jak się dowiaduję, podoba się Simcha. Rozmawiałem z siniorem Danielem, więc przyszedłem, żeby zapytać, ile chcecie posagu. Wiele nie żądajcie, dziewczyna sama tyle warta co złoto. To miałem do powiedzenia, a teraz wy mówcie!”

Wdowiec Rafael spodziewał się, że pośrednik tak powie i w tym duchu przygotował odpowiedź. Była krótka i węzłowata: „Niech przyniesie, co siniór Daniel jej da, a ja się tym zadowolę.” Tak sobie wyobrażał rozmowę z Kuczem. Tymczasem ten... Tymczasem ten mówił tak jak tyle razy przedtem: „Trafia się kandydatka...” O kim to on mówi?

— Co się dzieje, czemu zaraz marszczycie czoło?—zapytał parasolnik.—Wdowa Rena to coś w sam raz dla was. Przecież nie ma tylu dzieci, wszystkiego troje. Czwarte zmarło ostatniej zimy. Ma też własny domek. A kobieta jest w najlepszych latach. Zresztą znacie ją dobrze, często zachodzi do waszego warsztatu, chętnie z nią rozmawiacie.

— Rena byłaby dobra, ale nie dla mnie — oschle powiedział Rafael.

— Nie wiem, czemu nie miałyby być dla was..

— Ma dużo dzieci. Oto dlaczego.

— Przecież dzieci są błogosławieństwem Bożym. Wy to wiecie lepiej ode mnie. A dzieci siniory Reny są bardzo dobre.

— Daj im Boże zdrowie i długie życie! — wyjąkał Rafael i zabrał się do woskowania nici.

— Zastanówcie się, siniór Rafaelu. Nad wszystkim się trzeba zastanowić. Nie trzeba odrzucać szczęścia, kiedy puka do naszych drzwi.

¹ — Nie mam się nad czym zastanawiać. Dawno już wszystko przemyślałem — powiedział Rafael w sposób zdecydowany i po trosze gniewnie. 66

— Nie irytujcie się, siniór Rafaelu. Ja wam naprawdę życzę tylko jak najlepiej. Sinióra Rena, moim zdaniem, byłaby dla was bardzo dobrą partią. Ale nic nie szkoda, jeśli się nie zgadzacie, zaczekamy. Nadarzy się inna okazja. Tylko że czas, przekłety czas, ucieka. De lat jesteście już wdowcem? Czwarty rok, jeśli dobrze pamiętam. Czwarty.

Rafael nic nie odpowiedział.

Parasolnik po cichu wyszedł z warsztatu.

Rafael wstał i przymknąwszy za nim drzwi wrócił na swoją skrzynię. Był rozgoryczony i przybity.

7

Nie minęło wiele dni, a u Rafaela zjawiała się stara tja Steruczka. Staruszka długo zaglądała przez niewielkie okno, Tanim zdołała się przekonać, że Rafael jest w warsztacie i że jest sam.

— Dzień dobry, siniór Rafaelu! — zawołała staruszka. — Proszę mnie przywitać bardzo serdecznie, bo wam przynoszę szczęście. Zeszłego roku byłam tutaj, aleście nie byli zadowoleni. Dzisiaj, mam nadzieję, nie będziemy się handryczyć. Sami już przeszliście połowę drogi. Ja wszystko wiem.

Staruszka mrugając powiekami znacząco kiwała głową.

Rafael poczuł, że w krtani coś go łaskocze. Pierwszy raz od rozmowy z Kuczem stanęła mu przed oczami Simcha, znów mocno związana z jego życiem.

Słowa staruszki: „Sarni przeszliście połowę drogi”, wyraźnie mówiły, że chodzi o Simchę.

Przyglądał się staruszce, wpatrywał się to w jej cienkie wargi, to znów w oczy, których powieki po brzegach były zaczerwienione i prawie bez rzęs. Niecierpliwie usiłował z nich wyczytać, co mu staruszka za chwilę powie. Chciał przenikliwym spojrzeniem szybko wydobyć z niej najważniejszą rzecz, jaką ma do zakomunikowania, pomijając wszystkie niepotrzebne słowa, wszystkie zwyczajowe i konwenansowe zwroty, towarzyszące tego rodzaju propozycjom.

Staruszka, od stóp do głowy okutana w długi cienki szal wiśniowego koloru o wyblakłych wzorach po bokach, spocona, z trudem oddychała. Wachlując się rękami, żeby się ochłodzić, powoli i ostrożnie ściągała z głowy szal i zrećźnie układała go w fałdy na ramionach. Na końcu, przysunąwszy stołek, usiadła.

— Odłóżcie, Rafaelu, ten śmierdzący but i uważnie posłuchajcie, co wam powiem.

Rafaël jak posłuszne dziecko opuścił but obok siebie i wbił wzrok w tja Steruczę.

— Dziwne są ścieżki Boże. Dobrze, żeście mnie w zeszłym roku nie posłuchali. Wprawdzie siniora Rachelę też nie była dla was złą partią. I z nią bylibyście szczęśliwi. Ja wiem, co robię. Nie zajmuję się tą robotą, żeby od ludzi coś dostać i żeby mnie na weselach fetowano. Mnie zależy na tym, żeby dwoje ludzi związać ze sobą, aby im się łatwiej żyło. Życie jest ciężkie. Kochany sinior Rafaelu, wy się przecież męczycie, męczy się też mała Streja razem z wami. Potrzebujecie kobiety, dobrej gospodyni, do- matorki, żeby się opiekowała małą Streją, boć to jeszcze dziecko. A potrzeba wam też kogoś, z kim byście mogli porozmawiać, od kogo byście usłyszeli ludzkie słowo, trochę się rozpogodzili. Nie macie przecież stu lat! A wycierpieliście też co niemiara przy chorej Lunie. Wszyscy

O tym doskonale wiemy. I oto, dzięki Bogu, do was też się szczęście uśmiechnęło. Wiecie, o kim mówię. Wy jej chcecie. Podoba się wam. Wiem o tym. Wszystko wiem...

Cienkie wargi staruszki rozciągnęły się w uśmiech. W ich rozchyleniu ukazało się parę zębów, żółtych, spróchniałych.

— Wszystko wiem. A teraz pilnie słuchajcie, żebyście usłyszeli to, co najważniejsze.

Rafaël przysunął swoją skrzynię do staruszki i dygocząc cały, czekał, żeby wymówiła imię Simchy — aby wreszcie ustąpił dręczący niepokój, aby mógł odetchnąć po tęczarniach, które przeżywał w ostatnich tygodniach.

— Proszę bardzo, proszę, słucham — wykrztusił podniecony i zniecierpliwiony.

— Są ludzie — zaczęła tja Steruczka mrużąc oczy i końcem języka oblizując cienkie wargi — są ludzie dobrzy

I są ludzie źli. Złych jest więcej niż dobrych. Co prawda,

68

nie wierzę w to, ale może jednak ktoś wam mówił, że tamten domek nie jest jej własnością. Ale ja wam powiadam, że kłamie każdy, kto tak gada. Dom do niej należy i nie jest obciążony żadnymi długami. I jeszcze coś powinniście wiedzieć: na padaczkę chorowało jej dziecko, które zmarło tej zimy, a tych troje, które ma...

- Wdowa Rena — wycedził Rafaël przez zęby i zerwał się jak oparzony. Jego oczy zapłonęły wściekłością.

— Tak, ona, właśnie ona, czekałam, żebyście pierwsi wymówili jej imię—ucieszyła się staruszka. — Słyszałam, że ją bardzo szanujecie, że rozmawiacie z nią chętnie, kiedy przychodzi do was z jakąś robotą. Usiądźcie, chcę wam jeszcze powiedzieć, że...

— Co mi chcecie powiedzieć? Co? — Rafaël gniewnie przerwał tja Steruczy.

Staruszka patrzyła z otwartymi ustami i zauważyła, że jego twarz ściąga się groźnie, robi się mroczna.

— Co się stało, sinior Rafaelu?— zapytała, zdjęta strachem, że może dostać padaczki.

Szewc pchnął nogą skrzynię, przesunął ją na właściwe miejsce i usiadłszy wziął się do roboty.

— Na Boga, co się stało?

— Nic! — odparł Rafaël szorstko i zakasławszy splunął w kąt.

— Nie odpowiada wam siniora Rena?

— Nie odpowiada.

— Na miły Bóg, czego jej brakuje? Nie odrzucajcie tej partii. Będziecie z nią żyli jak pasza.

— Nie chcę żyć jak pasza!

— Jak to, nie chcecie?—staruszka nie mogła się nadziwić nie tyle odpowiedzi Rafaela, co jego wzburzeniu.

— Nie chcę!

— Ale zastanówcie się, jesteście wdowcem już cztery lata. Chcecie nim być do końca życia? Mała Streja się męczy....

— Niech się męczy! Nie chcę i już! — Rafaël rzucił but w kąt i sięgnął po drugi.

Tja Steruczka szybko naciągnęła na głowę szal i mamrocząc coś po cichu wyszła na zaułek.

Rafaelowi trzęsły się ręce. Nie mógł pracować ani młotkiem, ani sztyłem. Zżymał się z gniewu i wewnętrznie

69

dygotał. Po raz pierwszy zrodził się w nim jakiś sprzeciw, jakiś krzyk, pragnienie, żeby pogrozić zacziśniętą pięścią. Prawie sam siebie nie poznawał. Co to jest, czego chcą od niego? Czyżby go znów chcieli związać z kobietą, z którą pędziłyby nędzne życie? Tę kobietę dla niego znaleźli, wdowę Renę, chuderlawe stworzenie z wolem na szyi! Dwa, trzy lata się kręca koło niego, ciągle go nachodzą, nagabują, i oto kogo znaleźli! Zawsze jakieś wdowy z kupą dzieci! Gdyby przynajmniej były zdrowe, ale gdzież tam, wszystko jakieś sterane życiem, wycieńczone istoty. Miałby na nie i na ich dzieci harować, tyrać, zginać kark, aż się całkowicie przełamie w pół i zwali na ziemię! Gdyby nie walczył, gdyby się nie przeciwstawił, już przed dwoma laty związałyby go z wdową Leją i dziś sześcioro jej dzieciaków darłoby się w jego domu. Nawet chleba nie mógłby im nastarczyć! A jego Streja dawno wyglądałaby jak cień. Obce bachory szarpałyby ją za włosy, codziennie by dostawała czymś po głowie, z ust wyrzywałyby jej kęsy...

I mają przy tym czelność mówić o jego szczęściu! Phy, wstydziliby się! Rena! Rena miałaby mu przynieść szczęście!

Splunął jeszcze raz, następnie zaś, pchnąwszy stołek, podniósł się i wyszedł z warsztatu.

Skierował się do czesmy i tutaj się obmył. Długo skrapiał zimną wodą czoło i oczy. Tak jakby chciał przepędzić z głowy jakieś dręczące myśli.

Wracając do warsztatu lekko się kołysał i wpatrywał w blacharskie zakłady. Zdawało mu się, że jeśli nikt inny, to przynajmniej blacharz Santo poprosi go na rozmowę. Był spragniony jednego dobrego słowa.

Blacharz Santo jednak nawet go nie zauważył. Zajęty był robotą. Razem z synem Lijaczem przymocowywał nogi do dużego czworograniastego blaszanego pieca.

8

W poniedziałek Rafael sam wstąpił do blacharza Santa. Postanowił podjąć z nim rozmowę na temat Simchy, poprosić go, żeby mu, jako jego najbliższy sąsiad, załatwił 70 tę sprawę. Bądź co bądź wszystko już było gotowe. Jeszcze tylko trzeba porozmawiać z sarafem Danielem.

Rafael najpierw się długo decydował, czy samemu nie pójść do sinior Daniela i jego żony, siniory Bulki. Myślał, że tak byłoby najlepiej. Pójdzie do nich, powie, dlaczego przyszedł. Rozmówi się otwarcie i sprawa zostanie załatwiona szybko i jak należy.

Obmyślił wszystko, co powie sinior Danielowi. Przygotował każde słowo, szykował się zresztą do spotkania przez wiele dni i nocy. Postanowił, że zakończy słowami: Z tych wszystkich powodów chcę się ożenić z Simchą. A jeśli chodzi o posag, cokolwiek jej dacie, ja się tym zadowolę.

Dziwił się, że do głowy przychodzi mu tyle słów i tyle rozumnych myśli. Rozumnych i stanowczych. Wyobrażał sobie, jak wchodzi do zakładu, jak sinior Daniela zastaje przy stole samego i nie zajętego. Siedzi, palcami przesuwając perliste paciorki różańca, kołysze się. Kiedy stanie w drzwiach, sinior Daniel się nieznacznie poruszy, co prawda nie podniesie się, przywita go jednak z należytą uwagą i ręką da znak, żeby usiadł; podsunie mu też pudełko z tytoniem i poprosi swoich pomocników, by podali kawę. Po zwyczajowych słowach przywitania i formułkach dotyczących zdrowia i interesów, rozmowa sama przez się przybierze właściwy obrót. Sinior Daniel, chwając swoją służącą, będzie wyrażał żal, że odchodzi z jego domu, ponieważ jednak on, Rafael, jest człowiekiem charakteru, uczciwym i pracowitym, cieszy się, że będzie jej u niego dobrze. A jemu, Rafaelowi, też będzie przyjemnie; Simcha to dziewczyna zdrowa, pracowita, o pogodnym usposobieniu, porządna.

Tak oto Rafael wiele razy wyobrażał sobie rozmowę z sinior Danielem i zawsze, kiedy dochodził do tego miejsca, zatrzymywał się; ogarniał go dziwny zachwyt, czuł się półprzytomny.

Natomiast kiedy szedł ulicą i kiedy sobie przypominał te swoje rojenia, odczuwał wstyd wobec samego siebie

1 dziwił się, że mogły mu do głowy przyjść takie myśli. Gdy zaś musiał przejść ulicą, przy której znajdował się zakład sarafa Daniela, drżał ze strachu, żeby się z nim nie spotkać. Bał się, że sinior Daniel z jego oczu wyczyta

71

wszystkie te szalone i niewczesne marzenia. Przecież sinior Daniel poczułby się zażenowany! I słusznie. Takich spraw się nie załatwia w podobny sposób. Słyszana to rzecz!

Skręcał szybko w pierwszą uliczkę i patrząc przed siebie pośpiesznie wchodził do swojego warsztatu. Postanowił więc porozmawiać z blacharzem Santem. Owego poniedziałku nagle przerwał robotę i odłożywszy na bok nóż, którym właśnie krajał skórę na zelówki, otarł spocone czoło, odpiął skórzany fartuch i skierował się do sąsiada.

Tego dnia był zdecydowany. Każdy jego ruch zdradzał stanowczość. Wiedział, że blacharz Santo jest sam, że jego syn Lijaczo pojechał na Bjelave* naprawiać jakieś ryny, powinien więc skorzystać z okazji.

Wszedłszy do zakładu sinior Santa, pozdrowił go. Blacharz był w dobrym nastroju. Pomocnikom kazał zaraz zaparzyć kawę. Rozmawiali o robocie, o jakimś handlarzu, który kupił bardzo kiepską blachę, i o tym, co słychać na mieście. Wreszcie. Rafaelowi się udało zręcznie nawiązać do swojej sprawy.

— Dobra dziewczyna z tej Simchy — powiedział stawiając filiżankę przed sobą.

— Z Simchy? Której? — zapytał blacharz z werwą i po trosze tak, jakby był zdziwiony, jakby pierwszy raz słyshał to imię. W duchu tymczasem pomyślał: Ładne kwiatki! Mój Lijaczo wybrał sinior Rafaela, żeby mi powiedział jakieś dobre słowo o Simsze. Ale się chłopak zapalił!

— Wiecie, którą mam na myśli. Widzieliście, jak przechodzi tędy... w każdy piątek...

Blacharz patrząc na Rafaela dobitnie się uśmiechał. Szewc wstydliwie opuścił wzrok.

— O, mój sinior Rafaelu! Wiele, bardzo wiele o tym myślałem. Owszem, to dobra dziewczyna, przynajmniej wam słusność. Ale ma jeden feler.

Rafael, zaskoczony, poruszył się nieznacznie i uniósłszy głowę popatrzył blacharzowi w oczy.

— Feler? Co wy mówicie!?

— Tak, feler! Feler, kochany sinior Rafaelu — potwierdził blacharz z nutą smutku w głosie, po czym dodał: — Dlatego do tej pory nie wyszła za męża. Co, wyście o tym nie wiedzieli?

Rafael czuł się zmiądzony. „Dlatego do tej pory nie wyszła za męża!” Toż to, na miłość Boga, musi być ciężki feler! Przez cały czas, od kiedy zainteresował się Simchą, ani razu nie pomyślał, że dziewczyna może mieć jakąś wadę. Po prostu sądził, że nie wyszła za męża, bo nie było okazji. Nic poza tym. A jaka to może być wada? Ma obydwie nogi. Ręce też. Nie jest, z całą pewnością, głucha, nie jest też niema ani ślepa. O tym wie na pewno. A co innego mogłoby być? Co? Nagle pomyślał, że to pewnie chodzi o jakąś sekretną chorobę, o jakieś kobiece historie. Różne rzeczy przychodziły mu do głowy. Zrobiło mu się nieswojo. Poczul ścisnięcie serca. Proszę, jaki jest pechowy! Simcha, dziewczyna, o której tyle marzył, o której myślał, że przyniesie mu radość i szczęście, nawet ona, na pierwszy rzut oka tak zdrowa, dotknięta jest ciężką chorobą, ma jakąś poważną wadę, brzydką, straszną... i zamiast szczęścia przynosi strapienia... Na Boga, czyżby to było możliwe!

— Ależ jaki feler może mieć Simcha, jeśli wolno i jeśli można o tym mówić? — zapytał zrozpaczonym głosem.

— Przecież wiecie jaki! To nie jest żadna tajemnica. Dziewczyna się jąka.

— Jąka się?

— Jej matka też się jąkała. To u nich rodzinne. Rafael odetchnął. A więc to jest ta wada! Wszystko wokół niego znowu oblało się słońcem. Jąka się! Nagle to słowo wydało mu się miłe. Przecież to nic nie jest! Nic! O, Panie, dzięki ci, dzięki stokrotnie!

Rafael się poruszył, wygodniej usadowił na stołku i poczuł, że wracają mu siły. Krótka trwały męczarnie, które przechodził, choć, trzeba przyznać, łatwo mu nie było. Teraz jego spojrzenie się rozpuściło, radość zaś, szczęście, o którym tyle razy śnił, a które na krótko znikło z horyzontu, znowu się pojawiło. Wysuwając ręce, jakby chciał to szczęście do siebie przyciągnąć, powiedział szybko i z przekonaniem:

— Wiem o tym, sinior Santo. Jest tak, jak mówicie. Jąka się. Ale trochę, bardzo niewiele.

Rafał kłamał. Teraz po raz pierwszy słyszał, że się Simcha jąka. Ale ponieważ dla niego nie miało to większego znaczenia, chciał jak najszybciej przejść nad tym do porządku i zająć się istotą sprawy.

— Siniór Santo, nie ma o czym mówić — dodał i sięgnął po filiżankę.

Błacharz jednak (który ze swoim Lijaczem więcej się sprzeczał z tego powodu, że dziewczyna się jąka, aniżeli z powodu jej lat) nie dawał za wygraną:

— Proszę, nie mówcie tak, siniór Rafał! Ja wiem, wy mnie darzycie szacunkiem, mnie i moją rodzinę, a lubicie też mojego Lijacza, o wszystkim tym wiem, ale mylicie się. Zapominacie, że nasi przodkowie mówili: Tak wybieraj, abyś to ty został wybrany!

— Tak jest. Ale tutaj nie chodzi o jakiś poważny feler. Powiadam wam, Simcha się jąka, ale bardzo niewiele. Rozmawiałem z nią tyle razy — kłamał Rafał z uporem godnym lepszej sprawy.

— Nie wiem, jak wam odpowiedzieć. Nie rozmawiałem z dziewczyną, ale mnie zapewniano, że się paskudnie jąka.

— Nic podobnego, zaręczam wam. Jąka się niewiele i, Bóg mi świadkiem, nie widzę w tym nic złego. Mnie to nie przeszkadza. Poza tym jest pracowita, dobra, solidna, a to przecież najważniejsze.

— No dobrze, dobrze, siniór Rafał! — zaczął Santo zmienionym głosem i nieco bardziej pojednawczo. — Jesteście rozumnym człowiekiem, sami przyszlście do mnie, wierzę, że ale mówicie tak, powiedzmy, jak ten mój postrzeleniec, Lijaczo, wszystko przemyśleliście dokładnie i ze spokojem. Jesteście przecież człowiekiem trzeźwym.

— Wszystko przemyślałem i przychodzę do was jako do swojego dobrego sąsiada i przyjaciela z prośbą, żebyście poszli do sarafa Daniela i porozmawiali z nim.

— Dobrze, siniór Rafał, pójdę do niego, skoro wy tak radzicie, i porozmawiam, a rozmówię się też z dziewczyną... siniór Rafał.

Jakiś klient, który wszedł do zakładu, przerwał im rozmowę, Rafał więc wrócił do swojego warsztatu, i Był pijany ze szczęścia — ze szczęścia, które człowiek zdolny jest odczuwać tak głęboko tylko we śnie. 1 74 Przyszły dni ciężkiego wyczekiwania. Rafał mitygował serce i z niecierpliwością czekał. Szukał też sposobności, żeby się jak najczęściej widywać z błacharzem Santem, za każdym razem jednak, kiedy go spotykał, tak się podniecał, że krew uderzała mu do głowy, mrok padał na oczy. Co z rozmowami z sarafem Daniłem? Czy już zostały zakończone? Może na czymś utknęły? Może zaszły niespodziewane przeszkody?

Dni mijały powoli, błacharz Santo zaś milczał jak zaklęty, nawet jednym słowem nie wspominał ani sarafa Daniela, ani Simchy. Tylko że jego pozdrowienia z każdym dniem stawały się serdeczniejsze, a oczy promieniowały coraz większym zadowoleniem, zdradzały pogodniejszy nastrój.

Rafał miał wrażenie, że między nim a błacharzem Santem zadzierzga się jakaś serdeczna więź, rodzi się głęboka przyjaźń. To dodawało mu sił i otuchy. Nie przejmował się nawet tym, że Santo ostatnio milczał. Rafał bowiem z jego oczu czytał pomyślne wieści. Był całkowicie przekonany, że sprawa przybrała korzystny obrót, że więc skończy się dobrze. Co prawda rozwiązywana jest zbyt wolno, ślamazarnie, ale jemu to nie przeszkadza. W pewnym sensie lepiej nawet, że tak się dzieje, nie jest przecież dobrze, kiedy się tego rodzaju sprawy załatwia w wielkim pośpiechu. Tak się Rafał pocieszał.

Wreszcie pewnego rana, kiedy się tego najmniej spodziewał, błacharz Santo przemówił:

— Cieszcicie się razem ze mną, siniór Rafał, wszystko idzie dobrze. Nawet bardzo dobrze! Cieszcicie się, wszystko może się zakończyć nawet dziś.

W ciągu całego tego dnia Rafał był rozradowany do ostatecznych granic. Gdyby nie było mu wstyd, zaczęłby śpiewać, jak Lijaczo, który śpiewał tak głośno, że wszystko dokoła rozbrzmiewało.

Tego samego dnia po południu u Rafała znów niespodziewanie zjawił się parasolnik Kuczo. Wszedł do zakładu szybko i już w progu oznajmił, że tym razem przychodzi, by mu zaproponować młodą kobietę, dziewczynę.

— Dziewczynę? — Rafael uniósł głowę. — Którą dziewczynę?
— Simchę, siostrę Rafaelu! A Simcha znaczy: radość!
— Simchę? — Rafael zaniemówił. Czyżby blacharz Santo powierzył Kuczowi sprawę układania się z sarafem Danielem? Ciekawe, dlaczego to zrobił? Ależ nie, to niemożliwe. Niemożliwe choćby z tego powodu, że parasolnik by to już na pewno wypaplał. Zaraz, zaraz! A może siostrę Santo go nie wtajemniczał w to, że oni dwaj rozmawiali...

W głowie Rafaela zderzały się i krzyżowały sprzeczne myśli.

— Którą Simchę? — zapytał nagle i popatrzył na parasolnika prawie nieprzytomnie.

— Simchę kupca Eliezera Parda — odpowiedział pośrednik uroczyście i dumnie odrzucił głowę do tyłu. — Co wy na to? — mówił dalej z jakimś dziwnym zadowoleniem. — Ze świętego rodu dziewczyna, co? Czemu patrzycie na mnie tak? Dziwicie się? Nie ma się czemu dziwić. Powiedźcie tylko, ile chcecie posagu, i sprawa nie dalej jak dziś zostanie załatwiona. Eliezer Pardo was bardzo szanuje. Szanuje was jako solidnego, dobrego i uczciwego człowieka.

— Szanuje mnie?

— Tak, szanuje.

— Widzę, jak mnie szanuje! — powiedział Rafael oschle. Na jego twarzy coraz silniej malował się wyraz pogardy.

— Powinniśmy mówić szczerze. Szanuje was i ma za co. Wszyscy was szanujemy.

— Wy też mnie szanujecie. Wiem o tym doskonale. I widzę.

— Myślę, że przy każdej sposobności dawałem temu wyraz.

— Tak, przy każdej. Zawsze proponowaliście mi kobiety jak wdowa Rena. Wy mnie bardzo, bardzo szanujecie. Rzeczywiście.

Głos Rafaela drżał ze wzburzenia.

Wszystkie te kobiety były godne szacunku — odpowiedział parasolnik. — Ale dajmy im dziś spokój. Dziś nie będziemy o nich mówić. Dziś przyszedłem do was z inną propozycją.

76

- Proponujecie mi garbatą dziewczynę.

— Owszem, Simcha, córka Eliezera Parda, jest garbata. Zgadza się. Ale to wola Boża. Czy człowiekowi wolno się gniewać, że córkę Eliezera z woli Bożej spotkał taki los, wiecie lepiej ode mnie. Jesteście człowiekiem pobożnym. Czyż nie tak, siostrę Rafaelu?

Opanowanie, a zwłaszcza spokój, z jakim parasolnik mówił, prowokowały Rafaela Maczora do tego stopnia, że już, już miał go obrzucić potokiem przekleństw. Ale myśl o tym, że blacharz Santo właśnie w owej chwili rozmawia w jego sprawie z sarafem Danielem, że chwali go jako człowieka pobożnego i rozumnego, odwołała go od tego, powoli przywracała spokój. Starał się opanować, nie mógł jednak całkowicie uśmierzyć wzburzenia, nie mógł nie powiedzieć pośrednikowi paru ostrych, a nawet obraźliwych słów. Z tym osobnikiem, który na pierwszy rzut oka robi wrażenie człowieka tak spokojnego, tak dobroniusznego i życzliwego ludziom, a który w duszy — jak sądził Rafael — jest skrajnie chytry i przebiegły i w którego oczach za okrągłymi grubymi szklami czai się naga złość i kłamstwo, z tym osobnikiem — Rafael czuł to instynktownie — trzeba raz na zawsze zerwać wszystkie stosunki i właśnie dzisiaj, skoro nadarza się okazja, otwarcie i bez ogródek mu powiedzieć, co o nim myśli. Powinien się dziś obrachować z tym Kuczem, człowiekiem, który za wszelką cenę chce jemu, Rafaelowi, do szyi przywiązać ciężki kamień, całkowicie i raz na zawsze go zniszczyć, choć nigdy nie zrobił mu nic złego — ani jemu, ani komukolwiek innemu.

W Rafaelu wszystko się gotowało.

— Macie rację — powiedział, starając się wszystkimi siłami mówić spokojnie, w sposób opanowany, jak mówił parasolnik — naprawdę wiem, kiedy człowiekowi wolno się gniewać, a kiedy nie. Wiem i nikt nie powinien nawet próbować mnie pouczać. Wbijcie to sobie do głowy, siostrę Kuczo! Tak, mocno to sobie wbijcie do głowy!

Przekonany, że powiedział coś mądrego, rozumnego, a nie wiedząc, co dalej mówić, Rafael się pochylił, sięgnął po but, igłę i sztyl, i wziął się do roboty.

Parasolnik się nie zmieszał. W dalszym ciągu na wszystkie możliwe sposoby usiłował Rafaela ułagodzić.

77

Głosem, jakim rabi mówi w świątyni w czasie kazania, objaśniał, że każdy człowiek ma jakąś wadę, ale oprócz wad ma też zalety. Przytaczał wszystko, co wiedział

0 kupcu Eliezerze Pardzie i jego Simsze, wynosząc pod niebiosa i ojca, i córkę.

Rafael pracował, ale i słuchał Kucza, co więcej, z uwagą śledził jego słowa, ile razy zaś parasolnik zwracał się do niego z zapytaniem, czy jest tak, jak mówi, Rafael kiwał głową i stwierdzał: „Owszem, tak jest. Tak jest.”

Wreszcie kiedy Kuczo wyliczył wszystkie zalety garbatej Simchy i kiedy — w przeświadczeniu, że nadeszła stosowna chwila — poprosił Rafaela, by powiedział swoje ostatnie słowo, szewc, uniósłszy głowę, rzekł ze spokojem

I opanowaniem:

— Słuchajcie, co wam powiem, sinior Kuczo. Wy macie dorosłego syna. Proszę, nadarza się wspaniała okazja, żeby go ożenić! Rodzina jest dobra, lepszej nie znajdziecie! Posag też jest duży, a to, że panna jest garbata, nie ma przecież żadnego znaczenia. Bóg tak chciał. Sinior Kuczo, weźcie Simchę za synową! Będziecie szczęśliwi wy i wasz syn!

Mówiąc tak Rafael patrzył na parasolnika z uśmiechem, który promieniował dziką, niepoahamowaną radością.

Pośrednik wstał natychmiast i wyszedł.

Rafael był zadowolony. Zdawało mu się, że nigdy nie był tak zadowolony. Rzucił but i narzędzia i zapalwszy papierosa usiadł na progu swojego warsztatu.

Wypuszczając kłęby dymu oddawał przechodniom pozdrowienia, a jednym okiem zerkał w stronę warsztatu sinior Santa. Choć niczego nie mógł dokładnie zobaczyć, czuł, że Santa nie ma w blachami. Santo jest u sarafa Daniela! Santo teraz jest tam, właśnie tam! — Rafael nie posiadał się ze szczęścia.

Tacy ludzie jak Rafael ciągle żyją jakimiś przeczuciami. Najdziwniejsze jest to, że ich przeczucia często się sprawdzają.

Nie minęło wiele czasu, kiedy blacharz Santo się zjawił.

— Dobry wieczór! - - powiedział mocno zasapany. — Wejdzmy do waszego warsztatu i przykniemy drzwi, sinior Rafaelu! Sprawa została załatwiona... Wracam

78

właśnie od sarafa Daniela... Byłem nawet u niego w domu!

Rafael, staniając się, doszedł jakoś do swojego wyściełanego stołka. W duchu odmawiał modlitwę, prosząc Pana, żeby dał mu siły, aby mógł znieść tę radość.

Blacharz Santo, tak samo podniecony, przysiadł na krześle. Łapiąc oddech mówił dalej:

— Słuchajcie, sinior Rafaelu! Rafaelowi zadrgała szczeka.

— Dziś rozmawiałem i z sinior Danielem, i z siniorą Bulką, a rozmówiłem się też z Simchą. — Blacharz położył rękę na ramieniu Rafaela. — Czy dacie wiarę, sąsiedzie, dziewczyna rzeczywiście się nie jąka. To złoto, nie dziewczyna.

Rafael Maczoro patrzył na blacharza Santa, lecz prawie go nie widział. Oczy miał pełne łez. Chciał coś powiedzieć, ale krztusił się z nadmiaru szczęścia.

— Nie jąka się, mówię wam. Albo, żeby już powiedzieć prawdę, tak niewiele, że można swobodnie powiedzieć, że się wcale nie jąka. Jeszcze coś wam powiem: jestem zadowolony, jestem bardzo zadowolony. A jak, kochany, miałbym nie być zadowolony! To złoto, złoto, nie dziewczyna. Jest dobra jak dobry dzień, jest pracowita i bije od niej jakaś pogoda. Siniora Bulka mnie zapewniała, że jest czysta, zacna, zapobiegliwa, zawsze w dobrym nastroju, wiecznie rozśpiewana. A jej zdrowie, jej zdrowie jest największym skarbem, sinior Rafaelu. Kiedy człowiek na nią patrzy, ma wrażenie, że rozsadza ją ciężyzna i siła.

Rafael się trzymał za kolana. Wszystkie mięśnie jego ciała drgały. Twarz miał rozpaloną.

— Sinior Daniel nie mógł się jej dość nachwalić. Żał mu, że zostanie bez niej, ale, cóż, dziewczynie czas wychodzić za męż. Dosyć czekała, powiada. Niech się jej szczęści, tym bardziej że trafia się jej tak wspaniała partia. Powiedział też, że da taką wyprawę i posag, jakby była jego rodzoną córką. Gotów dla niej zrobić wszystko.

Rafael się pocił, był cały mokry.

— Nie będę was dalej zanudzał, sinior Rafaelu. Podałem dłoń sinior Danielowi, objęliśmy się. Simcha pocałowała mnie w rękę. Cóż, sinior Rafaelu, niech im się szczęści! Kochają się, już od pół roku jedno za drugim

79

szaleje. Zresztą sami o tym wiecie, widzieliście wszystko na własne oczy. Co prawda ja swojego Lijacza ostrzegłem, mówiłem, że dziewczyna się jąka, że jest od niego starsza o tyle i tyle lat. Ale dla niego to nie ma znaczenia. Uparł się: ona albo żadna inna.

Rafał z oczami pełnymi łez popatrzył na blacharza Santa jak ktoś nieprzytomny. Powoli z jego oczu zsuwała się ciężka i gęsta zasłona. Jakby przez cały ten czas trwał w oblędzie i jakby teraz zaczął wracać do świadomości; jakby się błąkał w ciemnościach i nagle wyszedł na światło.

Ale jednocześnie coś się w nim przeżyło, sprzeciwiało, buntowało: przecież Lijaczo nie ukończył jeszcze dwudziestu lat!

Tymczasem blacharz Santo mówił w dalszym ciągu z entuzjazmem:

— Zresztą sami widzieliście, sinior Rafaelu. Simcha jest szalona, tak jak on. Każdego piątku, kiedy przechodziła tędy, patrzyła na Lijacza jak obląkana. Mało tego, kiedy dochodziła do rogu ulicy, odwracała się, szukała go wzrokiem. A ten mój narwaniec zawsze rzucał robotę i wyglądał albo przez okno, albo przez drzwi. Gniewałem się, że im nie wstyd, że się zachowują, jakby nikt ich nie widział. Jakby na Limarskiej byli sami! Ale co robić. My też byliśmy młodzi.

Blacharz Santo machnął ręką i wstał.

— Złóżcie mi powinszowania, sinior Rafaelu, uściskajmy się, bo muszę już iść, dziś muszę wrócić do domu wcześniej. I wiedcie, sąsiedzie, że gdybyście mi wy któregoś dnia tak rozsądnie nie radzili, nie wiem, czybym się sam zdecydował i poszedł do domu sarafa Daniela. Wyście mnie do tego skłonili, więc wam dziękuję.

Blacharz uściśnął Rafaelowi dłoń, a następnie długimi krokami wyszedł na ulicę.

Zapadał wieczór.

Na Limarskiej przycichał hałas. Młoty przestawały stukać, a blacha dźwięczeć, po krótkim więc czasie w zaułku zapanowała zupełna cisza. Upiornie rozbrzmiewały kroki rzadkich przechodniów. Do wszystkich zakątków wciskał się mrok.

80

Zakłady rzemieślnicze dawno pozamykano. Otwarty był jeszcze tylko warsztat szewca Rafaela Maczora. W nim zaś na wyścielonym stołku siedział Rafael. Jego ręce spoczywały na kolanach. Nie przestawał patrzeć na drzwi zakładu. Na jednej desce w drzwiach dostrzegł sęk z przedziwnymi słojami dokoła. Rafael nie odrywał od nich wzroku, naprawdę jednak nie widział ani słoików, ani sęka. Uparcie patrzył w dal, poza te rysunki w drzewie, poza drzwi warsztatu. Tam, gdzieś daleko, ukazywała mu się jego nieboszczka żona, chora Luna. Biedna kobieta. Siedziała na łóżku. Na jej nogi narzucona była kołdra, owa ich zatłuszczona, sfatygowana kołdra. Z tego miejsca I patrzyła na Rafaela, patrzyła swoimi smutnymi oczami, które tyle wycierpiała. Długo na niego patrzyła. Nagle jej cienkie wargi się poruszyły, usłyszał, jak wyszeptała: Rafaelu, Rafaelu... Z tonu jej szeptu, mimo że był cichy, ledwie uchwytny, Rafael wyczuł, że przemawia do niego dusza, która bardzo go żałuje.

i
J

Hanka

Na wiosnę kwieć się jabłonie, a płatki mają różowe. Potem przez całutkie lato dojrzewają owoce. Niektóre napocznia robak i toczy ich serce. Te na jesieni odrywają się same, nawet jeśli nie ma wiatru...

...Siedzę tak tej jesieni i zdaje mi się, że słyszę, jak pnie — bo jabłka obrodziły — jęczą pod ciężarem. Pachnie trawa. Przebieram w niej, żeby się przekonać, czy nasiona już dojrzały. Obok puszystej kuli dmuchawca widzę jabłko. Spadło na rumianą stronę i tu nieco zmiękło. Zdmuchuję mrówki, palcami rozrywam owoc na dwie części. Ze środka, ze stoczonego serca, wysuwa się tłusty, pokryty delikatnymi fałdkami robak. Żywe ciało koloru perlistego jest w nieustannym ruchu. Główkę ma twardą i czarną, obraca ją to w prawo, to w lewo. Wreszcie prostuje się i w tej pozycji zastyga, jakby mi się przyglądał. Trzymam w dłoni owoc, patrzę: srebrzysty, drobno fałdowany robak.

„To jej serce, na pewno jej, Hanki...” — coś za- szeptało, niby wypełniająca mnie całego radość. Ukazała mi się tak, jak zobaczyłem ją pierwszy raz. A wtedy widziałem ją uśmiechniętą, szczęśliwą. Leżała w ogrodzie . za urzędem gminnym, wyciągnięta na deskach. Tłumek ciekawskich wspinał się na parkan i patrzył. Jej martwa ręka zwisała, żółta, wystygła. Nad ciałem, połyskując w słońcu, brzęczały zielone muchy.

Trudno mi teraz powiedzieć, kiedy rozpędzili gapiów i kiedy się przy mnie znalazła Sejda, chuda stara Cyganka.

82

— Zasłonę ją, jak będziesz otwierał brzuch, żeby jej nie zobaczył któryś z naszych mężczyzn. Błagam złociutkiego pana.

— Dobrze — odpowiadam i w tej samej chwili widzę, że martwa Cyganka, kiedy do niej podchodzę, uśmiecha się do mnie. Oczy ma na wpół otwarte. Są ciemne i jeszcze lśnią. Ale smagłe policzki, tu i ówdzie usiane drobnymi pieprzykami, żółkły, mocno żółkły. Wokół lekko rozchylonych warg — uśmiech. Radosny, szczęśliwy.

Przechodzę na drugą stronę. Stąd, wzdłuż lewej części brody i na szyi, widzę strużkę zeschniętej krwi. Zresztą z ust ściekła aż do piersi. Krwią poplamione są i pojedyncze perły w tanim naszyjniku.

Stara Sejda ściąga z dziewczyny sukienkę.

— Widzisz, panie, jest piękna, jakby jeszcze była dziewczyną. A przecież wyszła za męża dwa, trzy lata temu, może trochę więcej, tylko nie rodziła. Teraz, nieszczęsna, miałaby pierwsze dziecko. Zobaczysz, złociutki, kiedy otworzysz brzuch. Niedawno poczuła życie w swoim łonie, po Ilindanie*. Dziesięć dni temu.

Na łono i piersi umarłej narzucę sukienkę.

— A dlaczego ją tak pokłuł?

— Nie wiem, złociutki, nie wiem. Oboje diabłu z ogona się urwali, oboje. Pchnął ją nożem dziś rano, w samych drzwiach... Zaczęła biec, on za nią, dopadł ją na progu i> podźgał całą przy lewej łopatce. Serce pewnie też uszkodził, zobaczysz, złociutki...

Patrzę na dziewczynę z tej strony, z której widać jej uśmiech. Patrzę na nią, a ręką sięgam po skalpel.

— A czemu się tak śmieje? — pytam niby siebie, a odpowiada mi stara Sejda:

— Nie śmieje się, jakżeby się mogła śmiać, skoro się pożegnała ze światem tak młoda. Jakżeby mogła! Owszem, lubiła robić na złość, była zdrowa, tęga, a i młodość ją rozpierała. No i zawzięła się, wstyd powiedzieć, uciekała od swojego mężczyzny, nie chciała się z nim położyć ani na jeden wieczór, od kiedy wrócił, przez te

ostatnie osiem dni. Wieczorami siadywała przy wozie starego Muszana. On grał na szargii, a ona śpiewała i prowokowała: „Sejdo, czemu się do nas nie przy- siądzisz? Chodź, tobie też zaśpiewam.” No i doigrała się, Allah ją pokarał! Teraz wszystkich nas, Cyganów, będą po sądach ciągać...

Rozgadała się stara wiedźma, więc przerywam jej, mówiąc:

— Odsuń te fatalaszki i nic przykrywaj jej!

Kładę rękę na brzuchu, zaczynam macać:

— Przecież nie jest w ciąży — stwierdzam. — Po co kłamiesz, że w swoim łonie poczuła życie?

— Jest, złociutki, jest, zobaczysz, kiedy otworzysz brzuch. Życie poczuła, dziesięć dni temu...

Odwracam się, obrzucam starą surowym spojrzeniem.

— ...jest, poczuła — zapewnia Sejda, przysuwa się do mnie, szepcze: — Ona sama mu tak powiedziała: „Już ciebie nie chcę. Jedź do tamtej, do Zvornika. Jest cieńsza i starsza ode mnie... powiadają, że ma nawet piętnastoletniego bachora. Jedź do niej, ja cię nie chcę. Nie chcę, rozumiesz, nie chcę!” Tak, panie, tak gadała do swojego mężczyzny. A do nas też mówiła: „Nie chcę go. Ja też wolę starszego i brzydszego. Chcę, żeby się ode mnie odczepił, wtedy wyjdę za Muszana. Choćbym miała przy nim zdechnąć!” Mitygowaliśmy ją: „Daj spokój, Hanka, nie szalej! Będziesz żoną Muszana, a masz takiego Sejda. Muszan to przecież gurbet*.” — „Nie szkodzi — wołała — nie szkodzi, ja także jestem z gurbetów, a wy też...”

Wreszcie zjawił się protokolant, a po nim i sędzia śledczy, który w gminnym areszcie przesłuchiwał mordercę.

• Zaczęła się sekcja zwłok. Sejda huknęła, przewracała oczami, unikała spojrzenia sędziego.

Wydobyłem serce z dołka skrzepłej krwi.

— Widzisz, jak się krew rozlała... Serce też zranił, serce też, mówiłam ci, panie, że...

Trzymam w dłoni serce dziewczyny i macając szukam w nim rany. Kładę je na desce, oglądam. Widać ślad pchnięcia nożem, głęboki, sięgający obu komór. Kiedy je obmyłem w zimnej wodzie, zrobiło mi się żal Hanki. Biedna dziewczyna! Jeszcze dziś rano jej serce żyło i biło niczym niepojęty cud. Biło mocno, przekornie, biło i unosiło te piękne piersi. Może jeszcze wczoraj, odwrócona do niego, czerwona na twarzy, zasapana, z blaskiem w oczach, mówiła: „Proszę, zabij mnie, zabij, ale to serce nie do ciebie należy, jest cudze, moje i jego... Proszę!” Może to ona rozdarła sukienkę i koszulę, żeby mu pokazać piersi. Jak musiały wtedy świecić jej oczy, jeśli martwe jeszcze tak lśnią! A dlaczego się tak śmieje? Dlaczego się śmiejesz, Hanko? Mów! Może pięknie jest umierać w uniesieniu i namiętności, kochać w sposób niedozwolony, ale nieskrępowanie i jawnie, i wystawiać piersi na cios noża: „Proszę, zabij mnie!” A może to wszystko kłamstwo? Ta stara Cyganka mówi, że Hanka właśnie poczuła życie w swoim łonie, a przecież, nie ma żadnego śladu ciąży. Może padła ofiarą sprzeczki, może poszło o jakąś drobnostkę, o głupstwo. To przecież Cyganie, gurbeci...

— Piękna Cyganeczka — słyszę, jak sędzia Jurak mówi do porucznika.

— I uczciwa... pracowita... — uzupełnia porucznik. Ja zaś tnę i tnę serce, otwieram je, kawałkuje, zaglądam do wszystkich zakątków, przetrząsam, szukam i nagle trzeźwieję: Czego szukam? Niczego! Kładę je na desce.

— Teraz panowie zobaczą dziecko, może jeszcze jest żywe... — mówi Sejda, podczas gdy ja dalej rozpruwam zwłoki, i pochyla się nad moimi dłońmi.

— Nie ma niczego, niczego... — stwierdzam — nie widzę nic, ani żywego, ani martwego...

— Jest, złociutki, jest, dziecko Muszana, starego Muszana... — szepcze Sejda i odgarnia jelita z dna brzucha.

— Nie ma... O, tu powinno być, ale nie ma — odpowiadam patrząc na starą Cyganekę.

Obydwoma rękami zaczyna sama grzebać w brzuchu, potem maca niewielką groszkowatą, twardą macicę i unosząc głowę patrzy na mnie, pyta zdziwiona:

— A czy macicę też otworzysz?

— Proszę bardzo! — mówię i zaczynam ciąć macicę.

— Proszę, nie ma nic.

— Skłamała!... Skłamała, szalona!

Szybko obmyła ręce w wiaderku i wytarłszy je w spódnicę wybiegła z ogrodu.

W chwilę potem Cyganie znów rzucili się na płot, wołali coś po swojemu, sprzeczali się.

Po jakimś czasie Sejda wróciła z papierosem przyklejonym do dolnej wargi.

— Panie, sama mówiła, Allah mi świadkiem! Przysięgam, złociutki! Mówiła do nas, a jemu też powiedziała... Tak, suka, skłamała...

A oto prawda o niej, o Hance.

Mława wypływa w Klokotach. Woda jej jest czysta, ściąga jednak usta, a kamyczki na płytkim dnie — tam, w górnym biegu, gdzie jeszcze nie zdążyła się zmieszać ze Zlatan-potokiem — czerwienią się jak zardzewiałe. Zbiera wszystkie źródła z Klokotów, i te ciepłe, w których latem kąpią się chorzy, i tamto, w którym dziewczęta przemywają oczy, bo, jak wieść niesie, od jego wody oczy nabierają aksamitnego blasku.

Hanka właśnie miała oczy aksamitne, a zęby białe jak każda Cyganka.

Przy końcu lata często chodziła do Klokotów. Przemycowała oczy, a potem wracała bosą, niosąc w ręce płytkie pantofelki. Dimije z przodu zbierała i podciągając do góry wciskała za tasiemkę w pasie. Stąpała, jak stąpają młode dziewczyny, sztywno, od czego falował jej biust pod sukienką z czerwonego perkalu w białe kółka. W drugiej ręce trzymała jakiś kwiat albo gałązkę. Zawsze szła lasem na przełaj i zawsze była sama.

Gdy Sejdo wrócił ze Zvornika, nie było dnia, żeby nie chodziła do klocockich źródeł. Trwało to jednak niecały tydzień.

Kiedy przyjechał — a przyjechał zniecała — stanęła przed nim i długo mu się przyglądała. Potem, odsunawszy się nieco, zmierzyła go od stóp do głowy, wstrząsnęła się i wyprostowała. Wreszcie odchyliła ramiona do tyłu, spojrzała na niego z pogardą i odezwała się:

— Czemuś wrócił?... Czego tu szukasz?... Czemu nie zostałeś nad Driną?... Tak, nad Driną... Różne słuchy

86

dochodziły, o starej Ajkunie też... A teraz ty usłyszysz

o mnie... niejedno usłyszysz...

Przywiózł jej pierścionek i naszyjnik z tanich pereł. Przywiózł też pantofelki i chustę z frędzlami. Z trudem zgodziła się usiąść obok niego i przyjąć prezenty. Trochę się uspokoiwszy słuchała, razem z innymi, jego opowieści i, jakby się zapominając, uporczywie wpatrywała mu się w oczy. Patrzyła i tryumfowała. Ale kiedy dotknął jej ręką, wzdrygnęła się, zmarszczyła czoło:

— Ręce przy sobie!

W końcu się zirytował. Chwyił ją za przegub, zacisnął na nim palce.

— Możesz złamać, głosu z siebie nie wydam!

W południe gdzieś zniknęła. (Poszła do Klokotów

1 dwa razy dłużej niż zwykle przemycowała oczy.)

Sejdo odnalazł ją przed wieczorem, kiedy wrócił z czar- szii, przy wozie Mujkiciów. Włożyła chustę i pantofelki, zawiesiła naszyjnik, a pasek opuściła poniżej talii. Siedząc przy ognisku bawiła się pierścionkiem.

Muszan, wyciągnięty obok niej w pozycji półleżącej, trącał szargiję. Klektała, trzymana przez niego w dłoniach, płytka z kory wiśniowej, słabo naciągnięte struny ledwie było słyhać.

— Hanko! — zawołał Sejdo.

— Zaraz! — odpowiedziała, jakby zaskoczona, i podniosła się.

— Czemuś tak pasek założyła?

-¹— Bo mi się podoba!

Całą noc się sprzeczali.

Prosił ją do siebie, błagał, dawał mieszek z pieniędzmi i dukata, wysupłanego zza pasa.

Haska, starsza Cyganka, wdowa, i jej dwoje dzieci płci męskiej, przewracali się w wozie. Ośmioletni Ramo wstawał parę razy, słysząc przez sen brzęk pieniędzy, rozbudzony lewą ręką tarł oczy, a prawą wyciągał w stronę otwartej części wozu, i bełkotał: „Daj mnie... daj!”

Hanka za każdym razem głośno się śmiała.

— Pewnie ci się wydaje, że to głos dziecka twojej Ajkuny ze Zvornika nad Driną!... Daj mu te pieniądze, niech się ono też przyzwyczaja, daj mu je!

Rąbnę pięścią w głowę, zabiję cię, jeśli jsczczp raz wspomnisz Zvornik i Ajkunę!

— Akurat, boję się twojej pięści, akurat!

Za każdym razem zrećnie, jakby przeczuwając atak, odskakiwała i zanim zdziwiony Sejdo zdołał się podnieść (chciał ją tylko chwycić za rękę, nie miał zamiaru jej uderzyć), znikła w ciemnościach.

W piątek oboje byli w czarsziii. Hanka podkreśliła brwi jakąś maścią, wymalowała policzki. W cienkiej bluzce, rozchylonej na piersi, w rozpiętym serdaczku, siedziała przed kawiarnią patrząc na tłumy, które przechodziły ulicą. Czekala, żeby Sejdo zobaczył, jak siedzi w kawiarni, miała zamiar go zawołać i namówić, żeby razem wypili kawę albo piwo.

„Zapłaci mi on za tę starą jędzę, zapłaci!” — mówiła w myśli, strzelając oczami i spodziewając się, że lada chwila dostrzeże go na skrzyżowaniu. „Zdechnie z pragnienia, żeby popieścić moje piersi... Rozpięłam się specjalnie, niech zobaczy, że mi nie zwisają, że są jeszcze takie jak u dziewczyny... Zdechnie!...”

Palcami przebierała paciorki naszyjnika, potupywała nogą. Zamówiła piwo, a kiedy się stary Muszan zbliżył, żeby lyknać z jej butelki, samym tylko spojrzeniem go odpędziła.

„Obrzydliwcze!” — ledwie powiedziała to w duchu, ogarnął ją wstręt. Szybko wypła płyn, a to, co zostało na dnie, wylała. W tej samej chwili wydało się jej, że wśród tłumów dostrzegła odświeżony fez Sejda. Wstała, uniosła się na palcach. Zobaczyła, jak skręcił do złotnika.

„Pewnie kupi mi kolczyki!” — przeleciało jej przez myśl. Poprawiła chustę z frędzlami. Zapięła serdaczek, bo serce biło jej jak oszalałe, wspomniawszy zaś ich dawne pieszczoty, oblała się gorącym. Przed jej oczami przesunęły się obrazy z czasów, gdy wzbierał w niej ogień od samych jego spojrzeń czy muśnięć ręki. Przypomniała sobie wieczory nad Mławą, kiedy siedziała na pogniecionej trawie w szkółce leśnej, kiedy na ucho śpiewała mu piosenki rozpalające namiętność, które sama wymyślała, i zdyszana, podając mu wargi, pragnęła zniknąć w jego 88

objęciach. Czekala na niego przez całe lato w uniesieniu pierwszych miłosnych nocy. Błądziła sama wzdłuż Mla- vy, jadła trzymane na podółku kradzione gruszki, jedną po drugiej, i wyobrażała sobie, że wyciera je dłonią i jemu podaje, żeby w każdą pierwszy wbił zęby.

Kiedy późnym wieczorem, rozradowana i rozpalona, wracała do wozów, swoim śpiewem i śmiechem budziła cały Zovik. Wstawały rozespiane dzieci, jak opętane zaczynały wołać, gwizdać, opodal ogniska i zakopconych sadzami namiotów fikać koziołki, celować, czym popadło, w spuszczone z uwięzi psy, bić je. Późno w nocy, wyczerpana jakimś zagadkowym napięciem, tęsknotą j szaleństwami, leżąc na posłaniu obok przysypanego popiołem ogniska, wyciągała się na plecach i długo patrzyła w niebo, w gwiazdy. Za każdym razem, kiedy ciemnym niebem przelatywała spadająca w otchłań gwiazda, wróżyła słowami i ruchami rąk.

Potem nagle się odmieniła, jakby zachorowała. Życie w niej zgasło, policzki ściemniały, chód stał się powolny. Krążyły szepty, że Sejdo pojechał do Zvornika, że pracuje w węgielni, zarabia na węglu drzewnym, każdy zaś wieczór spędza z jakąś Ajkuną, która nigdy nie wychodziła za męża, a rodziła dwa razy (jedno dziecko, piętnastoletnie, jeszcze żyje). Z tą Ajkuną, chudym babsztyłem, jakoby mieszka, popija, je, śpi. Popija piwo i rakiję, je tylko mięso, białe mięsa, i pieczoną koźlęcinę. Szeptano też złośliwie, że Ajkuną jako przekąskę daje Sejdowi wędzone mięso „nietrzebionego jurnego capa”.

To dla Hanka było najgorsze. Chorując w wozie, obok dzieci swojego brata, oczami wyobraźni widziała brzegi Driny, usiane cygańskimi namiotami, i jakby naprawdę była nad tą rzeką, dostrzegala szerniałą twarz Ajkuny, zrytą zmarszczkami, pomiętą i poprzecinaną bruzdami i krechami, a w niej dwoje pożądliwych czarnych oczu. Widziała, jak sucha ręka, pokryta pierścionkami i bransoletami, wykrawa drobne, tłuste kęsy i podaje je Sejdowi, który zapija rakiją z grubej szklanki do piwa.

Gryzła się tak Hanka przez dwa tygodnie, a potem się rozpogodziła.

„Wróci... wróci... — pocieszała się — i zobaczy, drań, czego przysporzyła mu Ajkuną swoją koźliną. Zobaczy...”

Już się w niej krew nie burzyła, zdawała się wesoła, rozmowna. Codziennie pracowała. Żęła w polu na dniówkę, peła u zarządcy leśnego, u Bułgara zbierała fasolę strąkową i paprykę, a gdy wieczorem wracała z Kłokotów, siadając obok wozu Mujkiciów słuchała Muszana, który brząkał na szargii.

— To się źle skończy, Muszanie, kiedy Sejdo wróci i zobaczy cię z Hanką. — Tak mówili do Muszana.
— Niby dlaczego, chciałbym wiedzieć? — pytał Muszan.

A Hanka, jakby rozpałał się w niej jakiś ogień, rozchmurzała się, wstrząsała z radości, słysząc, że tak do Muszana mówią. „Tak, tak, źle się skończy, źle...” — śpiewało całe jej jestestwo — dusza, serce, krew w żyłach ... Jednocześnie ciągle przemywała oczy w kłokockim źródle, zbierała pieniądze na dimije z atlasu i macając swoje kształty sprawdzała, czy aby nie schudła.

I oto Sejdo wrócił, przyjechał, i teraz powinien się przekonać, kim jest Hanka, powinien mu się rozum pomieszać, z bólu powinien się rozłamać na dwoje, wyciągać jak długi, błagając o pieszczoty — zdychać powinien, ziając jak uwiązane psisko na widok strawy, której nie może dosięgnąć, więc zdycha, zdycha...

Tak Hanka czekała na swojego Sejda i tak go powitała.

Wyszedł od lotnika i ruszył w dół czarszija. Zdziwił się, gdy ją zobaczył. Podszedł do niej, rzucił na stolik coś owiniętego w szmatkę, usiadł.

— Napijesz się kawy czy piwa? Co prawda opileś się za wszystkie czasy nad Driną. Byłeś tam całą zimą, a nawet całe lato. Czy aby na pewno przeznaczyłeś to dla mnie? Może dla kogo innego? — pyta Hanka, jednocześnie nalewając piwo. Zainteresowała się też zawiniątkiem.

— Bransoletka — zawołała — w dodatku srebrna! — Miała ochotę pogłaskać go po dłoni. Z trudem rozpędzała łzy trzepocząc powiekami. Ale w tej samej chwili przyszło jej na myśl, że, być może, tak samo Ajkunie dawał prezenty, przynosił pierścionki, kolczyki, coś ją więc ścisnęło w gardle. Szybko jednak potrząsnęła głową, opanowała się. Wzięła bransoletkę, rozpięła ją i naciągnąwszy na przegub przesunęła dalej, aż do ramienia. Szeroki rękaw zgarnęła powyżej łokcia i wykręciwszy

90
rękę tak, że na wysokości jego oczu ukazał się czarny meszek pod pachą, nachyliła się ku niemu:

— Zapnij ją, zapnij, o, tutaj, niech ściśnie ramię — i przysunęła się do niego — ale nie waż się mnie uszczypnąć! — szeptała i jednocześnie drugą ręką zakrywała pachę. — A może przez rękaw widziałeś piersi, bodaj ci oczy wypłynęły!.., — śmiała się patrząc na niego lśnącymi źrenicami. — Gdybyś wiedział, jak mi się śniłeś wczorajszej nocy! Wiesz, gdzie spałam? W tamtej szkółce. Tam, gdzie przy księżycu szukałeś pieprzyka pod moją piersią.

Wzięła sprzed niego szklanekę, wysączyła ją.

— Chodźmy! — podniosła się — wszystko ci opowiem po drodze.

Idą. Hanka trzyma go za palec, opowiada:

— Gdybyś wiedział, jak tam pachnie trawa! Teraz kwitnie cząber, lebiodka, szałwia i łoczyga, a kiedy wieczorem dolina się uciszy, na jej dnie zaczynają szumieć i trawy, i Mlava. Płytką Mlava przewala się po kamieniach, znad niej w mrok unoszą się szepty, z tej strony przerzucają się świerszcze swoim strzykaniem, a wszystko razem miesza się z zapachem dojrzałej trawy, skoszonego potrawu, żółtych jabłek. Wszystko faluje i drży wśród nocy, jakby zawisało w powietrzu. Ponad moją głową przelatuje nietoperz, gacek, wstrząsam się więc i żal mi, że przez jego skrzydełko nie widziałam kogoś, kto mi jest miły... Śniłeś mi się, tak, przysięgam na dziecko, śniłeś mi się...

— Na jakie dziecko? — szarpnął się Sejdo i zatrzymał.

— A, tak mi się powiedziało, cóż, ja też będę miała dziecko, wcześniej czy później, oczywiście. Nie wierzysz? — pyta zaglądając mu w oczy. — Pewnie, co ty sobie myślisz... Ale zaraz! Śniłeś mi się. Postępuj jak: Niby leżę w szkółce, a rano się budzę. Świt dopiero się przeciera. Policzki mam mokre od rosy. Przeciągam się. Wysuwam rękę, żeby namacać twoją dłoń, ale ty jeszcze śpisz. Dobrze, śpij sobie, mówię w myśli, zrywam się, zbieram chrust, rozpalam ogień. Później biegnę do wozu, wrzucam do zanadru parę kawałków cukru, biorę dżezwę, filizanki, młynek i kawę, a potem pędzę, pędzę na złamanie karku, chcę mieć już zapalony papieros,

kiedy

91

się obudzisz, chcę też urwać promyk swoich włosów i spalić je nad tobą, żeby nikt nie mógł ci zadać uroku. Zdyszałam się biegnąc, bo niby wiem, że jeśli zdążę to wszystko zrobić, kiedy się obudzisz, pocałujesz mnie za uchem, w szyję, w piersi, pod piersią, potem zapalisz papierosa od szczapki, którą ci podam i na którą trzy razy napluję, żebyś i moją duszę w siebie wciągnął, abym padła ze szczęścia, że jestem twoja. Tak śniłam. Biegnę, grze- chociaż kawałki cukru w zanadrzu, biją mnie w piersi, a gdy akurat próbuję przesadzić płot, zaplątują mi się dimye. Odwracam się, ale, co ja widzę — Muszan mnie dopędził i trzyma. Puść, mówię do niego, a strach mnie, żebyś się nie obudził i nie zobaczył, co się dzieje. Puść, wołam i wyrwam się stojąc na płocie, a on pociąga za tasiemkę, więc zlatują ze mnie i bielizna, i dimije, prawie do kolan. Wiesz, zawsze noszę krótką koszulę, trochę powyżej kolan, więc naga krzyczę ze wstydu i pocę się jak w łaźni... Wtedy się obudziłam. Widzę, leżę w szkółce, a próbując otrzeźwieć, przypominam sobie, że wróciłeś ze Zvornika... Przecieram oczy. Dopiero zaczyna świtać.

- Milcz, łachudro! Wszystko to zmyśliłaś! Kłamiesz! Wiem, gdzie spałaś, wiem. Nie spałaś u Muszana, nie!

— Oczywiście, że nie. Przecież nie powiedziałam tego. Ale z tobą też nie spałam. Nie spałam i nie będę.

- Zamknij się! — zawołał Sejdo i trącił ją łokciem w bok.

Doszli do wozu. Hanka się kręci, ściera w dłoni parę suchych liści, rzuca je na ogień. Z zanadrza wyciąga papierosa, zapala. Stara Haska szykuje podwieczorek.

- Wiesz co, Sejdo, jeszcze masz ładne oczy. Z wąsikiem też ci do twarzy. Tylko z czego jest taki tłusty? — krztusi się chichotem, chwytając za boki. Nagle wstaje, otrząsa się, jakby poczuła do czegoś wstręt, i ucieka.

- Przyjdiesz ty, kurczaczku, oho, ho, jeszcze dziś wieczorem, i dostaniesz tak, że będziesz sapać i skrecać się! — mówi Sejdo patrząc za odchodzącą Hanką i prostuje nogę.

Noc. Psy zaszczekały parę razy, a potem się uspokoiły. Położył się na zewnątrz wozu, przykrył lekkim kocem, 92

czekał. Hanka jednak nic było w Zoviku, a nie było też Muszana. Sejdowi powiedziano, że pojechał do Brestovska. Tam jutro u Enes-efndiego Mufticia będzie rwał pomidory, a zanocować ma w Kłokotach, żeby do roboty zdążyć za porannej świeżości.

Sejdo się zamyślił, cienkie ostrze palącej zazdrości wwiercało mu się w serce.

„Diabli wiedzą, co się może zdarzyć! Mówi, jakby się bawiła. Ale może chce mnie w ten sposób oszukać — może chce, żebym nie uwierzył, jeśli mi ktoś powie coś na jej temat. Łachudra!...”

Wmawiał w siebie, że na pewno nie żyła z nim, Muszanem, jest przecież starszy od niej i brzydki, ale jednocześnie przychodziła mu na myśl starsza od niego Ajkuną, koścista, sucha i szeroka w biodrach.

Wstał, dorzucił do ognia drew, rozejrzał się dokoła, chwilę nasłuchiwał, a kiedy nic nie usłyszał oprócz chrapania w wozach, z ubrania wydobył nóż i sięgnął po torbę z narzędziami. Zaczął ostrzyć koniec noża i tnącą krawędź. Ostrząc co chwila macał czubek, a potem brał oselkę i gładził dalej. W końcu natarł nóż jakąś ziemią, oczyścił chustką, spojrzął pod światło ogniska. Ostrze zabłysło, jakby było ze srebra. Wsunąwszy nóż do pochwy położył się. Za każdym razem, kiedy zaszczekały psy, budząc się i opierając na łokciach, nasłuchiwał i patrzył w ciemności. Za każdym też razem myślał: „To ona, wraca.” Ale Hantęj nie było.

Tej nocy słabo spał.

Minęły jeszcze dwa dni, dziwne i dla niego niepojęte. Przez obydwa wieczory drażniła się z nim, leżąc przed wozem Mujkiciów.

- Sejdo, słyszysz, chodź tutaj, zobaczysz jak tu przyjemnie. Gdyby jeszcze było mięsiwo i rakija, gdybyś tak obrócił rożen, puściłabym się dziś za męża.

Śpiewała:

Sto se ono Travnik zamaglio? Iii gori, il ga kuga mori...*

— Sejdo, kochany — wołała, podczas gdy Muszan idiotycznie trącał szargiję i kołysał się w uniesieniu. Tymczasem Sejdo siedział ze spuszczoną głową i strugał trzonek z dębiny.

Piątego dnia po swoim powrocie, ponieważ żadnego wieczora nie pozwoliła mu się nawet dotknąć (za każdym razem wyrwała się w inny sposób i uciekała), zupełnie bezsilny i załamany na duchu zaczął się na nią w lesie. Schowawszy się za dębem czekał, kiedy przejdzie tędy, bo mu powiedziano, że widzieli ją w Klokotach, w małym źródle przemywała oczy.

Rzeczywiście zjawiała się. W jednej ręce niosła pantofelki, a w drugiej gałązkę z paroma zielonymi żółędziami. Śpiewała cienko i wysoko. Kiedy wychodziła na przesiekę, posłyszała za sobą szelest liści. Zanim zdążyła się odwrócić, doszło ją wołanie:

— Stój!

Od razu poznała, że to jego głos, zatrzymała się więc w pół odwrócona i wykręciła głowę.

— Stoję. Czego chcesz? — odpowiedziała z przekorą i spojrzała na niego, ale zachowując ostrożność, czujna, aby móc szybko dostrzec wszystko, co się dokoła niej dzieje.

— Gdzieś była?

— Co cię to obchodzi!

Podszedł bliżej, zastąpił jej drogę.

— Mów albo cię zabiję!

— Zabij, jeśli starczy ci odwagi. Jeśli starczy ci odwagi i jeśli masz dłaczego.

— Zabiję cię! — syknął—zabiję... — i wyrwał nóż zza pasa. — Patrz, dla ciebie go naszykowałem!

Przed oczami Hanki błysnęło ostrze. Przysunęła się do niego:

— Byłoby ci żal, kochany. Byłoby d żal — powiedziała i zajrzała mu w oczy. — Najpierw powinienes pocałować, a potem zabić. Pocałuj, a potem...

— Mów, gdzie byłaś!

— Nie powiem, nic nie powiem. Czemu ty nie mówisz, gdzieś był, he? Czemu nie mówisz? Opowiedz, gdzieś był przez całą zimę, a nawet i przez całe lato. Wałęsałeś się po* Zvorniku, chłodziłeś nogi w Drinie, podczas gdy Ajkuna

94

przyrządzała ci szerbe i skręcała papierosy. Czemuś jej tu nie przyprowadził razem z jej bachorem? A może on twój, z poprzednich wyjazdów? Ja bym wam do spania przyniosła młodego siana, pilnowałabym, żeby wam dzieci nie przeszkadzały, a rano kawusię bym podała. Tak, Sejdo, tak, jak niewolnica usługiwałabym tobie i siwej Ajkunie. A czemu nie miałabym tego robić? Phi!... — Wysunęła do przodu piersi, aby pokazać, że jest młoda, a potem ruszyła przed siebie. Ponieważ odwróciła się gwałtownie, na plecach zaszeleściły warkocze przyozdobione niewielkimi piegowatymi muszelkami.

Sejdo włożył nóż do pochwy, powlókł się za nią.

Doszli do kładki na Mlavie. Hanka zeszła do wody. Nogawki dimij uniosła powyżej kolan, zaczęła brodzić. Zatrzymała się pośrodku Mlavy i nabrawszy wody w dłoń głośno siorbnęła.

— Może byś ty też lęknał, zobaczysz, jak ściąga usta. A ja umyję nią twarz, niech mi się pokryje zmarszczkami jak u siwej Ajkuny. Potem ci się oddam, będziesz myślał, że to Ajkuna... Cha, cha, cha!

Trzęsła się ze śmiechu, wesoła, przekorna.

Sejdo zaczął kJąć:

— Ty kurwo!

— Trudno — wzruszyła ramionami. — Ty masz inną, a ja też coś sobie znajdę. Jeśli już nie ma lazlam

W Zo vi k u panował tumult. Wrzaski, gwizdy, hałaśliwa gra na delie i szargji. Dzieci, kobiety i mężczyźni z miasta, patrole żandarmów, wszystko zmieszało się tu z Cyganami opodal ich wozów. Pośród tego rejwachu stał Cygan trzymający na łańcuchu starego niedźwiedzia, podczas gdy inny Cygan, na pustej przestrzeni ze wszystkich stron zamkniętej tłumem, prowadził wokoło niedźwiadka, młodego, przysadzistego, co ślaniając się nieudolnie postępował za swoim panem. Niedźwiadkowi też przeciągnęli przez wargę metalowy pierścień, do którego przywiązano mocny nowy łańcuch.

Przyjechali z Sarajewa, byli w drodze do Travnika, chcieli w Zoviku przenocować.

Hanka od razu zmieszała się z tłumem. Wzięła do ręki def, zaczęła grać.

— Powinnaś, Hanko, jechać z nami do Travnika, kupę pieniędzy zarobimy na tych dwóch... Oj, gdybyś widziała, jak mały tańczy. Salkanie, pokaz.

Salkan do łańcucha przymocował jakiś pręt, a następnie oparł go na ziemi i podniósł niedźwiadka. Stając na tylnych łapach miś zaczął się obracać, ledwie dotykając ziemi. Salkan trącał go prętem i jednocześnie smutno, przeciągając, śpiewał do taktu:

— Dani dani daaan... Dani dani daaan... Niedźwiadek się przeginał, kręcił, machał przednimi łapami w różne strony. Gawiedź tymczasem rozdziawiła usta, patrzyła, dzieci się śmiały, poszturchiwały, klaskały w dłonie. Hanka, uderzając w def, ostrożnie się obracała, bo za nią słychać było, jak stary niedźwiadek mruczy i zataczając się w krąg zgrzyta paszczką.

— Sejdo., jedziemy do Travnika, co ty na to? — prowokowała Hanka.

Przed zmrokiem żandarmi ogłosili, że trzeba się rozejść, Zovik więc szybko opustoszał i ucichł. Hanka też zniknęła razem z tłumem. Kiedy się wszyscy pokładli, Sejdo zaczął się skradać i zaglądać do wozów, a opodal wozu Mujkiciów nagle zadygotało mu serce, zrobiło się ciemno w oczach. Chwytał za nóż, już, już miał zawołać, ale bojąc się, że się Hanka odezwie z wozu, spod gałęzi lub zza worków z nie wypraną wełną, że go zwymyśla, odchrząknął tylko. Z wozu wyjrzało jakieś Cyganiątko w krótkiej koszulinie, bez nakrycia głowy.

— Chodź, zobaczysz, jak miś śpi w naszym domu! Zobaczysz, jak chrapie, zobaczysz...

Sejdo cofnął się do starej Rify. Usiadłszy przy ognisku podał jej papierosa. Cyganka najpierw splunęła na bok, a potem wzięła papierosa.

— Czary rzucili na moją Hanke! — odezwał się gniewnie.

•— Nie zrobili tego, gołąbku, nie zrobili. To ciebie gdzieś tam zaczarowali, a Hanka, cóż, robi to, co każda młoda kobieta. Gdyby była miastową, puszczałaby się jak ta suka, nie ma się czemu dziwić. Krew jest jak wino, gdy uderzy do głowy, wszelkiego zła można się spodziewać. 96

A pilnowała się, gołąbku, owszem, póki nie nakładli jej do uszu gadek o Ajkunie, więc się nie dziw. Tak, niczemu się nie dziw! Nie zostawia się swojej kobiety samej. Masz najlepszy przykład, jak się ty przydałeś samotnej Ajkunie... Tak się wszystko toczy, dopóki się nóż nie zatopi w tym, w czym powinien się zatopić...

— I zatopi się, żebyś wiedziała! Przysięgam ci, Rifo, tak się stanie, przysięgam! — wołał zgrzytając zębami i wyobrażał sobie, że uderza w sam środek serca.

Rifa dosięgła swoich warkoczy, z jednego krańca głowy przesunęła je na drugi, przy prawym uchu potrząsnęła świecidełkami, a następnie jeden warkocz opuściła na plecy.

— Nie, gołąbku, nie, ale wstań jutro skoro świt i zniknij. Lepiej będzie dla ciebie, dla niej, dla nas wszystkich.

— Ani myślę! Nie zostawię jej tak, nigdy! Zegnę ją jak pręt, będzie tańczyła jak przed chwilą ten niedźwiadek. Zobaczysz... — wycedził i podniósł się.

— Nie rób tego, nie rób! — Rifa wypuszczała ostatnie kłęby dymu, niedopałek parzył jej palce. — Wstań jutro skoro świt, oddaj jej pieniądze i niech idzie do Muszana. Ona nie może być twoja, nie może.

Szedł jak nieprzytomny, a kiedy z jego namiotu odezwała się Hanka, przeraził się. Przyklęknął, zajrzał z niedowierzaniem.

— To ja, Sejdo, to ja. Przyszłam, rób ze mną, co chcesz. Zabij mnie, jeśli chcesz.

— Wylaż stamtąd! — wołał nie wierząc własnym oczom.

Na czworakach wyczołgała się i powoli wyprostowała przed nim. Cofnął się trochę, zaczął się jej przyglądać. Cała przeistoczyła się w dwoje czarnych oczu, lśniących, ogromnych. Zaszepotała:

— Sejdo, Sejdo, Sejdo...

Ukazały się jej białe zęby.

Kiedy chwycił ją za rękę, rzuciła mu się na szyję, zaczęła całować jego włosy. On jednak odepchnął ją od siebie.

— Zatrzymaj się, zaczekaj!

— Nie, Sejdo, nie, daj spokój, przynajmniej tej nocy. Daj spokój... — i znowu rzuciła mu się na piersi, cała

rozpalona, jakby dopiero co w jej żyłach zaczęła krążyć krew. *

Odczuł to ciepło i gorące wargi na swojej szyi, chwycił ją więc, mocno przycisnął do piersi.

Potem, odciągawszy go za namiot, położyła się na ziemi.

— Jesteś pijana, tak, pijana...

— Nie, proszę — chuchnęła mu w twarz — nie jestem pijana, tylko spragniona ciebie. Czekałam na ciebie całe lato. Płakałam. Szarpałam ręce, kolana, sama pod derką, i myślałam o tobie. Jestem ciebie spragniona, Sejdo... tylko że mnie w serce ukąsiłeś... w samo serce! Trudno, ale nie pozwolę ci od siebie odejść, nigdy.

Przesunęła ręce pod jego pachami, zaczęła się okręcać, oplatać wokół niego jak wąż. Sejdowi oczy mgłą zachodziły, zdawało mu się, że za płynęły krwią, wszędzie widział czerwony mrok. Hanka tymczasem gryzła go, gryzła w ramię, jego głowę przyciskała do swoich odsłoniętych piersi, a potem się wyrывała, prostowała na kolanach, wstrząsając się odsuwała wilgotne włosy z czoła, darła koszulę.

— Pocałuj, pocałuj...

Odciągnęła go potem do szkółki i tutaj zupełnie już zapomniała się w namiotności. On pieścił ją czule, rękami dotykał piersi, bioder, ramion, a ona podawała mu się i zarazem wyrывała. Spocony, wyciągając ręce ku niej, przypominał sobie, jaka Ajkuna była chuda, wszystkie żebra mógł jej policzyć, a kobieta, którą miał przy sobie, była pulchna, o pełnych kształtach, i rozpalona, jakby wyskoczyła z wrzątku, więc w coraz większym upojeniu przesuwał dłońmi po jej ciele, przyciskał ją, przysuwając do siebie ściągał koszulę z ramion i mówił jakby w gorączce:

— Jakaś ty pełna... Jak się zaokrągliłaś, Hanko...

Nad ranem opadł z sił i wyciągnawszy się na ziemi zasnął. Nie oddalając się, siedziała obok niego. Zawiązała dimije, koszulę zaczepiła łożką trawy, zapięła czerwoną sukienkę — było jej zimno.

Szybko zaczęło świtać. Ponad Zovikiem unosiła się niebieskawa, cienka warstwa dymu, słychać było skrzyknięcie wiader, odosobnione wołania. Mlawę pokrywały 98

białe opary, pierwsze skowronki, wylatujące ze ściernisk, odzywały się dzwonieniem. Ktoś kogoś wołał.

Hanka patrzyła na duże błyszczące kulki rosy na trawie, na wijące się w powietrzu długie cienkie pasma pajęczyny. Na nich też lśniły drobne kropelki.

Gdzieś daleko rozległ się strzał. Wstrząsnęła się. W tej samej chwili dostrzegła, że młody szarak umyka za płot. Posłyszała też, że Sejdo głośno chrapie.

— Sejdo! — budziła go — Sejdo!

Ale on dalej spał. Usta miał otwarte, chrapał.

— Sejdo! — potrząsnęła nim — Sejdo, zlituj się, chrapiesz jak zarżnięty.

Przewrócił się na drugi bok. Zawołała ostro, urażona:

— Nie chrap tak, nie jesteś u Ajkuny!

Nieznacznie otworzył oczy. Hanka zrobiła taką minę, jakby miała splunąć mu w twarz.

— Phy, wstydzilibyś się! Gdzież twoja siła męska, gdzie? Taki ty jesteś. A widziałeś, jak wygląda kobieta, co? Kobieta i młodość...

Usiadł.

— ...widziałeś, co? Jednego żebra się nie domacasz, wszystko jest okrągłe, pulchniutkie... — poklepała się po biodrach, ręką przesunęła po brzuchu. — A to też jest okrągłe, to też. Okrągłe i pełne! Tak, mój drogi, pełne!... Widziałeś, co to znaczy noc, pieszczoty, no, powiedz! A coś ty robił, co? Kości gniołeś, obrzydliwce! Już nigdy nie pozwolę ci się do siebie zbliżyć, już nigdy. Zapamiętaj to sobie, to właśnie straciłeś! Słyszałeś? A teraz masz swój nóż. — Przechyliła się, uniosła jakiś kamień, podała mu nóż.—Zwracam ci go. Chciałam ci gardło poderżnąć, ale po co mam brudzić sobie ręce. Ola mnie go naostrzyłeś, wstrętny obrzydliwce! Może nie? Ale jeśli uderzysz, trafisz przynajmniej w coś miękkiego. To jest ciało, pełne, okrągłe, gorące. Tylko nie uderzaj w brzuch, bo w nim jest dziecko Muszana. Tak, Muszana!

— Zamknij się!

— Tak, Muszana... dlatego jest okrągły, nie udawaj, że nie widziałeś...

— Kładź się tu!*

— Cha, cha, cha! Do czego ci jestem potrzebna? Przecież nie masz siły. Po co się mam kłaść? Już się nigdy

99

nie położę. Już mnie nigdy nie zobaczysz, nigdy, a jeśli wrócę, przywiozę ci wędzonej kozłiny, byś nabral trochę męskiej siły... kozłiny...

- Zabiję cię! -

- Psie wstrętny!

Zerwał się na nogi, chwycił nóż, a Hanka tymczasem, przesadziwszy płot, zaczęła biec i wzywać ratunku.

Kiedy dobiegła do Zoviku, odwróciła się. Nie gonił jej.

- Hanko, Hanko! — wołała stara Rifa — uciekaj, córuś, uciekaj stąd, śniłaś mi się brzydko. Widziałam, jak się wspinałaś na jabłoń, żeby zrywać owoce. Młoda byłaś i jeszcze niezamężna. Wspinasz się, ale stajesz na coraz cieńsze gałęzie. Wołamy z dołu: „Hanko, złaż stamtąd, zlecisz!” My wołamy, a ty udajesz głuchą. Przeginasz się, chcesz dosięgnąć jabłka, jest duże, piękne, rumiane. „Złaż!” — wołam. — „Zaraz Jeszcze tylko to zerwę, o, to, nic widzicie, jakie ładne, jakie czerwone!” — „Jest ro- baczywe” — wołam z dołu. — „Nic” — odpowiadasz, prostujesz palce, odgarniasz liście, znów się przeginasz. Wtedy spomiędzy liści wypełzł wąż-bicz. Wyciągnął głowę, zaczął syczeć, wysunął rozwidlony języczek, po chwili okręcił się wokół twojej ręki, a potem ci się ześliznął do zanadru. Zbladłaś, krzyknęłaś, zleciałaś na ziemię... Tak, Hanko, taki miałam sen. Uciekaj, córuś, to nic dobrego nic wróży!

- Ucieknę, Rifo, ucieknę, tylko niech mi najpierw odda dług, moje pieniądze, niech on też zapamięta... niech zapamięta... — wołała Hanka.

Zebrała się gromada mężczyzn, kobiet, dzieci, także owi dwaj Cyganie z niedźwiedziami.

- ...a wy też, wszyscy, żebyście wiedzieli... wszyscy! — wołała Hanka, okręcając się na jednej nodze i pokazując ręką dokoła. Następnie powiedziała nieco ciszej: ~ Wiedźcie, że się oddałam Muszanowi, tam, w jego wozie, dwa razy, trzy, piętnaście razy... tak, oddałam mu się, żeby tamten skonał, zdechł, tamten pies, co obgryzał kości Ajkuny i ślinił wysuszone i zwisające piersi... Oddałam się Muszanowi, a teraz czuję pod sercem coś żywego... Dziecko Muszana...

Misia, małego misia masz... - uśmiechnęło się jakieś Cyganiątko.

100

Dziecko! •—■= zuchwale wołała Hanka, hardo się wyprężając. Rifa próbowała jeszcze podać jej kawałek cukru.

Bierz to i uciekaj!

Daj mi wszystko, daj, Rifo rzuciwszy się ku starej Cygance wyrwała jej z dłoni pudełko. Zaraz potem sięgnęła ręką i zaczęła rozdawać cukier.

To jest moje wesele, moje drugie wesele! Dzisiaj będę nocować u Muszana - wołała nieprzytomna, rozrzucając grudki cukru. Po chwili, wypuściwszy z rąk pudełko, zaczęła biec wzdłuż Mławy w stronę miasta. Tymczasem dzieci, piszcząc z uciechy, zbierały z ziemi cukier.

Za mną, kto chce na wesele!

Nagle zjawił się Sejdo, blady, z sinymi kręgami wokół oczu, Wszyscy patrzyli na niego, a on, wściekły, pytał:

Czego tak gały wytrzeszczacie? Nie jestem niedźwiedziem ani jednym z Ramiciów, co to się każą oprowadzać jak małpy.

-- Cha, cha, cha!... Cha, cha, cha! — roześmiali się obydwaj Ramiciowie.

Jesteś gorszy od niedźwiedzia. A Hanka urodzi ci małpę... tak, małpę, beju Sejdo, koronowana głową gurbetów!

O mało nic doszło o bójki. Stara Haska wzięła Sejda pod ramię i odprowadziwszy go na bok zaszeptala mu coś na ucho.

Cyganie ruszyli z niedźwiedziami ku Busoważy, a za nimi dzieci i kobiety. Sejdo zaś, stojąc z Haską, patrzył za odchodzącymi. Młodszy Ramić, Salkan, odwrócił się i zawołał:

— Słyszysz?.. Tobie małpę, a Muszanowi chłopaka... tak, gurbetinie!

Przeszedłszy przez szkółkę i parę ogrodzeń, Sejdo skrócił drogę do Busoważy i nagle znalazł się w jakimś podwórku. Pomacał nóż, wsunął go jeszcze głębiej za pas. Potem wyszedł na ulicę.

Od razu natknął się na Hanke. Odskoczyła w bok. Obok nich przeszedł gruby sierżant Stańko z pościem baraniny na palcu.

Sejdo chwycił Hankę za rękę. Próbowła mu się wyrwać.

— Puść mnie! — zawołała.

— Mów!

— Puść mnie, to powiem wszystko, wszystko powiem.

Puścił ją, a ona tymczasem, cała drżąca, szybkim

krokiem ruszyła w stronę czarszii.

— Mów! — zatrzymał ją Sejdo. Zajrzała mu w oczy, zatrzęsła się. Jej oczy błysnęły, na twarzy ukazał się uśmiech.

— Co ci mam powiedzieć? Wszystko powiedziałam, wszystko, nic więcej nie mam do powiedzenia. Nic. Kochałam cię, kochałam, zresztą widziałeś tej nocy. Tak właśnie cię kochałam, tak... — Postąpiła do przodu. :— Mów!

— Teraz kocham innego, kocham — powiedziała dotknawszy serca. — Kocham go bardziej, niż ciebie kiedykolwiek kochałam, a oddałam mu się, przedtem też... Tak, oddałam się... i dziecko noszę...

— Dziecko?

~ Tak, dziecko.

— Mów prawdę, nie kłam!

— Nie kłamię!

— Nie kłamiesz? Ty dziwko! — zaklął i sięgnął po nóż.

— Zaczekaj, zaczekaj! — zawołała przerażona. Chwyliła go za ramię, zajrzała mu w oczy. W jej twarzy ukazał się uśmiech, łagodny, tchnący szczęściem. Odepchnęła go ręką, odskoczyła i jakby była w radosnym nastroju, rzuciła mu ciepło, pieszczotliwie: — Nie kłamię, nie kłamię, kochany mój gurbetinie, nie kłamię! — i zaczęła biec pod górę czarsziją.

Biegła, mocno zdyszana, czując na sobie dwoje oczu, wściekłych, zakrwawionych, i widziała, jak w nich lśni ostrze kreszewskiego noża*.

Ucieka, oddycha ciężko i czeka, kiedy koniec noża dosięgnie jej pleców. Już jest blisko. Chciałaby się odwrócić, zatrzymać, powiedzieć: „Uderz, uderz w ser

ce!” — ale nie wierzy, że starczy na to czasu. Zaczęła biec jeszcze szybciej. Poczula jakąś dziwną namiętność, wydało się jej, że leci nie dotykając ziemi.

Skręciła ku karczynie Czanczara. Tutaj, w otwartych już drzwiach, poczuła pchnięcie i krótki ból. W jej wnętrzu rozlało się coś ciepłego, a miała też wrażenie, że coś żywego zaczęło jej pełzać po plecach.

Wyprostowała się, sapnęła krótko, chciała jeszcze coś powiedzieć, ale w owej właśnie chwili ciało jej przegięło się do przodu. Padała jednak powoli, z półotwartymi oczami, jak się zapada w głęboki, długo oczekiwany sen.

Włosy Mirjamy

Dzieci jej nienawidziły, najczęściej więc wracała do domu zapłakana. Biły ją, ciągnęły za włosy, rzucały w nią piaskiem i błotem. Dlatego Mirjama stawała się coraz cichsza, coraz bardziej wystraszona. Siedząc sama w domu przebierała w swoich zabawkach i z niewesołą miną układała na minderze lalki. Od czasu do czasu wyglądała przez okno na zaułek, słysząc zaś krzyk dzieci, też chciała wybiec na dwór, pobawić się z nimi. Nie będą jej biły, na pewno nie—myślała—dzieci jednak zawsze znajdowały okazję, żeby okazać jej nienawiść.

Przeżywały ją lalą, złotą kozą i podobnymi pogardliwymi imionami. A czarny Awram, chłopiec duży i o parę lat starszy od Mirjamy, przewodząc innym chłopcom i dziewczynkom, często zagradzał jej drogę.

— Bić ją! — wołał biegnąc za Mirjamą i podstawiając jej nogę. Potem się zatrzymywał, ręce wsuwał do kieszeni i rozstawiając nogi, złośliwie się śmiał. Patrzył też, jak się Mirjama, płacząc, podnosi i jak ją dzieci, nawet młodsze od niej, popychają rękami i brudnymi nogami. Niektóre dziewczynki na Mirjamę pluły.

Ledwie jednak któreś z dzieci zawołało: „Maczoro!” — wszystkie rzucały się do ucieczki. Przeciskając się przez dziury w ogrodzeniach, umykając przez furtki, co tchu biegły do swoich domów.

Tragarz Maczoro, ojciec Mirjamy, znany był jako człowiek surowy, z którym nie ma żartów. Ciągnął dzieci za uszy, smagał je paskiem, tak że łzy leciały im z oczu.

104

W mahali niewiele było dzieci, którym Maczoro nie złoił skóry i które nie pamiętały ciężkiej ręki tragarza.

Z powodu Miijamy wiecznie dochodziło do kłótni między rodzicami, tak że nienawiść do małej, ładnej i jasnowłosej dziewczynki ogarniała też starszych.

— Jakby nikt inny nie miał dzieci, tylko on. Skończony osioł, nosi ją na rękach niczym księżniczkę!

— A właśnie że jest złota koza! Diabli wiedzą, czym smarują jej włosy. Bo z czego by się u dziecka wzięły takie jasne włosy!?

— Niedobrze, niedobrze, że chodzą koło niej, jak gdyby się z bogaczy wywodziła, z wielkich panów — kręciły głową starsze, doświadczone kobiety.

— Gdyby przynajmniej był z niej chłopiec! A to przecież dziewczynisko, i wyrodziła się! Nieszczęście, prawdziwe nieszczęście!

Mimo to Maczoro do szaleństwa kochał swoją Mirjamę. Coraz to kupował jej sukienki i w sobotę prowadził ją za rękę, nieprzytomny ze szczęścia. Odwiedzał swoją rodzinę, aby pokazać, jaką to nową sukienkę jej kupił; jakie sprawił buciki. Miała nawet małą kolorową parasolkę od słońca, a także dwie lalki o jasnych kręconych włosach i niebieskich oczkach. Sama zresztą też była jasnowłosa i różowa na twarzy jak lalka.

W zaułku i mahali uważano ją za istne dziwo wśród pozostałych żydowskich dzieci, które miały czarne rozczochrane włosy, wielkie ciemne oczy, chodziły bez butów, w starych, sto razy cerowanych i mocno powalanych ubrankach.

Mirjama lekliwie stawała w furtce, uczesana, z niewielkim warkoczykiem, z paroma jasnymi loczkami na czole i skroniach, w czystym fartuszkę, w bucikach i długich skarpetkach. Wyglądając patrzyła w tę stronę zaułka, gdzie dzieci skakały albo siedząc na kocich łbach bawiły się kamyczkami lub z błota rozczyniały ciasto, a z ziemi robiły ciasteczka.

Ją też coś nieodparcie ciągnęło, żeby usiąść w piachu i palcami miesić ziemię. Marzyła, żeby i z jej dłoni wychodziły okrągłe knedelki lub niewielkie ciasteczka, które ustawiałaby na podłodze albo wkładała do nie-dużego piecyka Mazalaty, by się piekły. Chciała biegać

105

z dziećmi, razem z nimi się wydzierać, przeciskać przez ogrodzenie...

Stojąc w drzwiach gryzła rąbek swojego białego fartuszka.

— Mirjamko, siedź grzecznie na progu i żebyś mi nie wychodziła na zaulek, wiesz, że dzieci są niedobre — mówiła pieszczotliwie matka i ostrzegała ją, przechodząc przez podwórko z zakaszanymi rękawami i uniesioną spódnicą, spod której wystawały nogawki szerokich barchapowych kalesoników.

Mirjama stała tak, póki nie zauważyły jej dzieci.

— Patrzcie, żółta koza się pokazała! Mamusina la-lusia, tatusiowa strojnisia!...

—r Białe fartuszek ma!

— Ale się wystroiła, jakby było Pesach.

— U niej nie wiadomo, kiedy jest Pesach, a kiedy Kipur

— Żółte kozłatko!

Mała Simcha, skradając się, podeszła do Mirjamy i stanęła obok furtki. Zbliżył się też czarny Awram. Podczas gdy Simcha brudnymi rękami macała białe fartuszek, chłopiec kusił:

— Chodź, Mirjama, idziemy do czesmy, przyniesiemy wody na ciastka.

Wziął ją za rękę, zachęcał, Niebieskie oczy dziewczynki załśniły. Poszła.

— Po wodę, po wodę! — zawołał Awram rozkazującym tonem, dzieci się więc podniosły. Hałasowały dziurawymi garnkami, wybiegały do przodu, wydzierały się. Kiedy doszły do czesmy, Awram wziął jeden garnek, wrzucił do niego parę garści piachu i nalał wody. Zatkawszy dziurę palcem, podał naczynie Mirjamie, żeby je niosła.

— Weź, to woda na ciastka.

Wzięła od Awrama garnek. W tej samej chwili struzka brudnej wody trysnęła jej na fartuszek. Stanęła, jakby wrosła w ziemię. Czuli, że woda ścieka jej po skarpetkach, że ma już mokre buciki. Usta wykrzywił jej płacz. Dzieci otoczyły ją kołem i przyglądały się, sztywne, niepewne.

— Zatkaj dziurę, zatkaj, durna, wycieknie nam woda — wołał Awram. Mirjama popatrzyła na garnek i wypuściła go z ręki. Poturlał się z hałasem po kocich łbach.

106

— Żółte kozł! Głupia gaska! Właśnie że jesteś lalusia. Włosy też masz jak lalusia, oczy masz jak lalusia i fartuszek jak lalusia. Jesteś Szwabka! Ty nie jesteś Żydówka! Jak ci nie wstyd!

Awram splunął, dopędził umazany błotem garnek i w chwilę później nasadził go Miijamie na głowę.

Dziewczynka zaczęła się nieprzytomnie wydzierać. Kupiec korzenny Dawo wyjrzał ze swojego sklepu, aby zobaczyć, co się dzieje. Jednocześnie zza rogu wybiegła, biała jak papier, siniora Rena, matka Miijamy.

— Ty świni! Iżo de una bękartą pręta! * — wołała załamując ręce. — Patrzcie, co mi zrobił z dziecka! A bodaj byś zdechł!

Dzieci się rozbiegły. Tylko czarny Awram stał na środku zaułka i machając rękami przedrzeźniał matkę dziewczynki:

— Bękart to twoja Miijama. Szwabka, żółta Szwabka. Lalucha, Sralucha, Karalucha... Stwora Maczora, stwora Maczora...

◆

Pewnego dnia dziewczynka się rozchorowała, przed wieczorem paliła ją silna gorączka. Szczękała zębami, musiała się położyć do łóżka. Siniora Rena, która była służącą u Uszcziuplijów i nauczyła się u nich pańskich sposobów, robiła dziecku okłady, dawała mleko i zaparzała herbatę, kupioną w aptece.

Mirjama chorowała trzy tygodnie, a w czwartym nagle zaczęły jej wypadać włosy. Matka, troskliwie zbierając całe garści złotych kosmyków, chowała je do chusty. Jednocześnie wносиła dziewczynkę na podwórze i sadzała w słońcu, by jak najszybciej wydobrzała. PfeSę wiążując jej głowę białą chustką, pieszcząc Za - pewniała, że ztiów urosną jej śliczne IH^fWwe

— Naprawdę urosną? Tak,

— Tak, najdroższa, t^K"

— Powiedz, mamusiu, nie będą już jasne, tylko ciemne. Powiedz, będą ciemne...

— Tak, najdrozsza, tak.

Od tego dnia twarzyczka Mirjamy była pogodniejsza. Zaczęła lepiej jeść i siadać na duszku. Siedząc zaś natężyła uszy, aby słyszeć bawiące się po zaułkach dzieci.

Gdy pewnego dnia siniora Rena wyniosła Mirjamę na podwórko i posadziła na duszku, w którymś momencie zawołała matkę, aby jej coś powiedzieć na ucho. Kiedy się kobieta pochylała, dziewczynka objęła ją chudymi rączkami i nieśmiało poprosiła, żeby zawołała dzieci.

— Niech wejdą na podwórko, niech się tutaj bawią. Mamo, zawołaj je, proszę cię!

Siniora Rena upiekła trochę stonych ciastek i zawołała dzieci. Zaledwie kilkoro ośmieliło się wejść. Pozostałe bojaźliwie zagłądały przez uchylone drzwi.

— Wejdźcie do środka! Miko, Raflczo, Blankita! — zachęcała Mirjama.

Po południu była ich już spora gromadka. Siedziały dokoła duszku, siedziały spokojnie i pogryzały ciastka.

— Dlaczego się nie bawicie? Weźcie moje zabawki. Możecie się też bawić lalkami.

Dziewczynki brały do ręki lalki, oglądały je; unosiły im sukienki, macały główki, głaskały włosy. Ustawiając lalki w pozycji siedzącej rączki wykręcały do góry.

— O jeju, jakie mają różowe policzki!

— A ta sukienka jest jedwabna?

— Patrzcie, ta ma nogi przyszyte do brzucha!

— Pokaż! Puść, Rikica, puść!

Dzieci robiły różne uwagi i z rąk wyrывały sobie zabawki.

— Daj, niech ja zobaczę!

— Moszi, a może byśmy zrobili dla nich domek? Mamy gdzieś takie pudło. Nieduże. Przegrozdymy je, zrobimy dwa pokoje, jeden dla czerwonej, a drugi dla żółtej lalki.

Dzieci wzięły się do roboty. Zbierały kamyki, rwały trawę, kwiaty. Rafo poszedł po blaszane puszki, a Miko przyniósł pudło. Hanika znalazła obrzynek listwy.

— To będzie krzesło.

— A to minder.

108

— Jest też buteleczka na wodę. A co będzie z miednicą?

W chwili gdy się gromadka bawiła w najlepsze, nagle

otworzyła się furtka. Stał w niej czarny Awram.

Mirjama się wstrząsnęła i zbladła. Wreszcie piskliwym głosem poprosiła, żeby wszedł.

— Jakaś ty chuda! Czy cię bolała głowa? — pytał Awram, ostrożnie podchodząc do Mirjamy i nieufnie się rozglądając.

— Teraz mnie nic nie boli. Szybko wyzdrowieję i będę się z wami bawić.

Awram stojąc przed Mirjamą przypatrywał się jej oczom. Wydawało mu się, że wyblakły, że są puste, a szczupła twarzyczka w otoczeniu białej chustki, która ciasno przylegała do obłej głowy, zdawała się jeszcze bardziej blada i chuda.

— A gdzie masz włosy?

— Powypadały, powypadały — powiedziała Mirjama z ożywieniem, po czym chudą rączką ściągnęła z głowy chustkę. Ukazała się mała goła główka, pokryta delikatnym jasnym puchem, wśród którego przeświecał różowy ognipiór. W słońcu złociły się drobne cienkie włoski. Przesunęła rączką po ciemieniu.

— Wypadły jasne włosy, wypadły wszystkie, i teraz urosną czarne. Czarne jak u Rikicy!

Wszystkie dzieci popatrzyły na Rikicę, a ta się zmieszała. Krew napłynęła jej do puciołowatych policzków, ciemne, duże oczy, powleczone łzami, zaświeciły. Po obu stronach ust ukazały się dołki, a nieduże odęte wargi poruszyły się, rozpalone, czerwone. Czarne, gęste i rozczochrane włosy dziewczynki mieniły się w słońcu metalicznym odcieniem. Wstydliwie opuściła głowę.

— Jak u Rikicy? — zapytał Awram z niedowierzaniem.

— Czarne, czarne!

Zapadła cisza. Mirjama gnioła w dłoni białą chustkę. Awram się poruszył, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Potem się przysunął do Rikicy i wzięwszy dziewczynkę za rękę, pociągnął ją w stronę furtki.

— Na zaułek! Idziemy kraść morele!

Powoli i cicho, jedno po drugim, dzieci wymknęły się z podwórka. Na duszku została sama Mirjama. Rączką

109

mięła chustkę. Wokół niej tkwiły porzrzucone kamyki, buteleczki, kolorowe szmatki, resztki słonych ciastek. Obok pudła leżały lalki, wywrócone na brzuch.

Zaciskała zęby, żeby nic wybuchnąć spazmatycznym płaczem. Z oczu płynęły i po bladych policzkach się staczały pojedyncze łzy. Nagle na podwórko wpadł Miko i wyciągnął rękę, aby zabrać pudło. Mirjama wyprężyła się na duszku jak strzała. Krzycząc jedną ręką usiłowała uchwycić pudło, a drugą sięgnęła po lalkę i zaczęła nią okładać Mika po głowie.

— Ty świnió, dabili* świnió! — ze szczytu schodów zagrzmiała siniora Rena, cała w ruchu.

Nim Miko zdążył z pudłem wylecieć przez furtkę i znaleźć się na zaułku, opodał niego o kocie łby uderzył trep i rozłamał się na dwie części.

- Bodaj cię rodzona matka na marach widziała! — złorzeczyła siniora Rena, wybiegając na zaułek i Wymachując drugim trepem. — Psie ścierwo! Zobaczysz, ja już kiedyś ciebie złapię, zobaczysz...

Na rogu, zza słupa latarni, wyglądał czarny Awram i postukiwał kamieniem. Pozostałe dzieci darły się do taktu, który wybijał: — Stwora Maczora, stwora Maczora... Stwora...

Tymczasem mała Mirjama, tarzając się na duszku i płacząc, jednej z lalek bezlitośnie rwała drobne jasne loczki.

Podwórze starego Rafa

1

Stało się właśnie to, czego się najbardziej obawiał.

Jeszcze przed wieczorem z trudem wdrapał się na Bjelave. Dwa razy odpoczywał, pierwszy raz przy dolnej czesmie, a drugi przy górnej — Gzesmie Hadzii. Czuł też silne pragnienie. Przy pierwszym źródle podała mu ibrik, żeby się napił, stara Hanucza, służąca zamożnych Rabanów. Ponieważ w czasie gdy szedł razem z nią, w dalszym ciągu oddychał z wysiłkiem i świszczaco, starej kobiecie się wydało, że trzeba się odezwać do tego wiekowego i przegiętego wpeł Żyda, sądząc zaś, że jego dolegliwości biorą się ze słabego odżywiania, zauważyła:

— Nie martwcie się, tijo Rafo, to nic groźnego, naprawdę! Spocznijcie chwilkę tu przy drzwiach i zczekajcie, ja zaraz przyjdę.

Wróciła szybko i podała mu coś owiniętego w papier.

— Proszę, zjedzcie na kolację. A to — gestem dała do zrozumienia, że chodzi jej o jego zadyszkę — przejdzie, nie martwcie się.

Wykrztusił jakoś „Dobranoc!”, wcisnął zawiniątko pod pachę, kiedy je zaś w domu, jeszcze zdyszany i zmęczony, rozwinął, oczy nieco mu się rozpuściły. Powąchał, nie mógł jednak nawet skosztować, choć miał ochotę na te tłuste żółte ciasteczka z mózdzku i żółtka. Położył je na skrzyni.

Podziękował też za czarną kawę, kiedy go sąsiadka poczęstowała.

— A czemu nie chcecie?

— Nie mogę, już piłem.

Od razu się położył. Nogi mu ciążyły, a rozgrzane stopy płonęły.

„Mówią, że dobrze jest natrzeć nogi octem, kiedy są tak rozpalone” — pomyślał w duchu i zapragnął, żeby też sąsiadka, która schodami szła właśnie na piętro, przypomniała sobie to lekarstwo.

— Wszystko jest w rękach Bożych, a Bóg jest wielki — powtarzał od czasu do czasu, po czym, zaciskając oczy i ściągając czoło, zaczynał się modlić: Szema Jisrael... Słuchaj, Izraelu...

Wiedział zaś, dlaczego tak czyni: czas po temu. Kiedy w jego latach podobna ciężkość zejdzie do nóg, wiadomo, o co chodzi.

Sąsiadka przegnała z podwórka obce dzieci, a swoje wprowadziła do domu: „Macie być spokojne jak robaczki... Tijo Rafo jest chory.”

Uspokoili się i tak jak się bawiły na podłodze, po- zasypiały.

Cisza zaległa na podwórzu nagle i jakoś niespodziewanie. Ustały wrzaski i wydzieranie się dzieci, które goniły się po podwórzu i biły całymi dniami, wyrывая sobie z rąk starą zardzewiałą obręcz. Zamilkło wszystko — i trzaskanie drzwiami, i skrzypienie zawiasów, i stukanie kołyski nad pokojem tija Rafa. Tego wieczora nie było też słycać cichego śpiewu Ankicy, wnuczki babci Katy, ani szczekania chudej Lisy w głębi podwórza. Przechodzono przez podwórze na palcach, a tego wieczora mrok też jakby wcześniej zaczął się wysuwać z zakamarków i mieszać ze świeżym tchnieniem, co. chwilami sphywało z gałęzistej korony morwy.

Pokój tija Rafa znajdował się na parterze. Był niewielki, niski i ział wilgocią. Miał jedno okno z metalową kratą. Wąski, bez podłogi i ciemny przedpokój służył za kuchnię: widniała tu blacha kuchenna, na niej miedziana tepsija (dawno pobielona), a przy drzwiach do pokoju niewielka paka na węgiel drzewny. W pokoju stał długi minder, obok niego zielona ciężka skrzynia; ze ścian wystawały drewniane kołki, które służyły do wieszania ubrań i bielizny. Gliniany piec, wysadzany zielonymi 112

S&KBR3

kubkami*, był żółty i w nadpękniętych miejscach przybrudzony sadzą. U stóp drzwi leżała miednica, wgnieciony ibrik i krótka, zdarta miotła.

Rafo położył się w ubraniu; odpiął tylko pas, ściągnął buty, a z kieszeni wyjął pudełko z tytoniem, zapalki i czarną drewnianą cygarniczkę. Nie zdjął też, jak zazwyczaj czynił, woreczka, który nosił na szyi, ani w oknie nie zapalił lampki.

Sąsiadka znów zajrzała. Przedtem jednak nasłuchiwała przy oknie. Kiedy weszła, było już ciemno. Z początku nic nie mówiła, Rafo zaś, siadłszy, odsłonił nogi, na których widać było podarte skarpetki.

— Gorąco.

— Podać wam wody z cukrem i sokiem cytrynowym? A może zapalić lampkę? Czy was coś boli, tijo Rafo?

Sąsiadka Leja, żona tragarza Papa, która zawsze mówiła głośno, teraz zmieniła się w szept. Stary człowiek nic jej nie odpowiedział. Odwrócił tylko głowę, opuścił ją na poduszkę i wsunąwszy nogi pod kołdrę przymknął oczy. Kiedy wyczuł, że znowu jest sam, wstał, z zielonej skrzyni wziął zapalki i zapalił lampkę, tak jednak przykręcił knot, że płomyk ledwie było widać. Następnie ściągnął skarpetki i przeszedł się po gołej posadzce.

•— Och, och...

Chodząc ślaniał się. W głowie mu się kręciło, o mało nie upadł. Zaraz się położył. Miał wrażenie, że leżąc też straci przytomność, więc czekał. Wpatrując się w ciemności ujrzał knajpę, a w niej ludzi, kiedy zaś przymrużył oczy, zaczął rozróżniać poszczególne twarze, szynkwasy, szklanki, butelki, oplatanki. Ukazał mu się też właściciel, mały czerwony Merkus, a przy stoliku, w rogu, dostrzegł jego, właśnie jego, jeliciarza Tinca.

Tak, to on! Na pewno on. Człowiek, który pierwszy powiedział mu o tych okropnościach, jakich niektórzy dopuszczają się względem ludzi starych.

A było tak: jeliciarz Tinco się podniósł, stanął na środku knajpy, jego, Rafa, pociągnął za rękaw i zawo-

łał: „Chodź no tu, niech cię wszyscy zobaczą! Tutaj, tutaj!”

Przypomniawszy to sobie Rafo się wzdrygnął. Zaczął się trząść jak w febrze. Było mu zimno. Przykrył się. Włożyć skarpetki? Może się przecież przeziębic... Męczył się długo, chciał zasnąć, lecz ciągle jeliciarz wyłaniał się z ciemności: wysoki, ze zmierzwioną brodą, mroczny na twarzy, w zbakierowanym i powalonym fezie, bełkotliwy, pijany. Rafo zaciskając powieki bronił się, przykrywał zaszmelcowaną kołdrą, żeby nic nie słyszeć. Wyobrażał też sobie, że przechodzi obok knajpy Merkusza nie wstępując do niej, omijając ją.

„Przedtem też do niej nie zaglądałem, więc dlaczego wszedłem tym razem? Ano. Bóg tak chciał, Bóg.”

Westchnął. Pod lewą łopatką odczuł lekkie klucie. W skroniach były dwa młotki, miarowo i jednocześnie.

A na podwórzu i w sąsiednich domach robiło się coraz ciszej. Wychwytując każdy szmer słyszał, jak na morwie dotykają się liście. Czy przedtem kiedykolwiek je słyszał? Nigdy. To musi coś znaczyć!

Tego wieczora Rafo po raz pierwszy poczuł niepokój, po raz pierwszy ciężko mu było w tym pomieszczeniu samemu i po raz pierwszy ogarnął go lęk. Czyba ktoś otworzył drzwi? A miednica się nie poruszyła?

Zapomniał o zmęczeniu, o kluciu pod łopatką, wstał, aby sprawdzić, czy mezusa jest na drzwiach i czy ibrik stoi na swoim miejscu. Dwa razy jęknął, jak we śnie: „Ależ, Tinco, daj spokój!”

W ciągu nocy kilka razy przeżył to zdarzenie dla niego tak ważne, decydujące.

Tinco trzyma go za rękaw. Wszyscy się cofnęli, ale odwrócenii do niego, Rafa, patrzyli. A on? Czy mógł wiedzieć, co się stanie? Inni wiedzieli. Na pewno wiedzieli! Bo dlaczego by mu się tak przyglądali? I dlaczego Merkusz powtarzał: „Puść starego, niech idzie swoją drogą. Uspokój się, siadaj na swoim miejscu!” A jeliciarz trzyma Rafa za rękaw i ani myśli puścić: „Merkuszu — wołał Tinco — twoje miejsce jest przy szynkwasiu, masz tylko nalewać ja basta*. Przychodzę tu tyle lat nie po to, żeby cię słuchać i patrzeć na ciebie, ale żeby wypić i pogadać, z kim mam ochotę. Dziś Chce mi się rozmawiać z Rafem, z nim i tymi ludźmi. Słuchajcie: W tym wielkim mieście mnie mają za chętkę pętelkę. Zwykły jeliciarz jestem, obrządzam kichy, a co zarobię, zjadam i przepijam. Mam na utrzymaniu żonę. Bóg nie dał mi dzieci, a nie dorobiłem się też nieślubnych. Za co Bozi niech będą dzięki. Nie należę do tych, co to siebie mają za świętych, ale nie jestem też nieuczciwy. A tijo Rafo jest sto razy lepszy i ode mnie, i od was. Ciągłe się modli. Ledwie wypije szklankę wody, błogosławi imię Boże. Jeśli ktoś udzieli mu jałmużny, odmawia modlitwę, jeśli nie udzieli — też się modli. Nie kradnie. Kiedy nie ma nic do jedzenia, głoduje. Czy więc widzicie tego starowinę

0 przegiętym kręgosłupie, tego świętego wśród nas; to przez jego dobroć Bóg przebacza nam nasze grzechy i nie szczędzi wszelkich dóbr, z jakich korzystamy w tym życiu

1 w tym mieście. Otóż tego tija Rafa ubezpieczyli. Ciii, milczeć tam! Niech teraz nikt nie mówi, ja jestem przy głosie i powiadam: tego człowieka u-bez-pie-czy-li! Więc ja, Tinco, zwykły jeliciarz, teraz wobec wszystkich was oświadczam tamtym (a wszyscy wiemy, o kogo chodzi), że są bastardami, bękartami, bękartim nasieniem. A czy ty wiesz, Rafo, co to znaczy: ubezpieczyli? Nie wiesz. Uczciwi ludzie tego, oczywiście, nie wiedzą. Jesteś stary. Masz prawie sześćdziesiąt pięć lat, tak jak ja. Mnie też ubezpieczyli. Po prostu: założyli się, że umrę nie dalej jak za rok. Założyli się o dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto forintów*. Jeśli umrę — zgarną pieniądze... A teraz, idź, teraz wiesz wszystko. Módl się, żebyś nie umarł i żeby się tamci bękartci nie mieli z czego cieszyć. Oni się modlą o twoją śmierć, aby mogli wygrać zakład i cieszyć się. No, kup, coś chciał kupić, a potem — do domu. I nie zapomnij: Jeśli umrzesz w tym roku, opowiedz tam w górze...”

Tinco jeszcze gadał, plótl po pijanemu, wysoki, z rozstawionymi nogami, kłął, złorzeczył, Rafo zaś się nie ruszał.

Teraz, leżąc na posłaniu, zatrzymywał się właśnie w tym miejscu, potem się cofał i od początku ponownie

przeżywał to, co mu się przydarzyło. Zasnął tuż przed świtem, rankiem zaś, kiedy sąsiadka weszła do pokoju, obudził się chory i nieszczęśliwy. Policzki miał spuchnięte, z trudem otworzył zaczerwienione, ciężkie powieki: wargi mu zsiniały, oddychał z wysiłkiem.

Poprosił sąsiadkę Leję, żeby z zielonej skrzyni wyjęła ręcznik i polała mu z ibrika. Potem z pamięci odmówił krótką modlitwę, a wypiwszy filiżankę czarnej kawy, oparł się na poduszce i sięgnął po koraczę. Wydobywszy z niej talet rozłożył go i zarzucił na ramiona, wziął do ręki modlitewnik i oddychając szybko i ostrożnie w milczeniu zaczął się modlić. Czasem unosił wzrok ku powale i coraz mocniej się kołysał i zapamiętywał w modlitwie.

Przez cały dzień w podwórzu panował zupełny spokój. Furtka się otwierała i zamykała, nie skrzypiała jednak jak zazwyczaj. Sąsiadka Leja wypędziła dzieci na zaułek, a babcia Kata zawiasy nasmarowała skórką słoniny. Przez listowię morwy do południa przeświecało słońce, muchy zaś, brzęczące w oknie, biły o szybę.

Tego dnia do pokoju tija Rafa weszła Ankica. Była przygnębiona. Nie miała białej chustki, była bez nakrycia głowy. Serce dziewczynki biło z dziwnego przestachu. Stojąc na środku pokoju zagryzała palce.

— Jak się czujesz, tijo Rafo?

— Dobrze, Bóg na mnie łaskaw, dobrze.

— Modliłam się do Matki Boskiej, byś wyzdrowiał, dziś też się pomodłę.

Pokiwał głową, choć nie rozumiał tego, co dziewczynka powiedziała. Poprosił o ibrik, napił się wody. Potem położył rękę na głowie Ankicy i pobłogosławił ją, z trudem poruszając nabrzmiałymi wargami. Jego broda się poruszyła, a dziewczynka osunęła się na kolana.

— Nie bójcie się, tijo, Pan Bóg jest dobry i Matka Boska. Babcia też będzie się modliła, żebyś wyzdrowiał.

Tego popołudnia Rafo zaczął kaszleć, a bóle stały się 116 jak pchnięcia noża. Flegma, zmieszana z krwią, z trudem się odrywała.

Sąsiadka Leja postawiła miednicę przy minderze.

— Nie pijcie wody. To wszystko przez wodę. Pijcie mleko.

Łyknął trochę mleka.

— Czy chcecie, żebym wam podgrzała te ciastka?

Podziękował ruchem głowy.

— Daj je dzieciom.

Przed wieczorem zjawił się Juso, blacharz z Predi- maretu* i gabaj w świątyni na Bjelavach. Wszedł do pokoju Rafa.

Tymczasem przy furtce zebrały się sąsiadka Leja, babcia Kata i dwie inne kobiety, i czekały, aż gabaj wyjdzie od chorego.

— Jak wam się widzi tijo Rafo? — pytały.

Gabaj wydobył z kieszeni pudełko z tytoniem, postukał w wieczko, skręcając zaś papierosa mówił z powagą:

Starość. A co to jest starość? Tu wiele nie potrzeba. Wystarczy, żeby przestało bić jedno tętno, to i drugie przestanie, a potem wszystkie po kolei. U starych ludzi to idzie szybko. Ale nie jest jeszcze tak ze szczętem źle. Klucie w boku.

Zapaliwszy papierosa i wypuściwszy parę dymów ruszył w stronę zaułka.

— Zajrzyjcie jeszcze do chorego przed jacją — powiedział do kobiet.

Także tej nocy Rafo zasnął dopiero przed świtem. Dręczyło go pytanie: Dlaczego właśnie jego ubezpieczyli?...

A może nie zrobili tego? Na pewno nie.

Oparłszy się na poduszce zaczął przebiegać pamięcią to, co zaszło. Ciągłe stawał mu przed oczami jeliciarz Tingo, rozkraczony i pijany, przed którym on, Rafo, machał rękami, jakby się opędzał od much.

„Zresztą — myślał — jeśli się nawet założyli, to co z tego. Nie jestem chory z ich powodu, mam przecież swoje lata. A wszystko jest w ręku Bożym.”

Wsunął dłoń pod głowę i przypomniał sobie Jom

Kipur, to, jak się w tym dniu w pałacach Bożych pieczętuje postanowienia. Spisywane są w Nowy Rok, a na Jom Kipur pieczętowane Bożymi pieczęciami. Ktoś więc zbiednieje, ktoś się wzbogaci, inny wyzdrowieje, a jeszcze inny zachoruje; jeden umrze śmiercią naturalną, inny od wody, a jeszcze inny od ognia; ktoś będzie się cieszyć, a kto inny smuć. Wszystko zostało zapisane i przypieczętowane. A Pan Bóg z nim, Rafem, obszedł się według tego, jak zasłużył, zgodnie z wielką Bożą sprawiedliwością. Bóg nasz jest jedyny.

Rozmyślając tak, oddając się modlitwom, ich przy- śpiewom, trochę się uspokajał. Przecież żył ściśle według praw i ustaleń ksiąg świętych, w których zapisane są słowa Boże i Boże przykazania. Jako dziecko uczęszczał na święte nauki. Było to dawno. Dawno, ale wtedy można się było czegoś nauczyć. Wtenczas uczyli ham ribi Josef, ham ribi Jichak, potem' haham Reuben Levi — pokój ich popiołom — ale jak uczyli! Przypomina sobie to wszystko, jakby się wczoraj działo. Teraz też, w tym samym miejscu stoi dom, w którym była szkoła. Połowa dziedzińca tonie w cieniu winnych pędów, co pełną po ścianach do pierwszego piętra, a potem wzdłuż drewnianych listew rozpościerają się nad dziedzińcem. Przypomina sobie, jak pewnej jesieni na ten podwórzec zeszedł z nimi ham Reuben. Przyprowadził ich pod strzechę wina i rozgarnąwszy liście, aby się mogła ukazać duża kiść z czarnymi jagodami, rzekł:

„Patrzcie, to są winogrona. Przyjrzyjcie się im dobrze, a potem powiedzcie, ile razy zostały wymienione w księgach Solomunowych. Sto cztery razy, tyle też złotych jagód miała złota kiść w skarbcu króla Solomuna.”

Tej jesieni zmarł ojciec Rafa. Odtąd jego matka w dzień pracowała u zamożnych Danonów, a wieczorem wracała do domu, przynosząc w tepsii resztki jedzenia. Były tam różności, matka zaś wszystko układała w kupki. Był więc pilaw z dużego ryżu białego jak śnieg, kurze skrzydełka i szyjki, głowa smażonej ryby, biała gwiazda z utartych migdałów, przybrana czerwonymi konfektami*. Zimą przynosiła czasem nadgniłe jabłko, soczystą gruszkę, latem plaster żółtego lub czerwonego arbuza, zieloną niewielką figę, zawsze zaś glon chleba, białego i miękiego jak wata.

Wtedy też Rafo poszedł — za obiad składający się z miski fasoli — na naukę. Pracował u kołodrzarza Szymona. Rozkładał bawełnę, nawlekał igły czerwonymi nićmi, przytrzymywał brzegi atlasu lub jedwabiu, kiedy je pryncypał dużymi nożycami ciął na równe sztuki, pruć stare wypłowiałe i po brzegach zatłuszczone kołdry, czyścił formowane poduszki z czarnego i czerwonego sukna, obwiedzione czerwonymi lub czarnymi wypustkami, zanosił klientom gotowe kołdry i obracał w dłoni karantany*, które czasem otrzymywał jako napiwek. Pod wieczór czekał na matkę przy ich furtce i roił, jaką też tego dnia przyniesie kolację.

A kiedy mu i matka zmarła, miał niecałe szesnaście lat. Poczul się sierotą i oddał pobożności. Rankiem śpieszył do świątyni, nie opuszczał żadnej modlitwy, a w czasie spowiedzi bił się w piersi: „Kradłem, kłamałem, zabijałem, podpalałem, kłamałem, życzyłem innym źle, mierzyłem fałszywą miarą, oszukiwałem, grzeszyłem, Panie Zastępów!” Z prawdziwą rozkoszą wyliczał te wielkie grzechy, pięścią uderzał się w pierś, kiwał głową, przewracał oczami. To pozostało mu do starości. Odczuwał dziwne zadowolenie przyznając się do grzechów, które nawet we śnie nie przychodziły mu do głowy, których nie mógł się dopuścić choćby ze względu na warunki, w jakich się znajdował.

Od ciągłego przeginania się nad kołdrami i pochylania nad modlitewnikami jego młody kręgosłup uległ skrzywieniu, tak że później w tej pozycji zeszywniał.

Trzecią śmierć odczuł najboleśniej.

Wdowa po kołodrzarzu Szymonie ugodziła się z nim, żeby prowadził zakład. Obiecała, że na Pesach dostanie strój, fez i buty Szymona, a pracować miał jak dotąd, za obiad, kolację i dwa grosze** na tydzień. Ale nie trwało to nawet dwa miesiące: klienci się zniechęcili. Ponieważ zaś

został bez pracy, zaczął sprzedawać to, co miał w domu. Spieniężył więc jakieś naczynia, kocioł, dywan, ubrania. Zaczął palić tytoń i po kawiarniach pić czarną kawę. Wychodząc ze świątyni ociągał się na dziedzińcu, wsadzając dłonie w rękawy patrzył, jak jacyś starcy, brodaci i siwi, w podartych ubraniach, wyczekują u bramy i jak kupcy udzielają im jałmużny.

Trzy razy chcieli go żenić. Pierwszy raz znaleźli Wdowę z trojgiem dzieci, drugi raz jakąś starszą dziewczynę, ospowatą i grubą, a trzeci — młodą pannę, sierotę jak on, chudą, choć zdrową, o rudych, kędzierzawych włosach,

o twarzy w piegach i rękach pokrytych cętkami aż po łokcie. Ale za żadnym razem nie miał odwagi powiedzieć ani tak, ani nie. Wdowa miała dom, gruba Sarina wносиła jako posag sto forintów, a Rifka, „La Roja” *, nic nie miała. Wiele się zastanawiał nad tymi propozycjami, żył w uniesieniu, emocjonował się, nie mogąc doczekać końca dnia, ostatecznie jednak wszystko się o coś rozbijało, tak że jego ożenek nie doszedł do skutku.

Potem sprzedawał modlitewniki na dziedzińcach świątyni. W Purim chodził po bogatszych domach i zbierał datki, a na Tiszabeaw noc spędzał w świątyni, siedząc na posadzce i płacząc razem z innymi, którzy w placzu szukali zbawienia Bożego.

Czas mijał, aż się wszystko uciszyło, aż stało się jednostajne, niezmiennie, pewne. Te lata spokoju były najprzyjemniejsze w jego życiu. Zamieszkał na Bjelavach — tu, gdzie teraz leżał chory — i od owej chwili zawsze był zdrowy. Wczesnym rankiem ze wzgórza schodził na dół do miasta, do Wielkiej Świątyni, latem i zimą. Pod pachą miał modlitewnik i talet i palił papierosa przez cygarniczkę. Po zakończeniu modłów stał u wejścia do świątyni, oczekując, by mu udzielono jałmużny. Stąd, z dwoma krajcami w dłoni i resztą w torebce, którą zawsze miał zawieszoną na szyi (ale wcisniętą za pas), szedł prosto do piekarni, a następnie z gorącym somunem w ręce do sklepu sinior Szorleona. Tutaj kucał przy ciepenaku, w dymiącym jeszcze somunie nadrywał skórki i dmuchając w koniuszki palców czekał, aż wyjdzie klient. Wtedy dyskretnie mówił: „Dzień dobry!”, sinior Szorleon zaś odpowiadał wylewnie i z zadowoleniem: „I salud i vida!* Jak się czujecie, tijo Rafo?” Tymczasem Rafo podsuwał mu somun z naderwaną skórką, a sinior Szorleon, lejąc z niedużego wiaderka na miękisz płynny tłuszcz, mówił: „To olej z oliwek, precedzony i sklarowany, lepszy od topionego masła czy śmietany. Zjedzcie to z błogosławieństwem.” **

Od sinior Szorleona udawał się na Predimaret. Tu przed sklepami zbierał niedopałki, gdzieśgdzie przysiadł, w jednym miejscu wypijał kawę, w innym dostawał jakiś owoc. Uzbierawszy zaś garść ogarków usuwał się na bok i rozrywając bibułkę wysypywał tytoń do pudełka. Wreszcie zmieszawszy wszystko wachał i skręcał papierosa.

Od sinior Szorleona udawał się na Predimaret. Tu przed sklepami zbierał niedopałki, gdzieśgdzie przysiadł, w jednym miejscu wypijał kawę, w innym dostawał jakiś owoc. Uzbierawszy zaś garść ogarków usuwał się na bok i rozrywając bibułkę wysypywał tytoń do pudełka. Wreszcie zmieszawszy wszystko wachał i skręcał papierosa.

W południe śpieszył się do garkuchni „Pod Papem”. Obmywszy ręce odmawiał modlitwę, zjadał zupę i talerz fasoli, a potem wyciągał z pasa torebkę i płacił. Na koniec, otarłszy starannie usta, znowu głośno odmawiał modlitwę.

Z garkuchni szedł prosto do kawiarni. Tutaj inni grali w karty, warcaby, domino, rozmawiali, a on słuchał, o czym rozmawiają i dyskutują, i patrzył, jak z grubych filizanek siorbią gorącą kawę.

Pod wieczór kierował się do świątyni***, a po modłach, z koraczą pod pachą, kupiwszy za mariasza**** sera

Isomun, powoli zaczynał się wspinać na Bjelave. W domu brał ibrik, schodził do chesmy, nalewał wody i wracał do siebie. Teraz, usiadłszy na minderze, na zielonej skrzyni rozkładał jedzenie i spożywał kolację. Po posiłku wychodził przed drzwi i przysiadłszy na progu skręcał papierosa. Wołał do siebie dzieci, zawsze miał dla nich

jakieś słodczyce, a żółtej Lisie rzucał kawałek somuna czy kość, którą czasem przynosił z garkuchni Papa. Nierzadko sąsiadka Leja wynosiła kawę, jej mąż, jeśli wcześniej wracał, dołączał do nich, a prosili też babcię Katę. Siedząc tak pili i rozmawiali.

Spokojnie więc mijały jego lata. Tak jak Bogu miło. Cieszył się szczególnie, kiedy przychodziły święta, bo wtedy u tragarza Papa — gdzie zawsze był gościem w świąteczne wieczory — odmawiał kidusz, możliwie najuroczyściej, dzięki czemu jeszcze bardziej się czuło, że jest święto. W jednej ręce trzymał kielich wina, w drugiej modlitewnik, głowę zaś odrzucał do tyłu, aby móc patrzeć prosto w górę, gdzie przemieszkuje Bóg i skąd spogląda i raduje się, że Izrael, naród Boży, oddaje cześć swojemu Panu, Panu Zastępów. Płomień kaganka oblewał go światłością, a senior Papo uśmiechał się ze świątecznego szczęścia i tajnej radości.

Teraz także, leżąc chory, z ręką wciśniętą pod głowę, przypominał sobie, jak pięknie i z jaką godnością zaczynał modlitwę: Sawri maranan!

Stojąc patrzył wokół siebie, jakby się znajdował w jakiejś ogromnej sali przy ogromnym stole, a dokoła było dużo wytwornych gości: starców, młodzieży, dorosłych mężczyzn i kobiet, dzieci obojga płci. Wszyscy są w świątecznych, schludnych strojach, sala zaś pełna jest kwiatów i kaganków, a na stołach, przykrytych śnieżnobiałymi obrusami, widnieją bochny białe, świeże, miękkie, pachnące ku błogosławieństwu Pana Boga Sawaota. Rafo z przejęciem, z na wpół przymkniętymi oczami, unosząc kielich, zaczynał uroczyste: Sawri maranan...* Tragarz Papo, czując się zaszczycony, że swojego miejsca ustąpił Rafowi, odpowiadał z wyrazem zadowolenia i ze szczerością: Le haim!

Tak, istotnie, żył, jak Bogu miło, i dlatego teraz dręczyła go myśl, że właśnie w tym roku przyszło to klucie. Od dnia, w którym słyszał od Tinca, że go ubezpieczyli, do swoich modlitw wnosił nie wypowiedane słowami pragnienie, żeby się tylko działa wola boska

w odniesieniu do jego życia, w żaden jednak sposób nie mógł dociec, jakie były przyczyny jego choroby. Może życzenia tamtych, którzy go ubezpieczyli, wzbily się tak wysoko, że dotarły do tronu Bożego, a jego modlitwy, zatrzymawszy się gdzieś w pobliżu gwiazd, nie mogły wyjść przed Pana? A może on, Rafo, stary i zgrzybiały, zarośnięty w brodę i siwy, popełnił jakiś grzech, więc Bóg się na niego rozgniewał?

„Nie, nie... to nie oni... to nie z ich przyczyny... Lata... lata... wola boska.”

Przywalony takimi myślami, męczył się i mościł niecierpliwie na minderze. To unosił się na łokciach, to prostował pod koldrą, niczym grzesznik, który czeka, aby głos rozgniewanego Boga rozległ się nad jego łóżem.

Urywki wspomnień napływały bezustannie, a ponieważ zasychało mu w ustach i ponieważ ciągle ruszał językiem, coraz to tracił wątek — mieszały mu się zdarzenia, obrazy, słowa, twarze. Wszystko zlewało się w jeden chaotyczny zmierzch, który, oświetlony czerwono, zapadał przed oczami chorego, w tym zaś zmierzchu, w jego głębinach, znów zaczynał wyraźnie widzieć pijanego Tinca. Wstrząsał się wtedy, chwycił za boki, zaczynał kaszleć, machać rękami, mówić głośno, jękając się:

— Bueno, bueno! Ja veremos!... Dobrze, dobrze! Zobaczymy!

Potem, straciwszy siły, leżał bezwładny, a zsiniałe wargi ruszały się w modlitwie: „Szema Jisrael!... Słuchaj, Izraelu, nasz Pan Bóg jest jedyny.” Słowa te powtarzał po wielekroć.

Dopiero o świcie, kiedy w sąsiedztwie odzywały się pierwsze koguty, wyczerpany zmęczeniem, zasypiał.

3

A na podwórzu słychać było tylko szept i stąpania tak ciche, jakby ludzie chodzili po bawelnie. Znikąd żadnych hałasów ani wrzasku. Dzieci otwierały furtkę, jak gdyby ukradkiem wchodziły na podwórze lub z niego wychodziły. Tylko młode wróbelki, szczebioczące w gnieździe

pod dachem, ożywiały się, kiedy rodzice przylatywali z jakąś muszką w dziobie. Liście morwy też szeleściły, na nic nie zważając: drżały w rozpalonym słońcu, poruszane lekkim wiatrem ciągnącym od Grdonja*.

Tymczasem chorego odwiedzano. Przynoszono mu rosół z kury, cytryny, cukier, kawę. Przyszła też stara znachorka Renuca, aby na głowę Rafa położyć okłady i odpędzić złe duchy. Trzymając naczynie z wodą, szczyptami brała żarzące się węgielki, które podawała jej sąsiadka Leja, i rzucała je na wodę. Czszzsz... syczały rozpalone grudki i zanurzały się w wodę, podczas gdy Renuca, mówiąc coś i szepcząc, odpędzała uroki.

— Czy widzisz, córo kochana, jak woda dymi? Uwzięło się złe, uwzięło, córo kochana.

Rafo mrużył oczy pod chustą i rzeził, kiedy zaś węgielki padały na wodę, wstrząsał się.

Przed wieczorem przyszło kilku żydów, aby w pokoju Rafa odmawiać modlitwy. Chory, trawiony gorączką, bredził: „Ribi Elazar... Tinco... Ribi Akiwa...”

Zebrani się modlili, kiwali głowami, kołysali się unosząc wzrok ku górze. Modlitwa ich pełna była żaru, choć niesłyszalna, bo odmawiali ją w duchu. Do tej zwyczajnej modlitwy ruchami ciała, rąk, głowy i oczu wnosili jedną jedyną prośbę: błagali o litość dla Rafa. Imię Boże wymawiali z takim przejęciem i tak nabożnie, że się im zdawało, iż już, już od powały ukaże się ręka Pana i stanie się cud.

Chory tymczasem jęczał krztusząc się. Dławiło go coś w gardle, twarz miał zsiniałą, a mętne i zakrwawione oczy wylażyły z orbit. Wąsy opadły na wargi, były mokre, broda zaś potargana i zaśliniona. Nie słyszał modlitwy, nie rozróżniał ludzi: miał już zamąconą świadomość. Z jego bełkotu jednak można było wywnioskować, że nie opuściła go myśl o strasznej rzeczy, jaką zakomunikował mu Tinco, że ciągle dręczyło go pytanie: jak to się stało, że nieszczęście przyszło tak szybko, tak raptownie, właśnie w tym roku...

Wieczorem przyprowadzili cyrulika, żeby mu puścił krew. Cyrulik, muzułmanin, naciął brzytwą jedną żyłę na dolnej części ramienia, przy przegubie łokcia, obrzmiała jak kręta opita pijawka. Bryznęła czarna krew, polala się na kołdrę. W czasie gdy inni szukali miednicy, jeden z rozmodlonych żydów zachwiał się i zwałił na podłogę na środku pokoju, bład jak płótno. Zrobiło się zamieszanie, przybiegła sąsiadka Leja, a babcia Kata, kiedy zemdlonego wynosili, zaczęła załamywać ręce, żegnać się i unosząc w górę krzyżyk różańca wołać: „Ratuj, Matko Boska, przeczysta Dziewico, Jezusie piękny...”

A muezin z meczetu ogłaszał właśnie czas jacji. Podczas gdy jego miękki głos rozbrzmiewał w mahali, drżąc nad szerniałymi dachami i opustoszałymi zaułkami, Rafo poprosił, żeby otworzyli okno. Kiedy się wyprostował na posłaniu, w świetle niewielkiej lampy, którą sąsiadka Leja tego dnia zawiesiła na ścianie, na jego nie umytej i spuchniętej twarzy ukazał się uśmiech. Zdrowa ręka chorego sięgnęła po szklanke z osłodzoną wodą i plasterkami obranej cytryny. A w czasie gdy słuchał modlitwy muezina i patrzył na swoją zawiązaną rękę i zakrwawioną kołdrę, na jego twarzy jeszcze mocniej zaigrał uśmiech. Wtedy też zamknęły mu się oczy. Pod przymkniętymi powiekami jednak uniósł je do swojego Pana. Jednocześnie płyn zagulgotał w gardle. Wypił go do ostatniej kropli. Opuściwszy szklanke na kołdrę, rozejrzał się po pokoju, a następnie pozdrowił: Szabat szalom!

Przez cały wieczór spokojnie słuchał modlitw, które mu czytali. Czasem tylko wstrząsał nim kaszel. Około północy poprosił o trochę wody. Kiedy się napił, zza pasa wydobył torebkę z miedziakami i bez słowa rozdał je między zebranych.

Nieco później zasnął. Osoby, które przy nim czuwały, nawet nie zauważyły, kiedy wyzionął ducha. Rano był sztywny. Na jego twarzy pozostał uśmiech. Ci, którzy byli przy nim, opowiadali później, że zmarł „jak malach” — „jak anioł”.

Podwórze Rafa zapełniło się ludźmi. Płonęły świece, mówiono szeptem, wszyscy mieli wrażenie, że są obecni przy pogrzebie kogoś, kto był ważniejszy niż Rafo. Kie-

dy go wynieśli z pokoju, rozległ się płacz małej Anki- cy. Ham Jezua wziął na barki tragi i przekroczył próg furtki.

Pusto zrobiło się na podwórzu. Stało się to szybko. Rozwiał się zapach świec. Powoli też ucichło łkanie Anki. W samo południe, kiedy zapanowała dziwna cisza i słychać było tylko szelest liści morwy, skądś zjawiała się żółta chuda Lisa i zaczęła wyc.

Z trudem ją przepędzili. Wtedy podwórze pogrążyło się w zupełnym milczeniu. Przez całe zaś lato nie było na nim słychać śmiechu ani okrzyków dzieci wyrrywających sobie klipę lub zardzewiałą obręcz.

Gabriel Gaon

O nieszczęściu tija Hanuczy, o tej przejmującej grozą historii, w mieście dużo mówiono. Bardziej jednak ruchami rąk i przerażeniem w osłupiałych oczach niż słowami.

Mnie również tak opowiedzieli o owych okropnościach tej samej zimy, gdy się zdarzyły. Wstrząsnąłem się cały, kiedy o nich usłyszałem.

Straszliwy obraz śmierci tija Hanuczy długo i często ukazywał mi się nawet we śnie. Intensywny, jęczący— po prostu nie dawał spokoju. Dopiero z upływem czasu zaczął blednąć, rzadziej się zjawiać, aż wreszcie zapomniałem o biednej praczce i jej dziecku.

Wszystko to zdarzyło się dawno temu. Ale przed dwoma miesiącami owa tragedia znowu — w całej swojej przerażającej grozie — odżyła w moim wspomnieniu.

Długo się męczyłem, żeby wykryć, dlaczego tak niespodziewanie i nagle powróciła do mojej świadomości. Zastanawiałem się też nad wszystkim, co pozostawało z nią w jakimkolwiek związku. Przypominałem więc sobie dość dokładnie różne osoby, które w swoim czasie o tym zdarzeniu mi opowiadały.

Wśród nich był również pewien Żyd, który wtedy zachowywał się dziwnie niespokojnie. Czoło zawsze miał zmarszczone. Milczał, tylko od czasu do czasu szarpał ręką, jakby on też chciał coś powiedzieć lub wyjawić. •

Postać tego Żyda rysowała się coraz wyraźniej w moim wspomnieniu. Z początku widziałem go dokładnie tak,

jak wyglądał wtenczas, gdy nerwowo ruszał ręką, gdy miał udęczonego wyraz twarzy, był w złym humorze, zasępiony.

Później jednak, kiedy zaczął mi się ukazywać coraz częściej i spędzać ze mną całe godziny, jego twarz — w czasie gdy ja myślałem o tragedii tija Hanuczy — wy- pogadzała się, oblewała szczególną łagodnością.

Ciągle mnie nawiedzał. Ledwie siadałem przy stole i zaczynałem myśleć o tija Hanuczy, natychmiast się zjawia?. Sadowił się zawsze naprzeciwko mnie i tak jak ja, zachowywał się spokojnie. Opuszczając wzrok patrzyłem na jasny brzeg szklanki. Czynił to samo. Moje źrenice zwięzały się od błyszczącego światła przepuszczanego przez szlifowane szkło. Jego — też. Milczałem — on także.

Choć nigdy się nie odzywał, odróżniałem jego głos. Znałem go dobrze, jakbym go codziennie słuchał. Był wyraźny, dźwięczny, ale zdradzał niejaki podniecenie. Wiedziałem też, że ten Żyd mówi z całą powagą, jakkolwiek jego głos czasem zabarwiał się ironią.

Nadałem mu imię: Szabetaj Alchalel.

Zżyłem się z nim, siedząc więc przy stole cierpliwie czekałem, żeby raz naprawdę przemówił owym wyraźnym, cokolwiek podnieconym głosem, i zwierzył mi to, co chciał wyznać wtedy, kiedy nerwowo ruszał ręką. Czekałem jednak na próżno. Szabetaj Alchalel ciągle milczał.

Pewnego dnia w południe, gdy szedłem ulicą, usłyszałem jakieś głosy, po chwili zaś odróżniłem jeden głos wyraźny, dźwięczny, ale i cokolwiek podekscytowany. Drgnąłem. Zdawało mi się, że po tym głosie poznałem w tłumie mojego Szabetaja Alchalela. „Tak, to on! Z całą pewnością!” — powiedziałem w duchu i odwróciłem się, aby sprawdzić. Kiedy mu się przyjrzałem, zdziwiłem się, jednakże nie tyle z tego powodu, że go widzę na jawie, ale dlatego, że wyglądał inaczej niż mój Szabetaj Alchalel.

Bo mój Szabetaj Alchalel miał spokojną, pogodną twarz i dłonie o długich palcach, ten zaś był nieco przygarbiony i niespokojny, o twarzy kamiennej, pooranej bruzdami, o zaciśniętych dłoniach.

Czy to rzeczywiście był mój Alchalel, czy też prawdziwy Szabetaj Alchalel, ów Żyd, co nerwowo ruszał ręką, 128

kiedy pierwszy raz usłyszałem przejmującą grozą opowieść o tija Hanuczy?

Poszedłem za nim. Ten Szabetaj Alchalel często przystawał. Jak nieprzytomny wpatrywał się w ziemię, a zanim znów ruszył dalej, za każdym razem parokrotnie stukał laską — dopiero potem robił krok do przodu.

Od owego dnia tego Szabetaja Alchalela często spotykałem na ulicy; spotykałem go i pozdrowiałem: „Dzień dobry!” — mówiłem i już, już miałem go zawołać po imieniu. Ale jak? Może on nie nazywa się Szabetaj Alchalel? Na pewno nie. To przecież imię mojego Szabetaja Alchalela. To jest imię, które wymyśliłem.

Na moje pozdrowienia Szabetaj Alchalel odpowiadał spokojnie i uroczyście, a potem szedł dalej swoją drogą.

Zawsze był jakby zamyślony. Powtarzałem w duchu: Szabetaj Alchalel ciągle milczy. Ale już następnego dnia widziałem, jak z ożywieniem z kimś rozmawia. Mówił z powagą, czasem tylko jego wypowiedzi zabarwiała się ironią. Słuchałem go. Czy to rzeczywiście był on? Tak, to jego głos, to na pewno on, nikt inny! To Szabetaj Alchalel. Jego głos jest wyraźny, dźwięczny i cokolwiek podniecony.

Wypytywałem, czym się zajmuje. Nie miał stałego zajęcia; w domu czytał stare książki. To wszystko. Z czego się utrzymywał? Mieszkał z bratem. Jego brat zapewniał: On jest błogosławieństwem mojego domu.

Szabetaj Alchalel chodził w czarnym ubraniu. Było znoszone, ale schludne. Dlaczego miał zaciśniętą dłoń i czemu patrzył dokoła z taką pogardą? Z pogardą? — dziwili się wszyscy i odpowiadali: To dobry, bardzo dobry człowiek. To nie jest pogarda, przypatrzcie mu się lepiej.

Chodziłem za nim przypuszczając, że rozmawia sam z sobą. Kryłem się, żeby mnie nie zobaczył, zauważył jednak, że go śledzę. Odwrócił się trzy razy. Trzeci raz, gdy wchodził do bramy. Mocno się zmieszałem, kiedy się spotkały nasze spojrzenia, przyrzekłem więc sobie, zawstydzony, że się już nie będę za nim skradał.

Znów zacząłem myśleć o tija Hanuczy i jej nieszczęściu. Przymykając oczy przedstawiałem sobie całą tragedię tak, jak się rozegrała, i tak się już z nią zżyłem, że

w ciszy swojego pokoju słyszałem brzęk naczyń, bicie serca tija Hanuczy i jej wołanie: Boczka! Boczka! Przeżywałem więc całą okropność zdarzenia i czekałem, żeby mi się znów ukazał Szabetaj Alchalel, jak mi się ukazywał przedtem, i żeby powiedział: Tak, w ten sposób się to stało. Alchalel się jednak nie zjawił.

Pewnego wieczora, kiedy siedząc patrzyłem przed siebie, nagle wydało mi się, że ktoś jest przy moim stole. Ten ktoś siedział — tak mi się zdawało — długo i uważnie mnie obserwował.

„To pewnie on, Szabetaj Alchalel. Wreszcie przyszedł!” — pomyślałem i chciałem popatrzeć prosto w tamtą stronę, w żaden jednak sposób nie mogłem oderwać spojrzenia od jakiejś drobnostki, która przypadkowo znalazła się na moim stole.

Tymczasem Alchalel się poruszył i zastukawszy parę razy łaską w podłogę, odchrząknął. Przeszły mnie ciarki. „Kto to? To nie jest Szabetaj Alchalel, to tamten drugi!” — powiedziałem w duchu i drgnąłem. Nasze spojrzenia się spotkały, jego zaś głos, wyraźny, dźwięczny i cokolwiek podniecony, zakłócił ciszę mojego pokoju.

To ja jestem Szabetajem Alchalelem, ja, nikt inny — powiedział i zaraz zaczął mówić dalej: — Przyszedłem, żeby wam opowiedzieć prawdę o tija Hanuczy i jej ostatniej kolacji, bo oko moje powinno się rozpogodzić, a zaciśnięta dłoń rozluźnić, zresztą wy też powinniście usłyszeć wszystko, żebyśmy razem mogli uratować pewną radość, szczególną i niezwykłą. Tym bardziej, że radość jest rzadkim kwiatem.

Zaparło mi oddech. Oniemiały patrzyłem na niego. Alchalel tymczasem mówił w dalszym ciągu z powagą i owym znanym mi już, ironicznym uśmiechem:

Wszystko to o pracce tija Hanuczy od czasu do czasu powinien też usłyszeć szewc Santo i Klarucza, zwana „La komadre” *, i rabi Mosza, i korzennik Awram, co nos mająk orli dziób, a serce kurze. Razem z nimi powinniśmy odpokutować za grzechy, których się dopuszczono wobec tija Hanuczy dawno temu, jeszcze wtedy, kiedy ja, Szabetaj Alchalel, kończyłem trzydziesty rok życia.

Dłoń Szabetaja Alchalela, co zaciśnięta spoczywała na moim stole, trochę się rozluźniła, poznałem więc jego piękne, wydłużone palce. Mówił dalej:

Trwało to długo, a tragedia się zdarzyła, jak wam wiadomo, owego zimowego wieczora. Ale niech najpierw powiem, jak się nazywała ta kobieta, której przecież nie znajecie z prawdziwego imienia, a prawdziwe imiona są niekiedy ważne jak duże spadki dziedziczone po przodkach albo jak dla naszego losu ważne są przejmowane po przodkach wad[^]J

Tija Hanucza, ta drobna kobieta, szeroka w biodrach, ale o chudej i pomarszczonej twarzy, w długim, zawsze na głowę zarzuconym szalu, z węzełkiem pod pachą, kobieta, która poruszała się po zaułkach, jakby sama była jakimś starym tłumokiem, otóż ta kobieta nazywała się tak, jak ja teraz mówię: Nazywała się: praczka tija Hanucza di Pardo. Tak się nazywała, a nie inaczej; każdy, kto o niej cokolwiek powiedział lub ją wspomniał, zawsze tak się wyrażał.

Proszę się nie dziwić, musiałem to zaznaczyć, bo jeśli się powie tylko „tija Hanucza”, ktoś może pomyśleć, że chodzi o żonę uczonego rabiego ham Cewiego, o staruszkę Hanuczę Altarac albo o żonę sarafa Salamona, siniore Hanuczę de Majo, albo o którąkolwiek Hanuczę z całej setki, ile było ich w naszym mieście. Tyle tylko, że w żadnym wypadku to nie była ani nie mogła być nasza praczka. Co więcej, nawet kiedy się powiedziało „tija Hanucza di Pardo”, nawet wtedy nie była to nasza praczka, bo trzeba wam wiedzieć, że tija Hanuczą di Pardo była też żona farbiarza Josefa Parda, wciąż jeszcze żyjącego i stale uśmiechniętego Żyda, a mąż naszej Hanuczy, Awram, nie wiem, czy bodaj parę razy w swym krótkim życiu zdążył się serdecznie uśmiechnąć. Choć dwa, trzy razy. Oto dlaczego trzeba powiedzieć: „praczka tija Hanucza di Pardo”, tak, by było wiadomo, że chodzi o tę naszą kobietę. Zawsze kiedy tak mówiono, nie było wątpliwości, że chodzi o nią, a nie o żadną inną kobietę w naszym mieście. Poza tym proszę mi powiedzieć, kto

1 kiedy mówi o praczkach? O praczkach się mówi bardzo rzadko i bardzo mało, nie dziw więc, że o naszej pracce mówiono jeszcze mniej. Zresztą nawet wtedy, kiedy o niej

mówiono, czyniono to raczej krótko i zwyczajnie. Najzwyczajniej w świecie.

Oto jak się wyrażano:

— Czemu dziś nie praliście, był taki ładny dzień?

— Praczka tija Hanucza di Pardo nie mogła do nas przyjść. Ma chore dziecko, małą Boczkę.

Albo tak, bez ogródek, o niej mówiono:

— Który to Pardo zmarł wczoraj?

— A, mąż praczki tija Hanuczy di Pardo.

— Wasza praczka znów chora?

— Ano, praczka tija Hanucza di Pardo.

— Dla kogo to szykujecie kolację?

— Dla nieszczęsnej praczki tija Hanuczy di Pardo!

Również tak się informowano o naszej praczce:

— Czy żyje jeszcze ta kobiecina, co to wiecznie ma zablocone buty?

— Która?

— Ta, która zawsze skręca w tamten zaułek, która ciągle dźwiga jakieś tłumoki. Nie widzę jej już od dłuższego czasu.

— A, ta! Praczka tija Hanucza di Pardo. Tak, żyje. Ale choruje, ma spuchnięte stawy. Leży.

— Czyja jest ta chuda dziewczynka, chuda i cienka jak tyka? f

To Boczka, córka praczki tija Hanuczy di Pardo.

•— Kto mieszka w tym kurniku? Czyje jest to podwórko pełne błota?

— Praczki tija Hanuczy di Pardo.

Jeszcze w taki sposób się wyrażano:

— Posłuchajcie, co wam powiem, tija Ster, te sukienki powinniście wyrzucić na śmietnik albo zatkać nimi mysie dziury. Tak, tija Ster, mysie dziury.

— Niedoczekanie wasze! Dzięki Bogu, są i inne szmaczki, wy nie jesteście jedyna. A koniec końców zawsze mogą je dać praczce tija Hanuczy di Pardo, będzie mogła w nich pochodzić. Długo jeszcze!

Tak powiedziała tija Ster i proszę wierzyć mnie, Sza- betajowi Alchalełowi, że na końcu wszystkich tych zamiatanych końców praczka tija Hanucza di Pardo otrzymywała te sukienki i chodziła w nich, dopóki nie dostała następnych. Proszę mi wierzyć, tija Ster mówiła

132 prawdę, a wiercie też, że wszystko, co opowiadano

o naszej praczce, było szczerą prawdą. Podwórko tija Hanuczy di Pardo rzeczywiście zawsze stało w błocie.

1 buty wiecznie miała zablocone, domek zaś, w którym mieszkała, był prawdziwą mysią dziurą, siedliskiem chorób —■ spuchniętych kolan i żółtych trupich policzków. Jej mąż, Awram, istotnie dawno zmarł. I jeszcze dwoje dzieci pochowała nasza tija Hanucza. Rzeczywiście, wszystko to tak wyglądało, wszystko to prawda. O niej w mieście nigdy nie powiedziano żadnego kłamstwa. A kiedy rozniosła się wiadomość, że Bencion tija Hanuczy się zaręczył, to wiadomo było, że nie dotyczy to syna naszej tija Hanuczy, ale syna tija Hanuczy di Mamolo. Nasza tija Hanucza nie miała żywego syna Bencion, zresztą gdyby nawet miała i gdyby dorósł do żeniaczki, to nie odnosiłoby się to do naszej tija Hanuczy, zresztą Bencion Mamolo i tak się nie zaręczył. To wszystko rozgłosiły złe języki, aby pokazać, że stary Mamolo na próżno usiłuje się połączyć rodzinnymi więzami z o wiele bardziej szanownym rodem i kupiecką firmą „Danon i brat”.

Nigdy by o naszej praczce nie rozsiewano tak złośliwych kłamstw. O niej mówiono tylko prawdę. Zawsze tylko szczerą prawdę. A jednak muszę wam powiedzieć, że pewnego dnia i o niej zaczęto się wyrażać w sposób kłamliwy. Tak, kłamliwy. Kłam-li-wy! W dodatku nie w związku z jakąś tam zwykłą sprawą, na przykład, że jej Boczka wychodzi za mąż za bogatego kupca czy coś w tym rodzaju. Boczka, córka tija Hanuczy di Pardo, była jeszcze dzieckiem, nie miała nawet dwunastu lat. Zresztą, proszę mi powiedzieć, co kłamliwego można było powiedzieć o tej chuderlawej biednej dziewczyninie? A więc nie chodziło o Boczkę, dziecko praczki, tylko o nie obie, o naszą praczkę i o jej córkę.

Pewnego dnia zaś znaleziono je martwe. Pierwszą, która odkryła tę groźę, była Mazalta, służąca siniory Racheli, szlachetnej, starej i bogatej Żydówki. Pewnego więc dnia praczkę tija Hanuczę znaleziono w izdebce martwą, ją i jej Boczkę.

Długo opowiadano o tym wydarzeniu, powtarzano, że Mazalta, służąca siniory Racheli, zdrowa i silna

dziew-

czy na. zaczęła krzyczeć na całe gardło, że jak szalona wybiegła z mrocznej izdebki do korytarza o zmurszałej, zapadającej **c podłodze, a .tąd na tonące w biocie podwórko, potem w zaułek, aby w końcu wylecieć na obcę. Opowiadano też, że Mazałta wymachiwała rękami jak opiór i że_f zupełnie Mada, zatrzymała jakiegoś przechodnia. W oczach miała obłęd, a z jej szeroko otwartych ust wydobywało się przeciągłe, straszne i poszarpane. A-a-a! Wreszcie opadła jakoby przed tym przechodniem całym ciężarem, nieprzytomna.

W chwili potem wokół mej zebrało się sporo ludzi, kiedy ją zaś ocucili i kiedy znów zaczęła mówić, załamując ręce i przeginając się wpół, wyszeptwała jedno jedyne iłowo; pra... praczka...

Ledwie je z siebie wydusiła, męcząc się i wijąc w konwulsjach, znowu się wyprostowała jak w obliczu jakiegoś straszliwego przywidzenia, wyciągnęła ręce do góry. po czym, krzycząc ze zgrozy, głośniejsz niż wtedy, gdy wyrzucała z siebie tamto A-a-a! zwała się jak długa u stóp szewca Santa, który, omemiały, stał najbliżej niej.

Niektórzy z obecnych się domyślili, że Mazałta u praczki tija Hanuczy di Pardo musiała coś zobaczyć, przeczując więc, że zdarzyła się niezwykła rzecz, pobiegli, brnąc w rozwodnionym śniegu i rozmokłej glinie, w stronę niewielkiego podwórka i wkrótce weszli do domu tija Hanuczy.

W pokoiku zauważyli okno zasłonięte jakimś starym szalem, miejscami pogryzionym przez mole. Gdy pierwsi ludzie stanęli w drzwiach, które służąca simory Racheli zostawiła otwarte, w panującym w izdebce półmroku mewiele mogli dostrzec, jeśli nie liczyć owych jasnych dziur w szalu. Kiedy jednak z okna zdarli zasłonę, oczom ich ukazał się mrwiełki pokoik. Na podłodze tkwiła sterta płaszczy, spod których wystawał rąbek kołdry. Pod kołdrą leżały praczka i jej Boczka. Dziecko przytuliło się do matki, a ta obiema rękami przycisnęła je do siebie. Obydwie były sztywne. I matka, i córka. Długo nikt nic nie mówił, wreszcie ktoś powiedział: Zamarzyły? Dziecku było zimno. Widać, że Boczka chciała ńę wcisnąć matce do łona, żeby się rozgrzać. — Potem wskazał glimany piec, od którego oderwany był 114 cały narożnik. — Proszę spojrzeć — powiedział ów człowiek — nie mogły nawet rozpałić ogroa! Po mm ktoś wmy dodał drżącym głosem;

— Nieszczęścia chodzą w parze. Zawsze tak było. Wczoraj się spalił dom nieboraka Szymona Papa, serowara, zaraz w sąsiednim podwórzu, a oto dziś postradały życie te dwie kobiety, Panic Boże?

— Dziwne to jest — powiedział korzeńmk Awnun do szewca Santa — doprawdy dziwne. Wczoraj tamci ocierpich od ognia, a dziś te dwie zmarły z zimna. Dziwne?

— Awramie, nic nie jest dziwne — stwierdził szewc Santo. — Stało się tak, jak jest zapsane, a zapisane jest wszystko. Zapisane jest: ktoś będzie żył, a kto inny umrze, jeden z głodu, a drugi z pragnienia, ktoś od ognia, a ktoś tam z zimna. Tak, dobry Żydzie. Wszystko dzieje się tak, jak jest zapsane — powiedział Santo i wpatrzył się w biały talerz, który pokryty był skrzepłym tłuszczem i w którym tkwiła lśniąca łyżka, kurze skrzydełko i udko napoczęte w dwóch miejscach.

Jeszcze osiem par oczu wpatrywało się w biały talerz, dlatego o tym talerzu, śnieżnobiałym obrusie, rosole z kury, lśniących łyżkach, białym chlebie i gwieździe z mielonych migdałów z czerwonymi konfektanu pośrodku — o wszystkich tych rozkoszach stoku, wystawnie rozłożonych na niewielkiej skrzyni, szybko się dowiedziano, tak jak się dowiedziano, skąd się wzięły u tej biedoty, w ubogiej izdebce, opodał martwej Boczki i jej martwej matki. O wszystkim bowiem opowiadała Mazałta, służąca siniory Racheli. Dziewczyna opisała je spokojnie i ze szczegółami. Tak powiedziała:

— Chwileczkę, wszystko wyjaśnię.

I podczas gdy Klarucza, zwana „La komadre”, przykładała jej do czoła plasterki cytryny, Mazałta mówiła - Wczoraj tak je znalazłam: boczka kuliła się przy piecu, głowę miała opartą na lodowatych kubkach i spała. A ona, praczka tija Hanucza di Pardo, na pewno słyszała, że ktoś po omacku chodzi mrocznym korytarzem, potykając się o zgniłe deski, i ruszyła ku drzwiom, prawdopodobnie mocno przestraszona, bo kiedy weszłam do

pokoju, wstrząsnęła się i uniosła rękę, jakby się chciała przed czymś bronić. Szybko więc zawołałam: Nie bójcie się, tija, to ja, Mazalfó! Błada jak chusta, ręką dała znak, że dziecko śpi, żebym go nie budziła.

Opuściwszy koszyk zaszepotałam: Jak się czujecie, tija? Czyście się dziś rano przestraszyły ognia? Na pewno. A gdzie macie lampę? Mówiłam to po cichu. Powiedziałam do niej: Pozdrawia was moja siniora. Żałuje, że jak zwykle sama nie może do was przyjść, by was zobaczyć. Jest kumą, słyszałyście pewnie, że dziś właśnie nadają imię córce Albahariego. Sześć lat czekano na to dziecko, sześć lat, wyobrażacie sobie, jaka to radość. Trzydzieści dwie osoby będą na kolacji! U nas też przez cały dzień pracowano. Kuma chciała, żeby to zrobiono, żeby przyszykowano tamto, a potem jeszcze coś. Ach, tija, nie ma lepszej kobiety od mojej siniory.

W tym miejscu Mazalta urwała i poprosiła, żeby jej dano wody. Kiedy wypila szklanekę płynu i zjadła kawałek cukru, zaczęła dalej opowiadać, jednocześnie przyciskając do czoła plaster cytryny, który się wysuwał spod chusty.

— Zapaliłam lampę, ale kopciła i mrugała, aż zupełnie zgasła, bo szkło było wyszczerbione. Pytam tija Hanuczę: Powiedźcie, tija, jak zagrzejemy rosół? Na miłość boską, co to się stało, że wam się oderwał cały kawał pieca? No tak, słusznie mówiła moja dobra siniora: My tutaj pieczemy ciasta z migdałami, smażymy pomarańcze w cukrze, a jak jest u biednego Szymona? Pali się jego drewniak. I praczka tija Hanucza di Pardo jest pewnie w strachu i drży, żeby się i jej dom nie zajął ogniem! Proszę mi wierzyć, tija Hanuczo, nawet wśród tych przygotowań do uroczystości siniora Rachela, jak się tylko dowiedziała, że się u Szymona pali, pomyślała o was. Zarznięcie szybko kurę — powiedziała — zrobimy kolację dla tija Hanuczy, niech się trochę posili, ona i jej Boczka. Naprawdę, tija, tak powiedziała moja pani. Ona sobie was zawsze przypomina, kiedy spotka was jakieś nieszczęście. Zawsze!

Znalazłam blaszany piecyk w kącie koło drzwi. Węgiel macie? — pytam rozglądając się dokoła. Boże kochany! Nic, nic nie miały. Proszę, sami możecie sprawdzić! Do- 136 słownie nic! Miałam trochę pieniędzy w zanadrzu, swoich, wyłącznie swoich. Wysuplałam je i powiadam: Tija, to także przesyła moja dobra siniora. Pójdę i kupię nafty i węgla. Nie możecie się tak położyć, jesteście głodne i przemarznięte. Boże, jakie macie zimne ręce!

W te pędy wyskoczyłam na podwórko. Rozdeptany śnieg zamarzał. Pobiegłam i kupiłam, co było potrzebne. Wróciłam szybko. Zapaliłam lampę, piecyk wyniosłam na dwór i zaczęłam machać szalem, żeby szybciej rozniecić ogień. Potem wniosłam piecyk do pokoju i umieściłam na nim garnek z rosółem. Na skrzyni rozłożyłam obrus, postawiłam talerze, chleb, wszystko, co moja dobra siniora Rachela posłała, a kiedy się rosół zagrzał, zdjęłam garnek z blachy, nalałam do talerzy i włożyłam po parę kawałków mięsa. Reszta została w garnku, który przykryłam. Potem rozdrobniłam kupioną kupkę węgla i rzuciłam na ogień. W końcu blaszany piecyk ustawiłam na wierzchu pieca glinianego. Myślałam tak: Niech się izdebka trochę nagrzej. Na dworze noc robiła się chłodna, a tu zalaływało wilgocią, ściany były mokre.

Wtedy sobie poszłam. Idę, tija — powiedziałam — a wy obudźcie Boczkę i zjedzcie coś, posilcie się. Zarzneliśmy najtłustszą kurę, tak kazała moja siniora. Naj- tłustszą. Rosół jest pyszny, pachnie, jakby był gotowany na pierwszy wieczór Pesach, a obydwie pewnie jesteście nie na żarty głodne i przemarznięte. Mówiono nam, że przez cały dzień siedziałyście w zaułku obok swoich rzeczy, drżąc z obawy, żeby się i wasz dom nie zajął ogniem. Dobrej nocy, jutro przyjdę po naczynia, dobrej nocy! Doczekajcie szczęśliwie rana! Tak, to też powiedziałam, o, biada mi, przecież ten ich ranek wstał czarny! Biada mi!

Służąca siniory Racheli zaczęła płakać, a płacząc opowiadała dalej: Tija Hanucza zachowywała się dziwnie, kręciła się po pokoju, siadała to na skrzyni, to znów na jakimś tłumoku, raz wyrzucała rzeczy z kosza, a po chwili wpatrywała się w dziecko, które we śnie coraz bardziej przyciskało ręce do ciała.

Wreszcie Mazalta uniosła głowę i popatrzawszy na Klaruczę, zwaną „La komadre”, powiedziała:

— Nie rozumiem, jak to się stało, że zamarzyły. Napraw-

dę nie rozumiem. Zamknęłam dobrze drzwi, przysięgam, i zasłoniłam okno. Blaszyany piecyk ustawiłam na piecu glinianym. Naprawdę, nie wiem» coto się z nimi stało." Służąca siniory Racheli dokładnie opisała wydarzenie, a Klaru cza, zwana „La komadre", ta mała, nabita sadłem kobieta, która chorą w mieście masowała wzdęte brzuchy, zaparzała ziółka łagodzące kaszel i skurcze, otóż ta Klaru cza swoim autorytetem potwierdziła prawdziwość tego, co mówiła Mazalta. Powiedziała z powagą:

— Posłuchajcie, co wam powiem. Mazalta to dobra dziewczyna, najlepsza ze wszystkich służących, jakie ja, Klarucza „La komadre", widziałam. A przecież znam wszystkie. W którym to ja domu nie byłam? Powiedźcie, w którym? Powiadam wam, kochani, znam Mazaltę jak rodzone dziecko. Można też na niej polegać jako na doświadczonej gospodyni. Czy słyszeliście, jak powiedziała: „Wyniosłam piecyk na dwór, żeby się ogień rozpalil?" Gdyby na jej miejscu była moja wietrzniczka Sterucza, przysięgam, że obydwie kobiety by się udusiły czadem węgla drzewnego. A Mazalta nawet okno zasłoniła szalem. I to jeszcze powiem: Szczęśliwy ten dom, w którym Mazalta pracuje, i ten, w którym zrządzeniem losu będzie gospodynią. — Tak powiedziała Klarucza, zwana „La komadre", i znacząco spojrzała na wdowę po Awramie Bararonie.

Wkrótce potem wiadomość o śmierci praczki tija Hanuczy di Pardo rozniosła się po mieście lotem błyskawicy. Leciała zaułkami, przeskakiwała ogrodzenia, schodami wbiegała na piętra i zbiegała nimi na dół, otwierała okna, przerzucała się od podwórza do podwórza, szła z ust do ust.

Nigdy żadna wiadomość o naszej praczce nie pojawiła się w mieście, zresztą gdyby się nawet pojawiła, nie rozniosłaby się tak szybko jak wieść o jej śmierci. Każdego, kto ją usłyszał, ogarniało przerażenie. — Tija Hanucza di Pardo zamarzyła na śmierć! Zamarzyła ona i jej Boczka! To straszne! Niech Bóg ustrzeże! Biedna praczka tija Hanucza di Pardo!

Powiem jeszcze coś: Smutny był dzień, w którymśmy je pochowali. Rozdeptany i zmieszany z błotem śnieg na 138

ulicach lepił się do butów. Niebo było zakryte chmurami, gęstymi i szarymi, po wzgórzach snuła się mgła.

Na dnie dołów, do których opuściliśmy biedaczki, potworzyły się kałuże żółtej wody, która na powierzchni zaczynała zamarać. Głina nieprzyjemnie przywierała do palców. Wszystkim zasmuconym uczestnikom pogrzebu ciarki chodziły po plecach, ząb na ząb nie trafiał.

A wieczorem, w czasie zebrania rady naszej gminy, wstał rabi Mosze i powiedział: Słyszeliście, jakie nieszczęście się zdarzyło. Cóż za zgroza! Rabi mówił długo, a słuchacze szeptali w duchu: Biedna praczka tija Hanucza di Pardo!

W czwartek wśród biedoty rozdawano drewno i opał. Gromada zgłodniałych, zziębniętych, chorych i na różne sposoby cierpiących mężczyzn i kobiet czekała na korytarzu, żeby otworzono drzwi. A podczas gdy w pokoju przeglądano listy, zgromadzona biedota opowiadania o swoim losie przeplatała wiadomościami o tragedii praczki tija Hanuczy di Pardo. Kiedy wreszcie pisarz stanął w drzwiach i zaczął wy czytywać nazwiska nieszczęśników, wchodząc do pokoju unosili oni uniżenie ręce do góry i mówili: „Nie pozwólcie, dobrzy ludzie, żebyśmy umierali w męczarniach jak tija Hanucza di Pardo." To „Nie pozwólcie, żebyśmy umierali w męczarniach" wychodziło z ust tych biedaków jak i owe święte słowa wiecznego objawienia: „Słuchaj, Izraelu, Bóg nasz jest jedyny!" Te właśnie słowa było słyhać albo się zdawało, że je słyhać. Nie było to jednak objawienie prawdy. Nie, tak twierdzą ja, Szabetaj Alchalel, bo praczka tija Hanucza di Pardo nie umarła w męczarniach.

Szabetaj Alchalel się podniósł i stojąc mówił dalej z ożywieniem:

W taki to sposób w naszym mieście zaczęto szerzyć kłamstwo o praczce tija Hanuczy di Pardo. Pierwszy i ostatni raz! To zaś kłamstwo o niej, tak jak się rozniosło, tak pozostało. Na próżno tłumaczyłem szewcowi Santowi, szewcowi Rafaelowi, korzeńnikowi Awramowi, rabi Moszemu, służącej siniory Racheli i starej Klaruczy, na próżno ich przekonywałem, że praczka tija Hanucza di Pardo nie zmarła w męczarniach, ale że tego właśnie wieczora do jej serca spłynęło tyle ciepła co nigdy przed-

tcm. Na próżno to udawadniałem mówiąc: „Radość przepelniała jej serce, radość!” Klaruczka „La komadre” powiedziała, odwróciwszy się do mnie i położywszy rękę na moim ramieniu: „Sinior Szabetaju, powinniśmy wam przetrzeć oczy, a nieco więcej głowę, tak, trzeba by to zrobić, mówię to serio. Na nic się człowiekowi nic zda głowa, która niewiele warta, na nic, mówię to serio, sinior Szabetaju.”

Tak Klaruczka mówiła do mnie, Szabetaja Alchalela, do mnie, który widzę lepiej palcami niż ona oczami. Nie słyszałem, by praczka tija Hanuczka di Pardo powiedziała do służącej siniorzy Racheli, żeby nie brzękała talerzami i nie budziła zziębniętej i zmęczonej Boczki. Tego nie słyszałem, ale swoimi palcami do macałem się serca praczki i wyczułem, że to serce zaczęło się skręcać ze zgrozy, kiedy w korytarzu dały się słyszeć kroki Mazaloty, i później, kiedy Hanuczka się położyła i przycisnęła do piersi Boczkę, wtedy swoimi oczami widziałem i na własne uszy słyszałem, jak bije w nim radość. Radość, powiadam wam, jak u jakiegoś uśmiechniętego dziecka. Dlatego mam prawo opowiedzieć wam, jak nastąpiła śmierć tija Hanuczki.

Szabetaj Alchalel znów usiadł. Swoją opowieść kontynuował najpierw spokojnie, jego słowem towarzyszyły łagodne ruchy rąk, potem jednak z coraz większym ożywieniem, to wstając i przemierzając pokój, gestykulując i podnosząc głos, to znów po cichu, tłumiąc wzruszenie, a kiedy indziej w sposób tajemniczy, prawie nabożny, jakby odmawiał modlitwę. Zaczął zaś w następujący sposób:

1

Pierwszy śnieg każdego roku to prawdziwy cud.

Ten pierwszy śnieg zaczął padać niespodziewanie w niedzielę wieczorem. Kiedy wszedłem na tonące w błocie podwórko, było jeszcze widno. Boczka stała w drzwiach. Wyciągając ręce łapała w dłonie duże płatki. Zatrzymawszy się czekałem, żeby jak wszystkie dzieci zawołała: 140

„Sinior Szabetaju Alchalelu, śnieg, śnieg, patrzcie, sinior Szabetaju!” Czekałem na próżno. Boczka milczała i zachwycona patrzyła na swoje dłonie. Zrobiłem krok do przodu. Chciałem ją zapytać o matkę. Kiedy jednak mój wzrok spotkał się ze wzrokiem dziecka, poszedłem dalej. Oczy Boczki były piękne jak wszystko, co ożywione jest radością.

Nieco później zobaczyłem Boczkę w oknie. Czołem przywierała do szyby. Prószył coraz gęstszy śnieg. Płatki były duże i lotne.

Wszedłem do pokoju. Tija Hanuczka prawe kolano nacierała jakąś maścią, a lewe miała owinięte szmatami. Tego dnia prała u tija Bulki, była więc zmęczona. Boczka zaś nie zdążyła jeszcze zdjąć mokrych bucików. Na skrzyni leżał nie rozwinięty tłumok. W pokoju było już ciemno i chłodno. W piecu, ułożonym z małych glinianych kubków, ogień dopiero zaczynał się palić. Przez jeden dziurawy kubek widać było czerwony płomień. Praczka, zapatrzona w to błyszczące ogniste oko, zapomniała opuścić spódnicę na okręcone szmatami kolana.

Rozmawiałem z Boczką. Z jej oczu widać było, jak się cieszy dusza. Powiedziała:

- Jeśli śnieg będzie tak padał całą noc, napada go po kolana. — Drżąc roiała: — Jutro wyjdę w skarpetkach. Po śniegu można chodzić bez butów. Włożę tamte czerwone skarpety, wełniane, które dostałyśmy od Izacherów, a które sięgają mi powyżej kolan. Mamusia je porządnie wycerowała. Będę chodziła po śniegu. Błoto pod śniegiem zniknie. Miły Boże! Tak, sinior Szabetaju Alchalelu, zniknie błoto, to błoto, co się już do duszy przykleja. Wyjrzyjcie przez tę szybę, którą przetałem. O, na podwórku zniknęły już kałuże. Czy widzieliście, jak się przystroiły gałęzie śliw? Jutro będziemy się bawić, ja, Jakica i Blankica. Będziemy się tarzać w śniegu. Nie pójdę jutro z mamą do roboty. Zostanę w domu. Będę u Sary sąsiada Szymona. Mama jutro pierze u mączarza Jaka. W jego domu dzieci patrzą na mnie, jakbym miała rogi.

Boczka poruszyła się w oknie i spojrzawszy na matkę powiedziała:

— Może jutro nie pójde z tobą, zostanę i pobawię się w śniegu! Jutro podwórko będzie czyste, będę się mogła na nim turlać.

— Akurat, żebyś się przeziębila! Jeszcze mi tylko tego potrzeba. Wystarczy, że ja ledwie nogami powłóczę. No, zdejmuj te zabłocone buciki.

Boczka ściągnęła także mokre skarpetki i włożyła tamte czerwone. Praczka odgrzała garnek rozgotowanej fasoli, zasłoniwszy zaś okno starą spódnicą, zapaliła lampę naftową. Potem usiadła i w coś się zapatrzyła. Między drzwiami a piecem rozpięty był sznur. Zwisła z niego zachlapana błotem spódnica. I jakieś żółte buty Boczki. Zamiast sznurowadeł miały kawałki szpagatu. Usunąłem się na bok, podczas gdy tija Hanucza na środku pokoju rozkładała posłanie.

Boczka wcześniej się położyła. Była dziwnie niespokojna. Coraz to wstając podchodziła do okna i odsuwając spódnicę nastawiała ucha.

— Pada, ciągle pada — mówiła wracając na posłanie i przyzymkając oczy, ażeby jak najszybciej zasnąć i aby jak najrychlej zrobił się ranek.

— Czy zostawicie jutro Boczke samą, żeby się bawiła? — zapytałem tija Hanuczę. — Podwórko będzie czyste, białe jak dusza sprawiedliwego.

Praczka nic nie odpowiedziała. Zamknąwszy za sobą drzwi oddaliłem się. Moich kroków w śniegu nie było słychać.

Tymczasem tija Hanucza stała plecami oparta o piec. Oglądała jedwabną sukienkę, którą tego dnia dostała dla Boczki. Zastanawiała się, jak ją załatać, jakie łaty dać pod pachy, gdzie jedwab zaczął się już rozlatywać. Jak to zrobić? W ogóle jak się łąta jedwabne rzeczy? Kiedy przekładała sukienkę, jedwab coraz bardziej się rozpeł- zał, jakby był zbutwiały.

— Jaka szkoda, jaka szkoda! Boże ty mój! Nie umieli o nią dbać — kiwała głową wkładając sukienkę do skrzyni. Potem trochę jeszcze pochodziła po izdebce. Wreszcie obmacała piec, przykręciła lampę naftową i zrzuciwszy

142

z siebie wierzchnie odzienie, położyła się obok Boczki. Przykryła się obszarpanymi płaszczami.

Nim zdążyła zasnąć, z dziury w rogu wyszła mała kosmata myszka. Dobiegła do spódnicy. Praczka zapomniała wyjąć z kieszonki kawałek cukru. Myszka go zwęszyła, na próżno jednak próbowała się do niego dostać. Nie pozostało jej nic innego, jak zrobić dziurę w mokrej wełnianej tkaninie. Przez dłuższy czas jej wysiłku nie było słychać, a kiedy ostrymi, spiczastymi ząbkami zaczęła gryźć cukier, praczka już spała.

Obydwie, i mała Boczka i tija Hanucza, oddychały z trudnością. Jakby powietrze było gęste, ciężkie. Przykrecony płomyk mrugał i kopcił, w pokoju czuć było swąd.

Mnie też coś dusiło. Zatrzymałem się na dole, na rogu zaułka, żeby odetchnąć. Tutaj powietrze było świeże. Śnieg jeszcze padał. Płatki fruujące dokoła noszonych przez ludzi latarni zdawały się drobnymi ćmami.

2

Wczesnym rankiem pękło szkło lampy. Słyszałem suchy trzask. Po okopconej stronie ukazała się cienka jasna żyłka. Przedtem zgasł płomyk.

Boczka się obudziła i wyciągnęła rękę, żeby zdjąć spódnicę z okna. Zdumiała się, zobaczywszy oblodzone szyby: „U siniory Racheli widziałam takie koronki” — przypominała sobie patrząc na lodowe kwiaty.

Tija Hanucza otworzyła drzwi z klucza.

— Słuchaj, zostawię cię u Sary sąsiada Szymona. Teraz idę kupić chleba. Poleję ci chleb olejem. No, połóż się i postaw tę butelkę obok siebie pod kołdrą, żeby olej odtajał. Patrz, jak się ściał! Nie będę mogła ci polać nim chleba. No, kładź się!

Kiedy praczka wyszła, Boczka wstała, aby zobaczyć cud: podwórko w śniegu. Wyszedszy z domu zaczęła brnąć w miękkiej bieli.

— Siniór Szabctaju — zwróciła się do mnie — popatrzcie, jak się śliwa wystroiła. Proszę za mną, nie

143

zabłocicie sobie butów. Teraz wszystko jest czyste. Możecie się nawet tarzać po podwórku, naprawdę. Jakie to cudowne! Jak w bajce! "

Boczka była nie uczesana, okryła się zaś tylko żółtawym płaszczykiem. Czerwone skarpety nurzały się w śniegu prawie po kolana. Uśmiechała się, widać było jej zęby. Wyszczerbione, szerniały — dziś nie szpeciły twarzyczki rozpromienionej radością. Stojąc patrzyła, jak się podwórko bieli, jak po wystrójonej śliwie skacze mały czarnogłowy ptak i trzepocząc skrzydełkami, strząsa z gałęzi okiście. „Pi, pi, pi” — wołała pieszcotliwie. „Pi, pi, pi”, kwilił ptak.

Wtedy nagle rozległ się krzyk. Najpierw dał się słyszeć tak, jakby dochodził spoza zamkniętych drzwi, a potem przez drzwi otwarte. Pierwszy wydarł się chłopiec, potem dziewczynka, wreszcie obydwójce razem. Po tym krzyku rozległo się długie przerażone wołanie zdjętej przestraszonym kobiety.

Od śliwki oderwała się okiść.

Boczka wbiegła do pokoju i wsunęła się pod koldrę. Butelka ze ściętym olejem poturlała się pod piec.

Minęło z dziesięć minut. Wtedy, mocno zdyszana, do domu wpadła praczka.

— Wstań szybko, pali się u Szymona Papa, wstań, ubieraj się! Boczkaaa! — zbita z tropu zawołała tija Hanucza i zaczęła jakieś szmaty wrzucać do skrzyni.

Wtedy zjawił się tragarz Hajmole.

— Dobra Żydówko — wołał — dajcie mi tę skrzynię. Zawsze kiedy się gdzieś pali, wiadomo: nie pali się w bogatym domu. Doprawdy, jakby się tylko szmaty i stoczone przez kornik drewno mogło palić. — Tragarz Hajmole mówił grubym głosem, jak gdyby język miał spuchnięty.

Boczka osłupiała. Ludzie cisnęli się na podwórko, wdrapywali się na ogrodzenie, które w końcu runęło. Tymczasem gęsty dym i długi płomień, buchający z parteru domu serowara Szymona Papa, szybko obejmował i drewnianą werandę.

Tija Hanucza aż do południa, przykucnąwszy w zaułku, pilnowała swoich rzeczy i tłumoków. Boczka zaś, siedząc na niewielkiej skrzyni, bucikami postukiwała w ściankę. W ręce trzymała rogalik. Długo obracała w ustach niewielki kęs — w żaden sposób nie mogła go przełknąć.

— Kto ci to dał? — zapytała praczka. Dziewczynka wzruszyła ramionami i podała matce napoczęty rogalik.

— Czemu ty nie jesz? Znow wżruszyła ramionami.

— Kto ci to dał?

— Nie pamiętam — powiedziała Boczka i opuściła bułkę na kolana.

A ja, Szabetaj Alchalel, obserwowałem, jak one na siebie patrzy. Tija Hanucza wyraźnie zbladła. Osłupiałe spojrzenie wbiła w kolana dziecka, gdzie na cienkim paltociku, pomiętym i żółtawym, zapiętym różnymi guzikami, tkwił rogalik. Z jego napoczętego końca wystawał biały miękisz.

Ten kawałek pieczywa o rumianej skórce i białym ośrodku, widziany na tle przybrudzonego nędznego płaszczka dziecka, wydał się praczce zapowiedzią czegoś przerażającego. Nawet własne dziecko wydało się jej żałośniejsze niż kiedykolwiek. Wyraźniej też zobaczyła całe swoje biedacze mienie, zgromadzone na ugniecionym śniegu, i przypomniała sobie, że w stoczonej przez korniki skrzyni, na której siedziała Boczka, jest jedwabna sukienka, która się rozpełza, gdzie się jej tylko dotknie.

Praczka usiadła na jakimś tłumoku. Od mokrych nóg zimno przebiegało jej po całym ciele, na łonie i plecach jeżyła się skóra.

Ciągle patrzyła na kolana dziecka. W pewnej chwili zamiast Boczki zobaczyła na skrzyni biały obrus i talerz dymiącego rosółu kurzego. Zdało się jej, że słyszała nawet pozdrowienie, ciepłe i łagodne: — Dobry wieczór, tija Hanuczo! Odwróciła się, żeby zobaczyć, kto ją pozdrowił. Ale nic

nie zobaczyła. Tylko ludzie się tłoczyli, wołali, przechodzili albo biegli zaułkiem.

Tija Hanucza głęboko westchnęła. Jakby się coś w niej przełamało, opadła bez sił na skrzynię. Jednocześnie czoło oblał jej zimny pot.

4

Przed wieczorem, kiedy wносиły rzeczy do mieszkania, znów się zjawił tragarz Hajmole. Szeroki w barach, potężny, opuszczając skrzynię, jednym kantem zawadził

0 narożnik glinianego pieca i oderwał go.

— Proszę, zamiast zrobić dla was coś dobrego, uszkodziłem piec.

Szybko zatkał wyrwę gliną.

— Nie palcie od razu, niech trochę podeschnie — poradził i wyszedł.

Nieco później przyklejony kawałek pieca oderwał się

1 rozprysł w kawałki. Wtedy Boczka usiadła przy piecu i zaczęła płakać.

— Boczka, dziecko, co ci jest? — Tija Hanucza powinna była łagodnie zwrócić się do dziecka, wstać ze skrzyni, pogłaskać je po włosach. Chciała się nawet podźwignąć, ale nogi miała odrętwiałe.

„Niech się wypłacz, trudno, niech się wypłacz — powiedziała w duchu i poruszyła nieco prawą rękę, trzymaną na łonie. — Niech się wypłacz i wyrzuci z siebie ból po tym nieszczęsnym dniu.”

Przeszedłem, tak jak wczoraj, podwórkiem. Śnieg był zdeptany i zabrudzony. Śliwę ścięli i rzucili na zwalone ogrodzenie. Żółta woda, zebrana w śladach po buciorach, z wierzchu zamarzała. Ubity śnieg pocięty był śladami wozów, na których ciągnęły sikawki. Za zwalonym ogrodzeniem sterczały zgliszcza. Wszystko czuć było dymem i mokrymi, nadpalonymi belkami i szmatami.

W korytarzu tija Hanuczy noga wpadła mi między dwie deski. Wyciągając ją nasłuchiwałem: Boczka jeszcze płakała. Dziwny był jej płacz. Ucichał, zniknął, nie było go słyhać, ale po chwili znów się rozlegał, spazmatyczny, 146

ciężki, przytłumiony, jakby wiązł między jej chudymi zębami lub czepiał się śliskiej powierzchni małego dzieciennego serca. Szarpał się, wyłaniał, a potem się znów cofał, przytajał w jej wnętrzu.

Wszedłem i zacząłem się przyglądać. Tija Hanucza nie słyszała zamierającego płaczu dziecka.

Nasłuchiwała tylko, czy ktoś nie chodzi po omacku w korytarzu, i przerażona chwytiała się skrzyni.

— Przyjdzie, przyjdzie dzisiaj. Zawsze się zjawiały, kiedy nam się przytrafiało jakieś nieszczęście — mówiła zrywając się ze skrzyni i ruszając ku drzwiom. Dwa razy się zrywała i dwa razy zawracała i siadała na poprzednim miejscu. Usiadłem przy niej i zapytałem: — Kto przyjdzie? Nikt nie przyjdzie. Słuchajcie, tija Hanuczo, w was pozostał jakiś stłumiony krzyk. Proszę się wypłacać, ulżyć sobie. Patrzcie, jak się Boczka uspokoiła, jak się teraz bawi, wyszarpując z żółtego paletka nici, od których oderwał się ów duży guzik.

Praczka usiadła i zabrała się do rozwiązywania tobołków. Te, które zdążyła rozwiązać, dziwnie przed nią ziały. Kiedy na nie patrzyła, wracała straszliwa myśl:

„Przyjdzie siniora Rachela, przyjdzie, żeby zobaczyć rozrzucone szmaty i dowiedzieć się, z jakim pośpiechem te tłumoki i skrzynie ratowano. Przyjdą jej lśniące łyżki, miękkie białe chlebki i talerze. Patrzeć tylko, jak pozdrowi z progu swoim aksamitnym głosem: Buneas no- ches, tija Hanuczo! Zaraz też zaczną dzwonić naczynia, bo za siniorą zjawi się Mazała, jej służąca.”

— Mamusiu, mamusiu! — odzywało się dziecko, jakby chciało zniweczyć myśl matki, ale praczka nie słyszała wołania. Trzymając w ręce pęknięte szkło lampy rozdzieriała sobie serce: „Przyjdzie! Tak zawsze przychodziły te ich kolacje, zawsze. Pierwszy raz — zaraz, co to się wtedy stało? Zaraz, sinior Szabetaju Alchalelu!” — i wyęzając pamięć starała się przypomnieć sobie, kiedy to było, i jednocześnie się krztusiła. Kładłem rękę na jej targanym konwulsjami sercu, żeby uśmierzyć ból, ciężki i gorzki, bo przecież pamiętam, kiedy po raz pierwszy zapachniały te rosły z kury w jej ubogiej izdebce. Zdarzyło się to pierwszy raz, gdy pochowała pierworodne

147

dów ód

| tię

dziecko. Od tego czasu zjawiały się zawsze, kiedy trzeba było upamiętnić jakieś jej nieszczęście, jakiś smutek, Inieukojony ból.

Gdy umierał Awram, mąż tija Hanuczy, dymiły, tłuste i żółte, w białym talerzu, i para ich mieszała się z jego duszą, kiedy jak wątły cień ruszała ku Panu, Bogu naszemu. Żółcił się i mienił tłuszcz, gdy przez dwa dni rodziła dwojaczki, Boczkę i jej martwą siostrę. Zawsze przychodziły, kiedy leżała ze spuchniętymi kolanami. Przychodziły także, gdy Boczka powiedziała dzieciom serowara Szymona, że jej braciszek Bencion poszedł „na niebo”. Zjawiały się też, kiedy mała Boczka bredziła w gorączce, podczas gdy ona, tija Hanucza, przegięta w pół przy chorującym dziecku, wzywała Pana w swojej największej modlitwie: — „Usłysz, Panie, Boczka jest moim jedynym dzieckiem, moja Boczka jest jedna jedyna!”

Przychodząc zawsze były takie same, zawsze wśród brzęku tych samych lśniących talerzy, tych samych łyżek; chlebki też zawsze były mięciuchne i kawałki kurzego mięsa wyglądały apetycznie; i zawsze oczy siniory Racheli były dobre, współczujące, i nieodmiennie głos tej Żydówki tchnął ciepłem i pociechą. Bo siniora Rachelę za każdym razem przychodziła pełna wewnętrznej radości, co wywoływało choćby smutny uśmiech w smutnej twarzy u kresu jakiegoś wydarzenia, które paznokciami wrzyna się w biedne ludzkie serce.

Pod moją ręką więc drżało i skręcało się w konwulsjach serce tija Hanuczy.

— Tak, siniór Szabetaju Alchalelu, przysięgam na życie, wszystko działo się tak, jak mówię, dzisiaj się dowiedziałam, dzisiaj się o tym wszystkim dowiedziałam, dzisiaj!

Dzisiaj tak samo przyjdą, tak samo, zapowiedziane w ów dziwny sposób w postaci białego chleba bożego na kolanach Boczki.

Tak mówiła tija Hanucza i już słyszała pozdrowienie siniory Racheli, a pozdrowienie wielce szanownej siniory zawsze było ciepłe, zatroskane, współczujące.

— Buenas noczes, tija Hanuczo! Dobry wieczór! — 148

tak zawsze pozdrawiała, głosem łagodnym, bo siniora Rachelę jest dobrą kobietą. Kiedy kierowała się do domu praczki tija Hanuczy di Pardo, nie narzucała na siebie swojego jedwabnego szala. Zazwyczaj otulała się jakimś starym szalem, a zamiast złotej ozdoby wkładała na czoło drugą, na której dukaty były fałszywe, pocerniałe, bez blasku. Za ucho zatykała tylko kwiat ruty, zamiast kwiatu wysadzanego drobnymi błyszczącymi kamieniami. Zdejmowała też naszyjnik o dużych perłach i z palców ściągała drogie pierścionki, zostawiając tylko tamten ślubny zapisany kanciastymi hebrajskimi literami. Potem, pełna smutku, dobroci i troski, szła zobaczyć i pocieszyć zasmuconą biedną Żydówkę, praczkę tija Hanuczę di Pardo, szła, żeby ją dobrymi słowami podźwignąć z upadku i cierpień, a głodną i wycieńczoną posilić ciepłym i tłustym rosołem z kury.

— Dobry wieczór!

To pozdrowienie było w biciu serca tija Hanuczy, słyszałem je wyraźnie.

Obolała i zmęczona Boczka wołała matkę:

— Mamo, mamo, chcę się położyć. — Jej małe chude ręce, opuszczone na kolana, były zimne. Pochyliła głowę i oparła ją na piecu. Czowała się tak, jakby ją ktoś wysmagał kijem, jakby słabowite, chude ciało miała pokryte siniakami, które sprawiały ból już przy poruszeniu koszuli.

Tija Hanucza nawet teraz nie drgnęła, choć za każdym razem słyszała, kiedy dziecko wołało. Co prawda chwilami na krótko wrywała się z zamyślenia, chciała się podźwignąć, otworzyć oczy, aby zobaczyć, co to się dzieje z nią i z jej dzieckiem, ale czuła się tak ciężka, ogromna i miała wrażenie, że tonie w głębokim grząskim mule.

5

Boczka już spała, kiedy rzeczywiście w korytarzu dały się słyszeć czyjeś kroki, brzęk naczyń i szukanie drzwi w ciemnościach. Tija Hanucza poznała, czyje to są kroki,

149

gdy kierująca się do niej osoba była jeszcze na podwórku. Zeskoczyła ze skrzyni, cała biała. Z początku nie wierzyła własnym uszom, a kiedy nateżyła słuch, wzdrygnęła się jak smagnięta. Naraz ściągnęły się jej wszystkie mięśnie ciała, skurczyła się z bólu, nie miała jednak czasu, by wydać z siebie jęk, ruszyła tylko przygarbiona ku drzewom. Z szeroko otwartymi oczami, drżąc ze strachu czekała, kto się w nich ukáže. Chciała się wyprostować, aby móc lepiej widzieć, stojąc przy drzwiach uniosła nawet nieco rękę. Może ręka uniosła się sama, a może tija Hanucza w ten sposób chciała się przygotować do obrony przed nową, niespodziewaną grozą, okropniejszą od tej, jaką przeżyła rano, okrutniejszą, która teraz się zjawiała po cichu, szurając przed drzwiami. Może chciała zatrzymać urzeczywistnienie swojego oczekiwania, teraz, w ostatniej chwili, na progu, toteż przerażona tym, co miało się zdarzyć, uniosła rękę, aby ową groźbę cofnąć, odegnać bezpowrotnie, zmusić, żeby zniknęła, wtopiła się w ów kawałek białego chleba na kolanach Boczki, z którego rano wykiełkowała, maleńka, niejasna, a teraz oto dzwoni naczyniami, zjawia się w postaci macania dłonią drzwi — niemiłosiernego, straszliwego. Tak, tak właśnie macano, szukano drzwi, kiedy Awram, jej mąż, leżał w agonii. Tak było i potem, kiedy wynosili go w tabucie przy śpiewach świętych pieśni. Tak samo! Wtedy też obok pieca, gdzie teraz siedziała Boczka, kiwał się sennie jej jedynak Bencion, czytając cudowne modlitwy — jej syn o małych białych rękach, bladym uśmiechu, uśmiechu, który zabrał do grobu. A jej Boczka, wtedy jeszcze robaczek, co to dopiero zaczynał się odzywać w łonie matki, tak się uciszyła, chyba struta jej zgryzotą, że ona, nieszczęsna praczka, godzinami drżała czekając, aby się dziecina odezwała, aby coś matce powiedziała swoimi nikłymi kopnięciami: „Mamo, to ja, żyję, żyję, nie martw się, mamo!”

Zawsze tak po ciemku szukano jej drzwi i zawsze o tej samej porze słyhać było kroki, nie przyzwyczajone do zgniłej podłogi, do dziur w przedpokoju, do których ona nigdy nie wpadła, ani ona, ani nikt z tych, co razem z nią mieszkali w tej izdebce.

130

Tak macano po ciemku... Właśnie tak.

Oczy tija Hanuczy błyszczały. Pozostała jeszcze tylko chwila, by rozwiało się wszystko, co się w niej kłębiło przez całe popołudnie, i by uwierzyła, że w drzwiach ukáže się tragarz Hajmole, aby zapytać, czy się trzyma tamta glina, którą zalepił uszkodzony piec. „To Hajmole, to tragarz Hajmole!” Już dobywał się z niej radosny okrzyk. Wtedy otworzyły się drzwi, a w nich ukazała się Mazałta, służąca siniory Racheli, i w swoich szatach wniosła do izby świeże, zimne technienie.

Usunąłem się, aby nie przeszkadzać w nakrywaniu adamaszkowym obrusem stoczonej przez kornik skrzyni, aby nie słyszeć cienkiego brzęku talerzy o niebieskich brzegach i dzwonięcia lśniących srebrnych łyżek.

6

Kiedy wróciłem, wszystko było porozkładane i naszykowane. Pachniało rozgotowane kurze mięso. Znad rosołu, żółtego i tłustego, unosiła się gorąca para, od czasu do czasu odsłaniając mieniące się oka. Przed lampą, między zastawioną skrzynią a zwiniętą w kłębek Boczką, stała praczka. Od niej odrywał się cień, ciemny i ciężki, i wydłużając się pełzał po podłodze, stąd zaś, przełamując się poniżej ramion, piął się prawie do połowy wilgotnej ściany. Praczka patrzyła w oderwany róg pieca, przez który widać było okopcone czarne wnętrze, a w chwili gdy już po raz drugi spróbowała przełknąć gorzką ślinę, jaka zbierała się jej w ustach, Boczka się poruszyła. Dziecko wyprostowało nogę i szarpnąwszy ramieniem sapnęło raz głęboko i świszcząco przez nos.

Na górze, w blaszanym piecu ustawionym na gliniaku, po raz pierwszy zatrzaśkały drobne iskielki.

Ja, Szabetaj Alchalel, powiedziałem do praczki tija Hanuczy di Pardo:

— Tija Hanuczo, dobra tija Hanuczo, mam wrażenie, jakby Boczka poczuła zapach rosołu, małego serca kury i skrzydełka...

1S1

— Jest w nim także kawałek wątróbki — mówiła praczka nie odrywając oczu od owej okopconej czeluści. Po chwili nagle odwróciła się do mnie:

— Jak to sobie wyobrażacie? Mam ją obudzić? A dlaczego nie miałabym jej obudzić? Obudzę ją, tak, obudzę, niech się dziecko nasyci, niech zje kolację, niech się ogrzeje. Ten blaszany piecyk jest za słaby, żeby mógł nam rozmrozić palce u nóg. A dziecko będzie jadło. Czy widzieliście kiedy, jak się moje głodne dzieci rzucają na te kolacje? Obskubują kości, obgryzają je, ssą szpik, mlaskają językiem, połykają kęsy żarłocznie, mają zatłusz- czone usta, a nawet ręce po same łokcie. Zaczynają się wtedy ruszać, jakby odżywały. Skądś zaczyna do ich żył napływać ciepła krew, blade policzki nabierają rumieńców, oczy się świecą. Tak też jadł mój Bencion wieczorem tamtego dnia, kiedy dwie godziny wcześniej pochowaliśmy Awrama, jego ojca. Oblizywał palce, gryzł tłuste kurze chrząstki, z miękkich kości wysysał żółty i czerwony szpik, rozpoznawał zapach ciast, a kiedy poczuł w nich goździki, zamknął oczy i powiedział, jakby powtarzał za swoim ojcem: „Bądź błogosławiony, Panie, Ty, który stworzyłeś kwiaty i zapachy!”

Tak, senior Szabetaju Alchalelu, wy jeszcze nie widzieliście, jak jedzą moje głodne dzieci. Dlatego powinnam obudzić dziecko. Powinnam.

Boczka! — zawołała jakby nie swoim głosem. — Boczka! — zawołała drugi raz tak samo.

Boczka się nie odzywała.

— Czemu nie mam jej obudzić? Czemu? Wiem przecież, że zawsze łapczywie je. A ona też lubi małe kurze serca i lubi oblizywać lśniąca zatłuszczoną łyżkę. Więc dlaczego nie mam jej obudzić? Dlaczego?

Stojąc obok wpatrywała się w córkę. Tymczasem z góry gapiły się na nią, jak dwoje czarnych oczu, owe dwie dziury w blaszanym piecyku, przez które widać było żar.

Kawałki węgla drzewnego, które służąca siniory Racheli rzuciła na ogień, już się rozpałały. Od czasu do czasu sypały się z nich snopy drobnych zielonych iskierek. Liniły niebieskie i złociste obrzeża talerzy, oślepiąca biel adamaszkowego obrusa, a w rosole mieniły się żółte oka kurzego tłuszczu. Nad talerzem dymiła biała para.

Rosół 152
był jeszcze gorący, izdebka zaś tchnęła przyjemnym zapachem. Odświeżnie paliła się lampa. Poprzestawiane zawiniątka, skrzynia i sterty szmat rzucały na podłogę cienie.

— Boczko, Boczko, wstań! — tija Hanucza uklękła obok dziecka, wołała je. Twarz, pomarszczoną i lodowatą, oparła na rozczochranych włosach córki: — Boczko, Boczko, wstań i zjedz kolację, wstań no, dziecko kochane!

Boczka ruszała się powoli przeciągając się, zimnymi piąstkami przecierała oczy, mówiła sennym głosem:

— Mamusiu, chcę się położyć, proszę cię, pościel mi, bardzo cię proszę, pozwól mi się położyć. Nie chcę kolacji, nie jestem głodna... nie jestem, mamusiu, nie...

Senne dziecko się broniło, a tija Hanucza powtarzała pieśczętliwie:

— Wstań, kochana, wstań, najdroższa, najpierw zjedz kolację, popatrz, otwórz oczy, Boczko, jest rosół, rosół z kury, widać* w nim małe serce, Boczko, kurze serce, małeńkie, maciupęńkie, jest też udko i skrzydełko. Patrz, na skrzynce są też ciastka z czerwonymi konfektami, wstań i ogrzej się, rosół jeszcze dymi.

Tak mówiła pieśczętliwie tija Hanucza di Pardo rwąc jakby, kawałek po kawałku, swoje serce.

Boczka wreszcie się trochę uniosła, a ocknąwszy się na dobre i zobaczywszy naszykowaną kolację, szeroko otworzyła usta i oczy.

— Aaaach! — zdziwiła się. — Mamusiu, była siniora Rachel... Jak to się stało, że nic nie słyszałam? — Dziewczynka chciała się podnieść.

— Zaczekaj, dziecko -r- powstrzymywała ją matka — zaczekaj, zdejmę ci buciki, są mokre, zaczekaj!

Praczka usiadła obok Boczki. Podczas gdy z jej nóg ściągała mokre buty i zziębnięte nogi okrywała suchymi szmatami, dwa razy usłyszała, jak dziecku zaburczało w żołądku. Kiedy i trzeci raz słyszała burczenie, wzięła Boczkę na ręce i zaniósła do skrzyni. Zaraz uklękła przy niej, by dłońmi i twarzą ogrzać owinięte szmatami nóżki.

Dziecko wzięło łyżkę i po chwili dotknęło talerza. Cienki, srebrzysty brząk uderzył tija Hanuczę w ucho. I jakby je przemienił w wielką dziuplę. Trochę później do

tej dziupli wpadł dźwięk świadczący o tym, że Boczka siorbnęła pierwszą łyżkę gorącego rosółu.

Siorbnęła też drugi raz i młasnawszy językiem oblizała wargi. My dwoje patrzyliśmy powstrzymując oddech. Wreszcie Boczka, oblizawszy lśniąca łyżkę, wzięła w palce kurze skrzydełko, szerniałymi zębami ściągnęła tłustą rozgotowaną skórę i wpatrzywszy się w coś powiedziała:

— Czy wiesz, mamusiu, kiedy siniora Rachela ostatni raz posłała nam takie ciastka? Kiedy leżałaś na wiosnę, wiesz, miałaś wtedy kurcze żołądka. — Tija Hanucza nic nie odpowiedziała, a Boczka mówiła dalej jakby do siebie:

— Od tamtego czasu nic nie posyłała... A kto kupił nowe szkło do lampy? Mamusiu, ty wyprałaś ten obrus? Boże, jaki bielutki!... Wiesz, mamusiu, dzisiaj mi jakoś dziwnie. Zdaje mi się, że jest święto. Właśnie, jakby była sobota, a dzisiaj był brzydki dzień. Powiedz, mamusiu, był brzydki? — Dziecko potrząsnęło głową, jakby się czegoś przeraziło.

Tija Hanucza łzami zraszała szmaty, którymi owinęła nogi dziecka, i przyciskając te nogi coraz mocniej do piersi usiłowała powstrzymać w sobie krzyk, jaki skręcał się w niej w łuk o kształcie czarnej sękaty gałęzi, co w każdej chwili mogła się złamać od silnych porywów wiatru i upaść na jakieś skały i urwiska. Kuliła się, drżała, starając się, żeby ten krzyk nie wydostał się z piersi, podczas gdy dziecko, pogryzając ciastka i uderzając lśniąca łyżką o talerz, mówiło:

- Mamo, wtedy też nam posłała jedzenie, teraz sobie przypomniałam, wtedy, kiedy Benciona ponieśli na cmentarz, wtedy też...

Dziecko, wpatrując się w czerwone konfektu na ciastku, mówiło, mówiło.

Natomiast ja, Szabetaj Alchalel, wymknąłem się z izdebki, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Wyszedłszy zacząłem głęboko oddychać. Szeroko otwierałem usta. Na dworze panowała spokojna zimowa noc. Niebo tu i ówdzie zdawało się pogodne, widać było pojedyncze jasno świecące gwiazdy. Ruszywszy wyczułem, że rozdeptany śnieg zaczyna z wierzchu zamarzać.

Po jakimś czasie wróciłem.

Praczką przykręciła knot lampy i dmuchnęła w mały płomyk, który prerażliwie się chybołał. Dmchnęła tylko raz, mocno, i zaraz się ułożyła obok dziecka.

Czekałem powstrzymując oddech. Było ciemno. Tylko w blaszanym piecyku strzelały małe, niskie płomienie, a dwoje oczu na tym piecyku paliło się żywym żarem. Wszystko się uciszyło. Tija Hanucza i mała Boczka, łyżki i talerze. Nie zjawiała się nawet kosmata mysz.

Wtedy w ciszy odezwała się Boczka:

— Mamusiu, mamusiu!

— Co jest, dziecko, co jest?

Nateżyłem słuch, aby usłyszeć, co Boczka powie. Obróciłem ku niej głowę, Boczka jednak milczała, nie mówiła nic. Czulem: jeszcze mocniej przyciska rączki do podołka, jeszcze ciaśniej tuli się do matki.

— Co, duszko? — pytała tija Hanucza z troską w głosie.

— Nic, chciałam cię o coś zapytać, ale o co, nie wiem. A... już wiem, chciałam zapytać, dlaczego ścięli śliwę, ale się domyśliłam dlaczego. Ścięli ją, bo przeszkadzała. Musiała na podwórko wjechać sikawka, to ją ścięli. Trudno, skoro musieli. Trudno! Myślisz, mamusiu, że mi żal? Nie, nie żal mi. Mieli rację, że ją ścięli. Musieli też śnieg zdeptać, musieli. Bogu dzięki, że się nasz dom nie spalił. Powiedz, mamusiu, czy wkrótce śnieg znów spadnie? Powiedz!

— No oczywiście, że spadnie.

— Jesteś tego pewna?

- Pewna. Zima jest długa, dopiero się zaczęła.

— Jak długo trwa zima?

— Długo.

— Długo?

- Tak.

Tija Hanucza przerzuciła rękę ponad dzieckiem, ot, jakby od niechcienia. Dziecko czuło, że ta ręka daje ciepło. Obydwie milczały. Teraz ich posłanie zdawało mi się kupą mroku w ich niewielkiej izdebce. Obserwując je dostrzegłem, że praczka też patrzy. W jej oczach lśniły

dwa małe, drobne czerwone refleksy. Był to odbity blask z tamtych dwóch ognistych dziur w blaszanym piecyku. Nie ruszałem się. Z piecyka posypały się iskry, raz, drugi raz.

— A czy wiesz, mamusiu, kiedy siniora Rachela znów przyśle kolację? Wiesz, mamusiu?

Boczka poczuła, że ręka, ta, którą ją matka obejmowała, nerwowo drgnęła. Drgnięcie przeniosło się i na nią, przeszło od ramion, a potem wzdłuż pleców. Czekala, żeby matka coś powiedziała, czekając zaś i zastanawiając się, dlaczego milczy, zasnęła. Tymczasem tija Hanucza drętwiała na posłaniu. Nie mogła zamknąć oczu, bo z góry, z piecyka, owo podłużne, trochę krzywe oko, jakby drwiąc z niej, mówiło: Odpowiedzcie, tija Hanuczo di Pardo, odpowiedzcie swojej bladej i chudej Boczce, kiedy siniora Rachela znów przyśle kolację, odpowiedzcie! Dziecko czeka, ciągle czeka. Może ono też zgaduje wasze myśli, posłuchajcie, jak bije jego serce.

Hanucza stawała się lodowata. Była zimna jak ziemia. Pod krtanią łomotały jej tętna. Znów traciła świadomość, jakby jakaś zhora, usadowiona na piersi, lada chwila miała jej zmiażdżyć także czoło. Pragnęła teraz, żeby się owa gałąź w niej złamała, chciała krzyknąć, zawołać głosem, jakim nigdy jeszcze nie wołała, zapłakać z całej siły, która teraz skądś w niej się zjawiała, niczym jakiś cud, chciała, żeby rozleciały się nadpęknięty piec i ustawiony na nim blaszak, talerze, widelce, szkiełko lampy, żeby się zatrzęsło okno, zasłonięte szalem. I krzyknęłyby na pewno, donośnie i mocno, jak kobieta olbrzym, gdyby obok niej nie leżała Boczka, dziecko, które coraz mocniej przyciskała do siebie rękami, a które krzykiem mogłoby się przerazić, dostać z przestrachu konwulsji, stać się blade jak chusta i już nigdy nie odetchnąć naturalnym oddechem.

W obawie, że się dziecko obudzi, nie odważyła się bronić nawet ręką, jednakże jednym ramieniem całą siłą oparła się grozie. Wyciągnięta na posłaniu z uniesionym ramieniem, trzymając Boczka w objęciu, sama sobie wydała się odrodzona, przemieniona w inną Hanuczę — wielką, wyprostowaną, o zdrowych kolanach, mocnych biodrach, szerokich ramionach. Ciężko oddychała. Sze-

156

rzej otworzywszy oczy, przerażonym spojrzeniem popatrzyła na owo podłużne oko na górze w piecyku, a ręką mocniej przycisnęła dziecko do łona.

— Już te kolacje nie będą przychodziły — zaczęła do kogoś mówić — nie będą, przysięgam. Nikomu nie oddam mojego dziecka, mojej Boczki, nie! Będę dźwigała ją na rękach i uniosę daleko stąd, ukryję przed waszymi spojrzeniami. Będę dziecko karmiła swoim potem, jej policzki, teraz blade, dostaną rumieńców, tak, dostaną kolorów i będą bardziej rumiane niż wasza krew. Nie oddam jej, mówię wam, dosyć mam tego, nie oddam. Ona jest wszystkim, co mam, moją siłą i moim życiem. Będę krzyczała, będę jej broniła, nikomu jej nie dam. Panie, usłysz mnie, Boczka jest jedynym stworzeniem, jakie mi dałeś. Zostaw mi ją, Panie! Będę wołała, będę krzyczała i ucieknę stąd, z tego mojego grobu, przeskoczę wszystkie zwalone ogrodzenia, rowy, śmietniska, będę gnała długimi drogami, łąkami, polami, przejdę potoki i góry, błędzić będę po lasach, wydam się z moim dzieckiem, z moją Boczka, tam, gdzie mnie nie dopędzicie i nie znajdziecie.

Zamknęła oczy, mocno przycisnęła dziecko do siebie, wyprostowała zaś nogi, aby w pełni poczuć swoją siłę, zaczęła sama z sobą rozmawiać. Rozmawiając zaś coraz bardziej się oddalała w jakieś nieznane, dalekie kraje. Zdawało się jej, że idzie, że biegnie, wspina się, przerzuca przez jary, wądoły, płoty i ogrodzenia, że się wdrapuje na szczyty wzniesień, opuszcza w doliny. Obok niej przesuwały się krajobrazy, wsie, góry, mijały ją woły, konie, owce. Baranki unosiły łby, patrzyły na nią. Ludzie też zatrzymywali się i odwracali. Czula, że wszyscy patrzą, dziwią się, zdumiewają.

Chciałaby się odwrócić ku nim i powiedzieć: „Tak, tak, to ja, popatrzcie, to ja, praczka tija Hanucza di Pardo! Popatrzcie, nie mam już spuchniętych kolan, nie jestem już przygarbiona, i Boczka nie ma już białych policzków. Czuję, że w moich piersiach wzbiera pokarm, wezbrał już i tryska, patrzcie, jak mi piersi nabrzmiały, jakie są pełne i jak dziecko łapczywie ssie. Posłuchajcie, jak połyka płyn, popatrzcie, jak się jej policzki wypełniły, jak się z ust wylewa mleko i ścieka po bródce.

157

Patrzcie, jak Boczka rośnie, jak się zaokrągliła, moja Boczka. Niepotrzebne nam już wasze kolacje, niepotrzebne!*

Wędrowała tak tija Hanucza di Pardo, gorąca, rozpalona. Nawet jej stopy, które nigdy nie mogły się ogrzać, też płonęły, a po stronie, po której się dziecko do niej tuliło, była spocona. Coś unosiło ją w jakąś dal, unosiło jak na skrzydłach, lekko, radośnie, szybko.

Nagle ukazały się jej jakieś twarze, pełne miłości, a patrzące na nią oczy, łagodne, uśmiechnięte, mówiły: „Tak, to ona, tija Hanucza, nasza tija Hanucza.” Tija Hanucza zaś, idąc ku nim, słyszała, jak się zachłystują radością, a słyszała też, jak bije jej własne serce, jak drży, jak na jej policzkach maluje się radość, czuła nawet coś więcej: że kołysze się jakby cała z uczucia głębokiego szczęścia. Ledwie się trzymała prosto, ledwie chodziła.

Była już prawie u celu. „Czego to się przestraszyły tamte łagodne oczy? O co się tak martwią? Nie, nie czuję się źle, nie czuję!” — mówiła przyciskając dziecko do łona, aby się jej nie wysunęło z objęcia. „Nie, nie czuję się źle, to wszystko ze szczęścia, ze szczęścia!”

Głowa jej opadła, traciła już świadomość, ale czuła jeszcze, że chwytają ją dobre, miękkie ręce, że przytrzymują głowę. Ktoś ujął jej rękę, całował ją. Słyszała, jak przestraszeni wołali: „Dajcie szybko wody dla naszej tija Hanuczy! Szklanekę wody i kawałek cukru!”

Pochwyliła też czyjeś pieszczotliwe słowa: „Mamusiu, kochana mamusiu!” To był Bencion. Jej Bencion! „Boże, jak urósł, jaki on duży! Bencionie!”

„Synku, synku — chciałaby zawołać — synku, nie bój się, to wszystko ze szczęścia, ze szczęścia, nie martw się, najważniejsze, że zdążyłam” — ale nie mogła.

„Bencionie!” — próbowała przynajmniej wymówić jego imię, lecz w żaden sposób się jej to nie udawało. Coraz bardziej opanowywała ją jakaś niemoc, powoli więc tonęła w coś miękkiego, ciepłego, aksamitnego.

15S

Długo praczka tija Hanucza di Pardo zapadała w swój radosny sen, kiedy się zaś w nim pogrążyła na dobre, w izdebce zapanował zupełny spokój. Głucho były dwa serca w mrocznym pomieszczeniu. Ciemności przekształcały się w bezkresną przestrzeń, w której migotały tylko owe zielonawo-niebieskie płomienie piecyka. Migotały i przepłatały się niczym węże, unoszące głowy i wysuwające rozdwojone języki. Czasem spomiędzy nich wzbijały się pojedyncze świetliste pomniejsze płomienie.

A ja, Szabetaj Ałchalel, stałem i patrzyłem.

Dziwnie paliły się owe płomienie. Tajemniczo i jakby nabożnie. Paliły się niby w jakimś trybularzu, co zajął się ogniem, ażeby sławić Pana w święte soboty, które nam dał, sobie i nam, naszym sługom i naszym służącym, mówiąc: „Aby odpoczął sługa twój i służka twoja.”

Paliły się więc płomienie, jakby była sobota, i zdawało się, że mnie coś zachęca, bym u stóp tego trybularza odmówił kidusz. Bezskutecznie szukałem rzeczy, którą mógłbym na siebie narzucić jak talet i odmówić modlitwę do naszego Pana.

Odwróciwszy się zauważyłem: owa kosmata myszka wysunąwszy się z dziury w rogu ruszyła na zer. Biegła trochę po izdebce, a potem się nagle zatrzymała Uniosła do góry swoją małą różową mordkę, zaczęła węszyć, przewracać czarnymi oczkami, po czym szybko zawróciła i pognęła prosto do nory. Po chwili już jej w izdebce nie było.

Wtedy ja też opuściłem izbę. Ja, Szabetaj AJchalel. Zanim to uczyniłem, odmówiłem taką oto modlitwę do naszego Pana: „Niech będzie święty ten sobotni ypokój praczki tija Hanuczy di Pardo, wielkiej służki Twojej i naszej, Panie...”

Co powiedziałwszy wyszedłem.

Ałchalel wstał i zastukawszy laską dwa razy nagle zniknął z mojego pokoju.

159

Nazajutrz załomotałem do jego bramy. Otworzono mi.

— Tutaj nie mieszka żaden Szabetaj Alchalel — powiedzieli mi — tutaj mieszka Gabriel Gaon.

— Gabriel Gaon?... No tak... tak... jego, właśnie jego szukam — odpowiedziałem zmieszany.

Wszedłszy do pokoju, stanąłem opodal drzwi. Szabetaj Alchalel siedział przy stole. Pochylony nad dużą starą księgą zagłębiał się w lekturze, na pewno więc nawet nie słyszał, kiedy wszedłem. Jego ręka o długich palcach kurczowo trzymała lewy brzeg książki, a druga tkwiła wyciągnięta na poźółklej kartce, którą właśnie przeczytał. Głęboko poorane czoło o ściągniętych zmarszczkach było nieruchome.

Czytał pilnie, ale nie ruszał wargami. W pewnej chwili zmarszczki na czole drgnęły, jakby się rozluźniły. Szabetaj Alchalel, uniósłszy głowę, powiedział uroczyście: „Oto wszystko to widziało oko moje, i słyszało ucho moje, i zrozumiałem każdą rzecz.” * Obydwa przyjrzelśmy się sobie w sposób dziwny. Wtedy pozdrowiłem go pierwszy.

— Szalom, Szabetaju Alchalelu — powiedziałem i skłoniłem się.

Ręką dał mi znak, żebym usiadł, a następnie odpowiedział:

— Pokój z wami! Na imię mi Gabriel Gaon!

mŚF

Tragarz Samuel

1

Ani ojciec, ani macocha, ani Jakub, brat Saruczy, nie zaprzęтали sobie głowy tym, żeby Saruczę wydać za mąż, choć przecież jej rówieśnice miały już po dwoje, a niektóre nawet i troje dzieci.

Często z głębi duszy Saruczy wyrывało się głuche westchnienie. Niekiedy jej się zdawało, że wszyscy o niej zapomnieli, że nikt na świecie nie zajmuje się jej losem. Było jej ciężko, ale mimo wszystko, w skry tości, w jakimś zakamarku serca, tliła się wciąż iskierka nadziei, upajała się więc marzeniem, że ojciec któregoś dnia — nieoczekiwanie — wracając do domu, już w furtce uroczyście i radośnie zawoła: „Saruczo, córko kochana, szybko do mnie! Śpiesz pocałować ojca w rękę! Zaręczyłem cię, zaręczyłem, moja dobra Saruczo!”

Czekała latami, żeby usłyszeć tę wiadomość, ten radosny okrzyk ojca. Każdego popołudnia natężyła słuch i choć w swoich oczekiwaniach już tyle razy się zawiodła, zawsze serce zaczynało jej mocniej bić, kiedy słyszała kroki ojca w podwórzu o niezwykłej porze. Ojciec! — mówiła do siebie w uniesieniu. — Ojciec wraca i za chwilę zawoła: „Saruczo, szybko do mnie, dziecko kochane!”

Te płonne wzruszenia wyczerpywały siły dziewczyny. Broniła się, żeby nie popaść w rozpacz. Mimo wszystko załamała się. Co prawda na krótko. (Zaczęła właśnie dwudziesty czwarty rok życia.) W pewnej chwili bowiem zrodziła się w niej dziwna wiara. Sama nie wiedziała, jak do tego doszło ani dlaczego, jednakże

161

niezwykle przeczcucie zaczęło jej mówić, że tego lata z całą pewnością się zaręczy i wyjdzie za mąż. Na chwilę więc z jej twarzy zniknęły mroczne cienie, oczy się rozjaśniły. Chodziła po domu uśmiechnięta, niekiedy nawet śpiewała.

Ale w tych akurat dniach, kiedy serce Saruczy napelnione było radosnym oczekiwaniem, zdarzyło się, że jej macochę, kobietę, która do owego czasu cieszyła się niepożytym zdrowiem, nagle złożyła choroba.

— To nic, trochę się przeziębiła — mówiły sąsiadki. Rzeczywiście, wszystko zdawało się wskazywać, że to nic groźnego. Tymczasem w kilka dni później macocha zaczęła majaczyć w gorączce. Wezwali więc tja Hanuczę. Staruszka wychodząc z pokoju, w którym leżała chora, znacząco kiwała głową. Sarucza patrzyła na nią osłupiałymi oczami. Czyżby macocha miała umrzeć? Serce dziewczyny ścisnęło się z bólu, gdy ta myśl przelatywała jej przez głowę.

W cztery dni po pierwszej wizycie tja Hanuczy chora zamknęła oczy.

Śmierć macochy spadła na Saruczę jak piorun. Długo nie mogła odzyskać równowagi. Kiedy wreszcie przysła do siebie, zatroskanym spojrzeniem ogarnęła osieroczone dzieci. Były bose, nie uczesane, zapłakane, głodne. Zresztą cały dom wydawał się pogorzeliśkiem. Sarucza westchnęła głęboko i opuściwszy głowę wzięła się do roboty.

Także do tej pory pracowała jak niewolnica. Teraz jednak wszystko zważyło się na jej głowę. Teraz ona jedna musiała chodzić koło wszystkich domowników. Wśród przyrodnych siostr niemało było drobiazgu. Niektóre siostry przekroczyły dziesiąty rok życia, bawiły się same na podwórku, a nawet wybiegały na zaulek, inne jeszcze po domu i podwórku rączkowały. Należało więc uważać, żeby jedne nie zleciały z ogrodzenia, a inne nie poleciały głową w dół na dno studni. Rano każde po kolei trzeba było umyć, uczesać, nasycić, a niekiedy i nakarmić łyżeczką. Nędzne odzienie, jakie jeszcze na sobie miały, każdego dnia w dziesięciu miejscach musiała załatać i przynajmniej raz w tygodniu przeprać choćby z pierwszego brudu. Od rana do wieczora Sarucza biegała po domu i podwórku. Nie wiedziała, do czego się najpierw 162 zabrać: czy ma najpierw miesić chleb, sprzątać w pokoju, czy przyrządzać obiad. Nieraz, kiedy była najbardziej zajęta, słyszała wrzask i płacz na podwórku. „O, ja biedna!”, wrywało się jej z piersi, więc z rękami pełnymi ciasta wybiegała na dwór, aby zobaczyć, co się dzieje.

Kładła się do snu, gdy już wszyscy spali. Ale nieraz ani wtedy nie miała spokoju. Rudy Jakub, jej brat, potrafił nietrzeźwy wrócić do domu o północy, nawet później. Trzeba było więc otworzyć mu drzwi, zaparzyć kawę i mitygować go, żeby nie wystraszył dzieci.

Stary Papuczo, ojciec Saruczy, z początku dziękował Panu, że córka jest jeszcze w domu, ale kiedy minęła żałoba, zaczął się zastanawiać, co się z dziewczyną stanie, jeśli jego bieda potrwa jeszcze jakiś czas. Może nigdy nie wyjść za mąż! Ta myśl wydała mu się straszna. Postanowił więc ożenić się po raz trzeci.

Szukał, rozpytywał się, oświadczał, nikt jednak nie chciał za niego wydać ani bezdzietnej wdowy, ani dziewczyny zasiedziałej w staropanieństwie. Proponowali mu dwie, trzy wdowy z dziećmi. Jedna z tych kobiet nawet mu się podobała, ale jak miał ją wziąć za żonę i przyprowadzić do domu całą gromadkę dzieci? Przecież sam tego błogosławieństwa miał aż za dużo. Miał dwoje, Jakuba i Saruczę, z pierwszego małżeństwa. Co prawda tych dwoje dawno już dorosło do ożenku czy zamążpójścia, ale sześcioro, same córki, które urodziła mu druga żona, zawadzało i liczbą, i wiekiem. Oprócz tego wszystkim żyło się niełatwo, leżeli jedno na drugim w niewielkim pokoju i jeszcze mniejszej kuchni. Najważniejsze jednak było co innego: Co by na to powiedział Jakub. To właśnie Jakub prowadził rzeźnię, handlował bydłem, zarabiał i utrzymywał siostrę, siostry przyrodnie, a nawet jego, starego Papucza. Dlatego właśnie Jakub nie mógł się ożenić. Jak więc on, Papuczo, który prawie nic nie zarabiał, miałby do tej ciasnoty przyprowadzić jeszcze trzy czy cztery stworzenia boże? Jakub, zawsze gwałtowny i opryskliwy, wybuchnąłby, poszedłby z domu i zostawił go, żeby głodował z własnymi dziećmi i dziećmi wdowy. Papuczo w końcu wzruszył ramionami. „Co robić! Życie to nie weselisko. Wyjdzie za mąż, kiedy będzie jej sądzone. Na razie musi cierpieć, ona, ja, my wszyscy.”

A Saruczę pocieszał, jak tylko umiał. Obiecywał, że wyda ją za męża, ledwie dorosłą bliźniaczki, Beja i Leja.
— Bądź cierpliwa, moje dziecko!—mówił. — Popatrz tylko na Jakuba. On też nie może myśleć o tym, żeby się żenić, a jest od ciebie starszy. Przy tym pracuje, męczy się, tłucze po wsiach, nocuje w zajazdach, marnuje się przebywając w złym towarzystwie, a wszystko przez nas. Co robić! To istne nieszczęście! Ale musimy jakoś wytrzymać.

Sarucza była rozsądna. Od owego dnia, kiedy się wprzegła do codziennej mordęgi, nawet do głowy jej nie przychodziła myśl o zamążpójściu. Po prostu zapomniała o sobie. Biegała po domu i podwórku — była matką, gospodynią, służącą, praczką. Sąsiadki nie mogły się jej nachwalić.

Tak minęły cztery lata.

Bliźniaczki tymczasem podrosły. Sarucza odetchnęła. Znowu zaczęła, z rzadka i bojaźliwie, myśleć o sobie. Zdobyła nawet gdzieś pachnące mydło i niewielkie okrągłe lustro.

Chowając te drobiazgi w zanadrzu, wspominała dawno minione dni, kiedy układała grzywkę na czole, kiedy serce biło jej i drżało z jakiegoś ledwie przezuwanego szczęścia. Miała nadzieję, że coś z tego minionego szczęścia wróci.

Za każdym razem gdy znalazła się w pokoju sama, wstydliwie, po kryjomu, rzuciła krótkie spojrzenie — jak przed laty — w małe lśniące szkiełko. Wtedy serce jej lodowaciało. Przekonywała się bowiem, że twarz ma zwiędniętą, a zęby poczerniałe, jakby zżarte przez rdzę. Niektóre zupełnie spróchniały.

„Kto mnie taką weźmie!” — z jej piersi wydobywał się bezgłośny żalony jęk. Łzy napływały do oczu, niewymowny smutek przenikał duszę.

Często chowała się w niewidocznych zakątkach domu. Siedząc tutaj, opierała głowę na dłoniach i próbowała się do syta wypłakać.

Stawała się coraz bardziej zamyślona, cicha. Niekiedy stary Papuczo karcił ją gniewnie:

— Na miły Bóg, nie patrz tak smutno. Jeżeli wyszła za męża ślepa na jedno oko Luna, wyjdiesz i ty.

164

Okazja do wydania Saruczy za męża nadarzyła się dopiero, kiedy zainteresował się nią tragarz Samuel.

Przed dwoma laty tragarzowi temu zmarło dwoje dzieci, a w lecie bieżącego roku został wdowcem.

Stary Papuczo od razu wziął go na oko.

„Jeśli on jej nie weźmie, to nie wiem, kto inny mógłby to zrobić!” — mówił w duchu i żył w coraz większej obawie, żeby mu kto nie sprzątnął sprzed nosa tragarza Samuela, tej jedynej okazji do wydania córki za męża. Długo obmyślał, jak ma rozpocząć rozmowę na ten temat z zielarzem Szymonem, wujem Samuela. Trzeba było sprawę tak pokierować, by Szymon nie zauważył, że prawie rozpaczliwie podsuwa tragarzowi za żonę swoją Saruczę. Gdyby się domyślił, zażądałby zbyt dużego posagu. A skąd on, Papuczo, miałby go wziąć? Kto wie, jak się zachowa Jakub, jeśli nawet parę dukatów wyda mu się za dużo.

Wreszcie staruszek zdecydował się rozpocząć rozmowę drogą okrężną.

— Jak tam, sinior Szymonie? Wasz Samuel się jakoś nie żeni? — pewnego ranka zagadnął zielarza Szymona, wuja Samuela. Papuczo zdawał sobie sprawę z tego, że nawet tak sformułowane pytanie jest niebezpieczne, ale z góry obmyślił sposób na wycofanie się w razie niepowodzenia.

— Ożeni się — powiedział zielarz skwapliwie, jakby co najmniej parę miesięcy czekał na to pytanie starego Papucza. Ożeni się, no i szybko, bardzo szybko! — podkreślił i zakaszlawszy dodał: — A dlaczego mnie o to pytacie, sinior Papuczo?

— Hm!... Chciecie wiedzieć, dlaczego o to pytam? Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Często widuję Samuela na mieście... Jest jakiś zaniedbany. Chodzi w łachmanach, więc żal mi go się zrobiło. Pomyślałem, że powinien się ożenić, powinien mieć kogoś, kto by o niego dbał, kto by mu ubranie łątał.

— Nie macie racji, sinior Papuczo! Nie wiem, kto byłby tak szalony, żeby w sobotnim ubraniu dźwigać na plecach wory mąki. Wory mąki i kosze śliwek. Ale dajmy

165

ubr
trochę
rozsądnie!
tani
SDOC
IDOWim
Pe*
takas
ozie*
oceae
nu
poowac
czwae
Proszę
ech
ussv
Paraiczo
mo«
ze
smo
LU
Żadne
drc
Zad
azvmome

proponuje.

sobie
Zostańcie
Bc
tak
De
TS
sem:
P
wszedł
dc
skle
Man

pa
miesDeeo
\\s
P
Gm
pozzue
aeiarz
spc
Kii
apucza.
Prosa
Papuczo
POWiedZKC.
amor
10
co
Sc

M
-i.
w*
wreszcie
TA

52
asaz

M
cz>
me
—

P3
Datrz>
iiczrai

os
w
ocz>
IV
M
Rozum
owszem:
ae
ze
ocoowje

P
Ki
BJ
dczd
El
DVI
□n
w
umorzę

aka>
fceso?
pTOOC
n

ik
ca
roca
rzem
m
osze
żaktwał
Sohoae
Żresz
posasiL
K«
5S3
W3i
Czucza
em\
KS

rr
kaw\
DOS
wsz
Ete
jest
U-
7~i
W\

L&i
sz
OSŁ.
X
2Ł
ok.

Cz\
sełsc
ookca
sso-
me

Proae
Pam
w
sma
Sili
c.

C2D

>33
tfciSSE
Mm
STO
ETBSKfl
53?
WSSSS

e
cs
\7SZ\
»C

Przdran
LC

r>

*rv

SC
SK
X
ra

5S5ZIS

se

sae

aa

zx

53\$

• V

k»ss»

Nie

Mor

zt-

Maneao

-T

sa

lasse®

maoe

Ofl

Brnm

akac

seaa

ese

■a

wa

ekie

oe

Z

HOS

X

r=si

W3.

cna

ZLti&Z

W lalka dni potem Szymon i Papoczo zaczęli otwarae rozmawiać i od razu aę starli wokół posagu-
Szymon żądał dwodzaestu dukatów. I upierał się przy cym.

— Dwadzieścia dukatów to dużo, a dużo! — zapewniał z troską siary Papoczo. przełykając gorzką sftnę-

— Nic podobnego! — udowadniał zjełarz.

— Ateż oczywiście, że za dużo. nie zdobywa ste dukatów tak łatwo, amor Szymonie. Proszę tylko poh-
czyć. iie w dwudziestu dukatach jest groszy. To za dużo. stanowczo za dużo. Proszę się nad tym zastanowić!

— A ja wam radzę, smior Papoczo. żebyście się wy zastanowill. Samuel może czekać. Od soku jeao

RiiJaili Trma* dopiero rok. Jemu se nie śpieszy.

Papoczo i Szymon pertraktowali każdego dnia W swoich rozmowach robiŁ mewielkie postępy, ale zkiarz
syf zadowolony. Któresos dnia wezwał do śdse Samuela

— Słocha.; no. Samada! — zaczął wuj Szyraoa zacierając dkyiae i mrugając swotmś drobnymi — Do
powiedzieć nic pewnego. Mysie jednak, że za jakiś ty- <lz»i wszystko sse wykŁmre- Che. che! — uśmedhał się
zaeiarz i pakami rmeszwił brode. — Czy waesz. że rozmawiam o lobie ze starym Papoczem" O tofcae i jego
Samczy. Whtm, Siwrią Saraeato&cidMehMiM dobra partia- Jest pracowita. Czyż ae tak? A co io wieku. to i pod
tym wzrtedens jesi defee odpowiednia. Tobse przecież nie jest pcKrzefea msoda zooa. Czyż me tak? Zresztą
jest dziewczyaa. isaejesi bnjdka. A tyś leż. Bogp dzięki, meszpemy. Czyż nie lak. 2305 Samaesu? że jesa d
cadza deadaścda dukaiów, so bed23esz s"-areajo Papocza srołp^oe pocakrw^c w rękę Mam sa^ czy jBe!

— DWadzaesaa 4n£aiow?— zczrsit aę SamaeL

— Dwadzaesaa! A oos ty mr&af I ooz>maaz ^mi^AiŁ zapewniam oę. Ak me zaów o tym skomc..

ą . ze o aaczym eec b-jśśł I>apóks me zakcacze rci^maw z Papacasi) i JatŁbem. masz ae
i^ssi « doga.
wiKizjeKa dijcaiówf To tragarza Sazraek mtrąćdo
MB

z równowagi. Dzień i noc myślał o tych pieniądzach i zastanawiał się, co za nie kupi. Idąc codziennie w dół do czarszii, przechodził obok sklepiku sinior Sada. Pewnego dnia przypomniał sobie, że sinior Sado dwa lata temu, otrzymawszy w posagu dziesięć dukatów, otworzył sklepik. Dziś ten sklepik jest pełen towarów.

A oto on wraz z Saruczą Papucza dostanie dwadzieścia dukatów! Może by za te pieniądze otworzyć sklepik? Ta myśl przyszła mu do głowy nagle. Nagle też się ulotniła. Po jakimś czasie jednak wróciła, aby go już nie opuścić. Zakupić towarów za te pieniądze, otworzyć sklepik, zostać właścicielem i już się nie męczyć jako tragarz. To byłoby coś. Samuelowi serce biło z radości. Coraz częściej zaglądał do wuja, pytał o nowiny. Szymon odpowiadał spokojnie:

— Cierpliwości, Samuelu, cierpliwości! Wszystko załatwimy, jak należy.

Już w drugim tygodniu Samuelowi się zdawało, że rozmowy się za bardzo przeciągają. Był zaniepokojony. „Mój wuj za dużo żąda — myślał — sklepik można otworzyć i za dziesięć dukatów.”

— Wujku, a może by nie żądać więcej jak dziesięć dukatów? — pewnego wieczora zaproponował Samuel.

* i— Nie żądać więcej jak dziesięć dukatów?! Jak ty sobie to wyobrażasz?

— Tak po prostu, wujku.

— Czyś ty zgłupiał! — zmarszczył czoło wuj Szymon i nie przerywając roboty w dalszym ciągu niecierpliwie nabijał niewielki mózdzierz jakimiś lekami i ziołami, a potem je tłuczkiem rozgniatł.

— Mnie nie trzeba tylu dukatów.

— Tobie nie trzeba tylu dukatów Kochany mój, potrzebuje ich nawet Salomon Salom, który ma tysiące, a cóż dopiero, ty. Czyś ty aby nie sfiksował, hę?

— Mnie wystarczy dziesięć dukatów. Dzie-sięć! — upierał się Samuel.

- Idź stąd! — wypchnął go wuj Szymon ze sklepu. — Ja wiem, ile tobie potrzeba. Ty mnie nie będziesz pouczał. Mówisz tak, jakbyś był dzieckiem!

Owej jesieni — a było to w 1874 roku — tragarze mieli dużo roboty. Owoce obrodziły obficie. Każdego dnia chłopci do sarajewskiej czarszii przywozili setki koszy śliwek. Cena była bardzo niska, a ludzie, jakby prześcigając się, kupowali śliwki i smażyli powidła. Od świtu do zmroku tragarze zarzucali na ramiona kosze i wnosili je na górę, na Bjelave. W tych dniach dzieci też były niezwykle ożywione. Wybiegając na spotkanie tragarzy aż na dół, do Banjskiego brijegu, witały ich hałaśliwie, skakały wokół nich, ciągnęły za nimi, wpadały na podwórka i z ogłuszającymi okrzykami zawiadamiły gospodynie, że zaraz otrzymają śliwki na powidła.

Tragarze przychodzili spoceni i zmęczeni. Najpierw opuszczali kosze na kocie łby, a potem wysypywali śliwki do wcześniej naszykowanych korytek. W chwilę później w pośpiechu schodzili na dół do czarszii po nowy towar.

Tragarz Samuel Maczoro, wtedy mężczyzna w wieku jakichś trzydziestu pięciu lat, był raczej grubokościsty, ale chudy, blady i trochę cierpiał na zadyszkę. Kiedy wspinał się na górę Banjskim brijegiem, sapał mocno i był w złym humorze. Wszystko mu przeszkadzało. Przez całą drogę przeklinał wzniesienie, kłął dziury w jezdni z kocich łbów i kamienie, o które się potykał.

Przy „Bijelej czesmie” opuszczał kosz, ściągnąwszy zatłuszczony fez pochylał kosmatą głowę, oblewał wodą nie ogoloną twarz, a następnie rozpiął ubranie i chustką wycierał pot pod pachami. Wreszcie siadał i trochę odpoczywał.

Któregoś z tych dni, siedząc w cieniu wysokiego cmentarnego muru, biadał w duchu, że jego wuj za nic nie chce go posłuchać. „Ech, mój Samuelu — mówił sam do siebie — gdyby cię wuj posłuchał, rozmowy dawno zostałyby zakończone... Dziś mógłbyś powiedzieć: Moi drodzy, tragarz Samuel już się nie będzie zatracił, wspinając się tak Banjskim brijegiem. To ostatni kosz, który dźwiga. Niech się pod koszami nabawia przepukliny tragarz Muro! Jest zdrowy i silny jak niedźwiedź, więc może, a Samuel nie może już i nie chce, zresztą już mu to

niepotrzebne. Nie-po-trzeb-ne! Wraz z Saruczą otrzyma dziesięć dukatów i za te pieniądze otworzy sklep. Tak, kochani, sklep! A cóżeście wy myśleli!"

Samuelowi za każdym razem wyrывało się z piersi ciężkie westchnienie. Wstawał wtedy, zbliżał się do kosza, wsuwał ramiona między sznury, prostował się i trzymając fez w ręce, a głowę mając przykrytą zwilżoną chustką, ruszał dalej, na Bjelave. Jednocześnie mamrotał: „Tak, właśnie tak mógłbym powiedzieć, gdyby mnie posłuchał. Ale on wie lepiej! Nie dość mu dziesięciu dukatów, a w końcu nie dostanie ani tyle. Nic nie dostanie, nic!"

Na górę, jna szczyt Bjelav, przychodził z otwartymi ustami, mocno zdyszany. Po drodze łajał i rozpędzał dzieci, które skakały wokół niego i darły się w niepohamowanym zachwycie.

Przed Wieczorem wstępował do kramiku wuja. Kiedy ten ręką dawał znak, że jeszcze nic nie załatwił,* Samuel marszcząc czoło przesuwał sznury z jednego ramienia na drugie i odchodził.

„Nic z tego nie będzie. Tak się nie prowadzi rozmów, kochany wuju. Dziesięciu, dziesięciu trzeba żądać, a nie dwudziestu" — mruzczał pod nosem.

Kiedy Samuel szedł zaulkami, jego gniew z wolna* przekształcał się w smutek. W tym zaś czasie mahale rozbrzmiewały radością, słyhać było głośnie śpiewy. Pełne namiętności wołania rozlegały się ze wszystkich stron. Zdawało się, że ziemią popłynęły miód i mleko, że wszędzie panuje szczęście i zadowolenie. A tymczasem w podwórzach smażono powidła. Liczne gromady kobiet i dziewcząt, całymi popołudniami siedząc przy pełnych korytkach, czyściły owoce z pestek, szorowały kotły, rozniewały ogień, kiedy zaś nastawał wieczór, ogniska radośnie się buzowały, a z gęstniejącej pykającej masy wylatywały drobne czerwone krople. W jednym kącie podwórza siedzieli mężczyźni, popijali rakiję i jedli zakąski, a w drugim kobiety, kucając na zgiętych kolanach, prowadziły ożywione rozmowy. Dziewczęta mieszały wrzącą czerwoną masę, dorzucały dREW do ognia, śpiewały, śmiały się. Dzieci, goniąc się wokół kotłów, piszczwały. To chowały się w szerokich strojach 170

matek i stryjen, to znów wybiegały z nich jak opętane. Nie mogły usiedzieć na jednym miejscu. Podchodziły do kotłów, łyżkami nabierały jeszcze nie dosmażonych powideł i liżąc je parzyły sobie języki. Potem wychodziły na zaułek, aby po chwili stamtąd wrócić, machając pustymi rękami i wydzierając się na całe gardło.

Na wielu podwórkach rozbrzmiewał def, dźwięczała zurla, kwiliła harmonia. Nad rozżarzonymi węglami jakiś „mistrz" obracał szisz-cievap, a dzieci piekły kolby kukurydzy.

Wysoko nad górami niosła się piosenka:

ydów

e,

od

«y

się two

Yo pasi por la tu guerta, Tu estavas en la puerta. Te saludi, te fuites. Esto no me se arenta.*

sak

Niebo było pełne gwiazd. Księżyc ukazywał się nad Żutą Tabiją, noc napelniała się żywą, wibrującą radością.

Tragarz Samuel wchodził do swojego domu smutny. Od razu rzucał się na posłanie.

Tymczasem stary Papuczo i zielarz Szymon zdawali się rozkoszować swoimi rozmowami. Prowadzili je powoli, cierpliwie, według jakiegoś szczególnego planu. Ustępowali i jeden, i drugi, ale z wolna i ostrożnie. W ciągu tych dwóch miesięcy Szymon zszedł zaledwie do szesnastu dukatów, podczas gdy Papuczo swoją ofertę podniósł z pięciu do ośmiu.

Na próżno Samuel coraz częściej naciskał na wuja, żeby ustąpił. Wuj Szymon jednak z uporem odrzucał jego sugestie:

— Proszę cię, nie wtrącaj się, ja wiem, jak się prowadzi tego rodzaju rozmowy!

W tym czasie do całej sprawy wmieszał się rudy Jakub, syn Papucza.

— Co? Szesnaście? Nie dam ani ośmiu. Nawet to jest za dużo! Nic nie dam! — rudy Jakub krzyczał na ojca. Był czerwony i zarazem zielony na twarzy jak niedojrzały

■
pomidor. — Co wy w nim widzicie? Co? Jest wdowcem i nos ma krzywy. Fach jakiś ma? Może jest szewcem? Krawcem? A może kupcem? Ani pierwszym, ani drugim, ani trzecim. Tragarz! W dodatku ma dychawicę jak cygańska szkapka. Z trudem zarabia na chleb. A przecież wiecie, że Saruczka w naszym domu przywykła mieć kawałek mięsa na obiad i kolację. Nie dam jej! Nie dam jej Samuelowi, nawet gdyby chciał ją naga i bosą, a cóż dopiero mówić o szesnastu dukatach. Niech się wypcha, kapcan!

— Słuchaj, Jakubie! — stary Papuczo usiłował ułagodzić syna. — Siedz spokojnie i nie denerwuj się. Tak, masz rację, nos Samuela poszedł w lewo, jakby go wycierał rękawem zawsze w tę stronę. To prawda. Ale, powiedz mi, czy nos naszej Saruczki jest ładniejszy? Proszę, mów! I powiedz, jakie ma zęby? Czy dwóch przednich nie ma złamanych? I czy inne też nie są czarne, jakby całymi dniami żuła tylko smołę, a nie tłustą baraninę, bielutką jak śnieg? Jeszcze coś ci powiem: Saruczka, mój synu, ukończyła dwadzieścia dziewięć lat! Inne dziewczyny wychodzą za mąż, kiedy mają osiemnaście. Ja się z twoją matką ożeniłem, kiedy nie miała siedemnastu! A na dodatek powiem ci i to: Przyjrzyj się dobrze Saruczce, kiedy dziś wrócisz do domu. Oczy ma takie, jakby opłakiwała zmarłych albo jakby jutro miała zamiar rzucić się do studni. Chcesz, żebyśmy czekali, aż jej się wykruszą wszystkie zęby, aż osiwieje, jak ja osiwałem? Co, biedna, wtedy zrobi? Bądź no ty rozsądny!

— Jemu jej nie dam! — zawyrokował Jakub. — Nie dam i już!

Papuczo udał się do Szymona, aby się pożalić. Powtórzył mu słowo w słowo, co Jakub powiedział.

— Teraz wiecie wszystko. I proszę mi wierzyć, Szymonie, ja niczemu nie jestem winien. Co ja mogę zrobić? Jakub ma pieniądze, on zarabia. Mówię wam: Biada ojcu, który jest na utrzymaniu syna. Biada mu! Nie życzyłbym tego swojemu największemu wrogowi.

A Samuel, unosząc się gniewem, krzyczał na wuja: „-t Wyście wszystkiemu winni, wy! Trzeba było od razu żądać dziesięciu dukatów, a nie dwudziestu. Mówiłem wujowi. Dziesięciu, dzie-się-ciu trzeba było żądać.

172

— Ty akurat wiesz, co trzeba było robić. Gdybym żądał dziesięciu, nie oferowaliby ani pięciu.

— Dziesięć by dali, daliby od razu, bez żadnych ceregieli. Wiem, żeby dali. Trudno, sam pójde do Jakuba, zobaczycie, załatwię wszystko w ciągu jednego dnia. W ciągu jednego jedyne-go dnia!

— Che, che, che! — zaśmiał się wuj Szymon. — Ty wszystko załatwisz! Ty! Czy wiesz, co Jakub o tobie powiedział? Że nie dałby ci Saruczki, gdybyś chciał ją naga i bosą! Powiedział, żeś tyle wart, że nawet na chleb nie potrafisz zarobić. I miał rację. Gdybyś się nieboszczyka ojca słuchał, dziś nie byłbyś tragarzem. Ale ty zawsze wszystko wiesz lepiej. Zawsze byłeś najmądrzejszy. Proszę, słyszałeś, co powiedział Jakub. Idź i sam się z nim układaj. Załatw wszystko w ciągu jednego dnia. Idź, na co czekasz!

W Samuele krew zaczęła się burzyć. Chciał najpierw pójść do rudego Jakuba i rąbnąć mu w oczy, że jest nikim, zerem, bez osłonek wygarnąć, że jest nicponiem i najgorszą pijanicą. Nawet ruszył w stronę rzeźni Jakuba, ponieważ jednak miał nadzieję, że sprawę mimo wszystko jakoś się załatwi, skręcił w inną ulicę.

Przez cały tydzień wyczekiwał, by mu wuj zakomunikował, że rozmowy zostały podjęte. Zamiast tego w gospodzie Czuczka usłyszał, że Jakub wyjechał na wieś i że zatrzyma się tam z tydzień. Samuel był zrozpaczony.

Jakub jednak wrócił ze wsi dzień wcześniej. Kiedy się zjawił w mieście, był w bardzo dobrym humorze. Przypędził całe stado jagniąt i dziewiętnaście dorodnych haranów. Zwierzęta przez całe lato wypasano na Zelen-gorze *, były więc zdrowe i tłuste. A nie zapłacił za nie dużo. Liczył więc, że przyniosą dobry zarobek. Zaraz po powrocie poprosił do siebie zielarza Szymona.

— Niech przyjdzie, ale zaraz! — wołał szorstko, jak to on już potrafił.

Kiedy się zielarz gawił, rudy Jakub nawet nie poprosił starszka, żeby usiadł.

— Słuchajcie, sinior Szymonie! — powiedział zdecydowanym głosem. — Od dwóch miesięcy ciągniecie

te
jów
Dd
ię wo
ak

■
rozmowy z moim ojcem i nic z tego nie wychodzi. Dziś ja zamienię z wami kilka słów, a wy macie się nie odezwać ani jednym. Daję dziesięć dukatów i wyprawę, jakiej się nic będę wstydził. Przyjmujecie to czy nie przyjmujecie? Tak albo nie? Mówcie!

— Besimantow! Na szczęście — powiedział zielarz i wyciągnął dłoń.

4

Tragarz Samuel wyczałował się z wujem. Nie spał prawie przez całą noc. Dziesięć dukatów! Dostanie dziesięć dukatów! Kiedy następnego dnia rano wyszedł na zaułek, miał wrażenie, że dzień jest piękniejszy od wszystkich dni zeszłego lata. Stapał żwawo.

W czarszii sznury przywiązał do kosza zreźniej niż kiedykolwiek przedtem i podsunawszy pod nie plecy ruszył prawie biegiem, jakby nosił pusty kosz. Gdy się wspinał pod górę Banjskim brjegiem, pot lał mu się z czoła i przez brodę ściekał na kocie łby. Sapał (kosz miał wypełniony po wręby, dzień zaś zdarzył się słoneczny, jakby trwało jeszcze lato, a przecież była już jesień), ale mu to nie przeszkadzało. Tego dnia wspinał się na Bjelave, jak gdyby był innym człowiekiem, jak gdyby był silny niczym tragarz Muro. Nigdzie się nie zatrzymywał, żeby odpocząć. Minał „Bijelą czesme”, jakby nigdy nie zdejmował przy niej kosza z ramion.

Kotłujące się w głowie myśli dodawały mu skrzydeł. Pod opuszczonymi gęstymi węsami uśmiechały się jego wielkie żółte zęby, a w piersi wzbierała radość. Żywo rozmawiał sam z sobą i prawie zapominał, że kosz uwiera go w plecy, że zmoczone potem nogawki pętają mu ruchy.

Ten dzień był dla Samuela uroczysty, najpiękniejszy ze wszystkich dni jego życia. Zdawało mu się, że jest jakieś wielkie święto, a on ma na sobie sobotni strój, nie zaś ów stary zatłuszczony fez i obszarpane poplamione spodnie.

Prostował się pod koszem, ile się tylko dało. Serce biło, jakby odlane było ze spiżu. Wszystko wokół niego

dzwoniło: Będzie miał sklepik, własny sklepik! I nie będą już na niego mówić: „tragarz Samuel”, ale: „sklepikarz Samuel”. I nie będzie się już ugiął pod pełnymi koszami ani garbił pod worami, nabitymi kawą i mąką. Dostyc było tej mordegi w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Wystarczy jej za wszystkie czasy. Teraz będzie siedział jak pan w swoim sklepie, będzie klientom ważył cukier, sól, kawę, nalewał naftę i olej, i będzie chodził z ołówkiem zatkniętym za fez, tuż przy uchu, jak sklepikarz Sado, sklepikarz Meno i sklepikarz Juso.

Stapał coraz pewniej i coraz mocniej zaciskał pięści, jakby miał w nich tamte dziesięć dukatów. Otaczające go ze wszystkich stron pogodne myśli przeszkakiwały jedna nad drugą niczym ryby w tarle. Każda lśniła swoją osobną radością.

Otworzy sklep! Sklep z artykułami spożywczymi i warzywami! Wystara się o różne towary. Przed drzwiami na pustych skrzyniach ustawi parę plecionych koszy. Jeden z cebulą, drugi z kartoflami, a trzeci ze suszonymi gruszkami. Tak jak siostrzyczka Sado. Właśnie, jak Sado, który też wystawiał kosze przed sklepem, kiedy dwa lata temu zaczął handlować.

Od rana do wieczora będą przychodzić klienci. I będą kupować i płacić. A o zmierzchu, kiedy zamknie sklep, powybiera z szufladki pieniądze i przeliczywszy je wepchnie do woreczka, który zawiesi sobie na szyi. Potem zarygluje drzwi i powoli ruszy do domu. Samcza tymczasem będzie na niego czekała z kolacją. Wejdzie do domu powoli, bez pośpiechu. Zdjąwszy buty usiądzie wygodnie na minde- rze, wydobędzie pudełko, skręcając zaś papierosa opowie żonie, kto tego dnia u niego kupował, ile w sumie zarobił oraz kto i na ile się zadłużył. Po kolacji się rozbierze, ale nie tak, jak to robi teraz, szybko i na łeb na szyję, nieludzko zmęczony, byle jak najszybciej się położyć, lecz pomału, rozkoszując się każdym ruchem. Będzie zdejmował z siebie jedną rzecz po drugiej, a umościwszy się na duszku i przykrywszy kołdrą — szeroką i długą kołdrą — powie żonie: „No zgaa lampę, połóż się już i ty, jutro pozmywasz te naczynia.”

Tak roił tragarz Samuel i po drodze dawał dzieciom śliwki, jakby były jego.

Kiedy wracał na dół z pustym koszem na plecach, zatrzymywał się przy „Bijelej czesmie”, obmywał się, a potem, usiadłszy wygodnie, skręcał papierosa. Pałac tonął w coraz bardziej ponętnych smaczkach: Zostanie sklepikarzem! Zostanie sklepikarzem i jego ciężkie dotąd życie potoczy się szeroką i prostą drogą. Nie będzie się już włócił z jednego krańca miasta na drugi ani wspinał z czarszii na sam szczyt bjelavskiej mahali. I nie będzie już zimą kuczał przed składami kupca Maira, kupca Eliaszacha i kupca Salamona, czekając, aż przybędą pełne wozy i juczne konie, wreszcie nie będzie zdejmował i dźwigał beli i skrzyń, worów i miechów z winem. Nie będzie się pod nimi uginał aż do ziemi, wnosząc je do składu lub z niego wynosząc i ładując na konie furmanów. Nie będzie w najsurowsze dni zimowe, kiedy zamiecie zamykają drogi i nie ma przejścia przez Ranjen i Vuczje Lukę, szczekał zębami, wystawał przed tym czy innym sklepem, błagając o jakąkolwiek pracę, żeby tylko zarobić na kawałek chleba. Skończą się wszystkie te udreki, będzie spokojnie siedział przy przenośnym piecyku w swoim sklepie, wyciągając ręce do ognia i patrząc, jak z drzewnego węgla wyskakują iskry. Będzie się grzał, jak każdej zimy grzeje się sklepikarz Sado, sklepikarz Mento i sklepikarz Juso.

I będzie zarabiał dziesięć razy więcej, niż teraz zarabia, w ciągu zaś całego roku nie zmęczy się tak, jak się obecnie męczy, kiedy z czarszii wnosi na Bjelave jeden kosz śliwek.

Niech się tragarz Muro morduje z tą robotą! Muro jest silny i potężny jak niedźwiedź. Może się garbić sto lat i nic mu się nie stanie. Tymczasem on, Samuel, już teraz ma daleko posuniętą astmę, a i prawe kolano go boli. Niekiedy w nocy reumatyzm potwornie mu dokucza. Nabawił się go zaś w lodowatym składzie sinior Maira. Ech, ten sinior Mair! Sinior Mair! Krew z niego wysysa. Pozwala, żeby spocony kuczał w kącie, kiedy pod koniec dnia przychodzi po swój ciężko zarobiony mariasz, żeby czekał godzinę i więcej. Od kamiennego muru i kamiennej posadzki bije zimno, a on, Samuel, nie ma na nogach ocieplanych kaloszy jak sinior Mair, nie ma też u kolan przenośnego piecyka, tylko zimno przenika mu kości, 176 podczas gdy sinior Mair spokojnie sobie rachuje, zapelnia rubryki, liczy pieniądze i wypala papierosa za papierosem. Samuel ciężko znosił to czekanie. Ileż to razy chciał się wyprostować i powiedzieć: „Ej, sinior Mairze, chyba dosyć tu sterczę, chyba nie chcecie, żebym za ten mariasz zamarzył na kość.”

Chciał tak powiedzieć, ale czy było mu wolno? Jak by sinior Mair na to zareagował? Uniósłby wzrok sponad swojego zeszytu i tylko rozkazał: „Proszę wyjść! I nigdy mi się już na oczy nie pokazywać! Precz, dziadowskie nasienie!”

Tak by zagrzmiał sinior Mair, a o tym dowiedzieliby się tego samego dnia i sinior Salamon, i sinior Lijaczokan, no i co by się wtedy z nim stało? Nie pozostałoby mu nic innego jak powiesić się na swoim sznurze tragarza. Tylko to mógłby zrobić!

Ale teraz — teraz już sinior Mair nie będzie go tak obrażał, teraz Samuel nie będzie już, kucając w kącie, znosił pańskich fochów. Odtąd wszyscy oni będą z nim rozmawiać inaczej. Będą go prosić, żeby się u nich zaopatrywał w olej, naftę, kawę, cukier, sól. Tak, będą go zapraszać i częstować kawą, tak jak sklepikarza Sada, co on, Samuel, widział na własne oczy. Kawą i tytoniem! To będzie życie — to dopiero będzie życie!

A Saruca też nie jest słabowita jak nieboszczka Rifkula. Jeśli Bóg obdarzy go dziećmi — a obdarzy na pewno — nie będą umierały jak tame Rifkuli, gdy zaś dorosną, z nich także będzie pożytek. Co do innych spraw, to kto go tam wie, jak się ułożą? O sinior Eli-szachu opowiadają, że w Baszczarszii * miał kram, w którym sprzedawał artykuły korzenne i stare fezy. Teraz zaś ma duży skład, cały z ciosanego kamienia, o wielkich, na zielono pomalowanych żelaznych drzwiach, o oknach osłoniętych gęstą żelazną kratą, wyładowany towarami. Widać w nim paki bawełny, bele wojłoku, aksamitu i jedwabiu, tuziny fezów, chust i wszystkich innych najdroższych towarów.

Minęło południe, gdy się spotkał z tragarzem Murem. Obydwaj przykucnąwszy czekali obok pustych skrzyń

w mokrą ulicy niedaleko składu sinior Maira. Każdy już zdążył zjeść na obiad twój somun, do którego włożone były ciępaczki. W narożniku Predimaretu smażył je Czici na rozpalonym łożu na szerokiej patelni i wydawał się przez cały dzień: „Ciępaczka, gorące ciępaczki”

- No, niech ci się szczęści, Samuelu, niech a Nę szczęści! — Muro gratulował mu zaręczyn i żując spory kęs somunu jeszcze pytał: — A czy to prawda, że otrzymasz całe dziesięć dukatów?

— Tak — potwierdził Samuel,

— Aż dziesięć?

— Aż dziesięć,

— Cóż, należy ci się. A co zrobisz z tymi pieniędzmi?

Samuel mu odpowiedział od razu. Przechylił nieco na

bok zatłuszczony fęz, podrapał się w rozchorowaną głowę, oderwał zębami spory kawał somunu i dopiero gdy porządnie przeżuł kęs, powiedział:

— Prawdę mówiąc, sam nie wian, co z nimi zrobię. Ale myślę, że je schowam w skrzyni. Przydadzą się. Człowiek w każdej chwili może się rozchorować. Nie mam rągi?

Muro nic nie odpowiedział. Obiad dokończyli w milczeniu. Zjedli też po garści śliwek. Muro dłonią otarł usta, wąs i brodę. Potem pokiwiał głową i powoli, skręcając papierosa, podjął dalszy ciąg rozmowy.

— Schowasz je w skrzyni na czarną godzinę powiadasz?

— A co innego mogę zrobić?

— Gdybym ja dostał dziesięć dukatów, przekonałbyś się, co można z nimi zrobić. Cóż — westchnął Muro — jeśli mam być szczerzy, ja też razem z moją Beją otrzymałem nawet więcej niż dziesięć dukatów, ale nic, dosłownie nic z nimi nie zrobiłem. Zamknąłem je w skrzyni. A w tej chwili ich nie ma. Głupi byłem. Ale teraz, gdybym miał te pieniądze! Teraz bym wiedział, co z nimi zrobić.

Samuel popatrzył na Mura.

— Proszę, powiedz: co byś teraz zrobił, gdybyś był na moim miejscu?

— Co bym zrobił? Wiem, co bym zrobił. Ale trzeba 17*

mieć łeb, tęgi łeb trzeba mieć, żeby wiedzieć, co zrobić z taką kupą pieniędzy.

Samuel się roześmiał.

— Nie ma strachu. Nie schowam ich w skrzyni. Nigdy w życiu! Ja mam łeb, A jakże! Wian, co z nimi zrobię. Zresztą przekonasz się.

— Ech, kochany Samuelu, ja też myślałem, że mam łeb nie od parady i trochę oleju w nim. Ale go nie miałem.

— Przekonasz się! Wszystko już obmyśliłem — powiedział Samuel dumnie, po czym wstał i poszedł.

5

W owych dniach Samuel wypytywał, niby od niechcienia, po ile jest sól na wory, nafta na bańki oleju na miechy, a cukier na głowy.

Kupiec Binio jednak wy dobył z Samuela tajemnicę.

— Chcecie otworzyć sklep? To dobra myśl. Bardzo dobra! — i poklepałszy tragarza po ramieniu zaczął mu udzielać rad. — Ale uważajcie, sinior Samuelu, w którym punkcie otworzycie. Tutaj, w czarszu, warto, ale tutaj się żaden lokal nie zwalnia. Szukajcie dobrego punktu w którejś z mahal. Trafiają się jeszcze zupełnie możliwe. Na górze, na Banjskim brijegu, Mejtaszu, Bjełayach. Szukajcie, ale oczy miejcie szeroko otwarte. Trzeba znaleźć coś takiego, jak znalazł sinior Sado. Coś w tym rodzaju. Tylko nie zakładajcie znów sklepu byle gdzie. Jeśli coś znajdziecie, proszę nudę o tym zawiadomić, powiem wam, czy punkt jest coś wart, czy nie. Jeśli znajdziecie dobry punkt, otworzę wam kredyt. Dziesięć dukatów na dziesięć w gotówce. Niech się szczęści!

„Coś takiego jak sklepikarz Sado! Jak sklepikarz Sado!” — rozbrzmiewało za Samuelem.

W dalszym ciągu zarzucał na plecy kosze, ale chodził też po mahalach i szukał. Patrzył w prawo, patrzył w lewo, lokalu na sklepik jednak nigdzie nie sędział. W zaułku Tuzji znalazł jakąś dziurę. Kiedyś Judacz miał w niej coś w rodzaju sklepiku, ale interes nie szedł. Zjadł kapitał, zadłużył się, a teraz się biedak, męczy. Każdego

dnia ima się innej roboty. Dziś sprzedaje na ulicy burek, jutro mydło, pojutrze cytryny, a mimo to w piątek musi stanąć przed świątynią i prosić o jałmużnę.

„Mnie taki los nie spotkał Będę miał oczy otwarte, szeroko otwarte!” — myślał Samuel.

Siódmego dnia po zaręczynach zmarkotniał. Niepokoilo go to, że nie może znaleźć odpowiedniego miejsca na sklepik, obawiał się więc, że nigdzie go nie znajdzie.

Około południa przechodził obok kramu zielarskiego wuja. Ten dostrzegł go przez otwarte drzwi, zawołał.

— Co się dzieje? — dziwił się wuj, widząc Samuela mocno zasmuconego. Pomyślał, że może między nim a rudowłosym Jakubem doszło do wymiany zdań. A przecież na ten akurat wieczór obydwaj zostali zaproszeni do domu starego Papucza. Może się coś stało? Zielarz znał Jakuba jako człowieka nieokrzesanego. Może coś Samuelowi powiedział? Po tym ordynusie wszystkiego można się spodziewać. Rudy Jakub, który ciągle jeździł po wsiach, użerał się z chłopami kupując od nich bydło, który nocował po zajazdach z furmanami, woźnicami i rzeźni kami i bez przerwy zadzierał z pastuchami — ten rudy Jakub z roku na rok stawał się bardziej grubiański. Już zresztą jako chłopiec był szorstki, a z czasem zrobił się z niego gwałtownik i złośnik. Był złośliwy niczym zły pies, jak się o nim wyrażał stary Papuczo, jego rodzony ojciec.

Jakub nosił, podobnie jak inni rzeźnicy, bensilach, w którego przegródki wetknięte były trzy duże ostre noże. Zawsze zalatywało od niego surowym mięsem i łojem. W domu wszyscy się go bali, ale też oddawali mu należną cześć, bo przecież to on pracował, zarabiał i utrzymywał całą rodzinę. Stary Papuczo przebywał w sklepie tylko wtedy, kiedy Jakub wyjeżdżał na wieś. Jednakże nawet wówczas zostawał w nim, póki nie sprzedał resztek mięsa, łaju i jelit. Potem zamykał sklep na klucz i szedł do gospody, gdzie całymi dniami grał w domino i karty.

Gdyby nie Jakub, w domu Papucza wszyscy cierpieliby głód. Był bardzo dobrym handlarzem. U niego można było kupić najlepsze mięso i najlepszy łój. Dlatego też i miał najlepszych klientów. Wobec każdego był szorstki, nawet grubiański, ale wystarczyło, by ktoś z klientów go I zapytał, kiedy się żeni, żeby nabrał dobrego humoru. 180

■ — Kiedy się żenię? — powtarzał swoim wiecznie schrypniętym głosem, a następnie udzielał dłuższej odpowiedzi: — Siedem sióstr muszę wydać za mąż, dopiero potem będę mógł myśleć o sobie. Sie-dem! Więc kiedy mam się żenić?! Proszę sobie wyobrazić, każdą trzeba nakarmić i dla każdej coś zaoszczędzić na posag... — mówił obszernie i jednocześnie toporkiem z tłustego baraniego tułowia odrąbywał najlepsze kawałki mięsa i rzucał je na wagę. Klienci odchodzili zadowoleni, w duchu jednak złorzeczyli mu z powodu jego szorstkości i żalowali nieszczęsnej dziewczyny, która będzie musiała wyjść za niego za mąż.

Rudowłosy Jakub miał jeszcze jedną wadę. Parę lat temu pobratał się z pewnym Turkuszem * z Anatolii, wąsatym i o złej sławie moczygębą. Upijając się razem z nim, zachowywał się, że gorzej nie można. Po pijanemu kłócił się, z kim popadło. Nawet z tureckimi zaptijami. A gdy do miasta przybywały tancerki, wykonujące czo- czek, każdego wieczora chodził, aby je oglądać. Nieraz też trafiał do więzienia. (Kiedy cztery lata później Hadzi- -Lojo wzniecił powstanie, rudy Jakub poszedł z nożem w zębach bronić Bośni od „nienawistnych Szwabów” **.)

— Nie pokłóciłeś się z Jakubem? — pytał z troską wuj Szymon, przypominając sobie obelgi rudego Jakuba pod adresem Samuela, które zresztą w gniewie sam mu powtórzył.

— Czemu miałbym się pokłócić? Poza tym na oczy go nie widziałem — powiedział Samuel spokojnie, choć to pytanie dało mu do myślenia.

— W takim razie co ci jest?

— Nic mi nie jest; Boli mnie trochę żołądek. — Żołądek? Akurat dziś cię boli! Dziś, kiedy zostaliśmy zaproszeni do starego Papucza, gdzie trzeba będzie coś niecoś zjeść i wypić? Wstąp zaraz do Czuczka i wypij kieliszek gorzkiej rakii. Dzisiaj żołądek nie może cię boleć. No, ruszaj. A wieczorem wstąp po nas. I nie zapomnij wziąć z sobą latarni.

Samuel, błądząc ulicami, głowił się, dlaczego wuj pytał, czy się przypadkiem nie pokłócił z Jakubem. Ale w żaden sposób nie mógł się domyślić. Wreszcie wszedł do golar- skiego zakładu Isaka. Tu zobaczył sklepikarza Sada.

Siedział na fotelu. Był okryty pstrokatym prześcieradłem, Isak skracał mu włosy. Obcinane kosmyki spadały Sadowi na czoło i twarz, Samuel by go więc nie poznał, gdyby nie rozmawiał z Isakiem.

Z początku nie mógł wychwycić, o czym rozmawiają. Wreszcie doszło do niego, że Sado likwiduje sklepik oraz że na dole, w czarsziii, otwiera wielki' zakład. A więc zwalnia lokal? Czy aby dobrze słyszał?

Nie wierzył własnym uszom. Ale wtedy właśnie sklepikarz powiedział wyraźnie:

— Dosyć tam zarobiłem. Ale to wszystko jest niewiele. Tylko w czarsziii można handlować. Na górze, w mahali, sama drobniaka. Drobni klienci, drobne interesy. W sto dni — dziewięćdziesiąt groszy! Sklepik to sklepik. Co innego duży skład. Zupełnie co innego! Nie mam racji? W sklepie człowiek powinien się przegłądać jak w lustrze.

Samuel nie mógł się powstrzymać, wtrącił się więc do rozmowy:

— Likwidujecie sklepik?

— Czy to można nazwać likwidacją? Zaczynam prawdziwy handel. Han-del! Czy wiecie, sinior Samuele, co to znaczy handel?

Kiedy Samuel wyszedł od fryzjera, był półprzytomny. Co chwila popatrywał na Sahat-Kule*, nie mógł się doczekać, kiedy się ściemni. Ledwie znajdzie się w domu starego Papucza, zacznie rozmowę o swoim zamiarze otwarcia sklepu. Wszyscy zaś, kiedy usłyszą o jego planach, mocno się zdziwią, ale też powiedzą, że to rzecz bardzo rozsądna. A gdy zakomunikuje, że sklepikarz Sado zwalnia lokal i przenosi się do czarsziii, rudy Jakub wstanie i powie: „Samuele, już jutro macie wpłacić zadatek na sklep. Już jutro! Oto pieniądze. Ile wam trzeba? Mówcie!”

Rozmyślając tak, wstąpił do jeszcze jednego sklepu, kupił świecę-i ruszył do domu. Tu najpierw porządnie się umył, potem włożył świąteczne ubranie i wzięwszy latarnię poszedł do wuja.

6

U starego Papucza nawet podwórce czuć było pieczonym mięsem. Gości u drzwi domu witała Simcha.

Uderzając w def inonowała słowa powitania. W pokoju paliły się dwie lampy. Wystarali się gdzieś o długi stół i przybrali kwiatami. Kiedy już wszyscy przyszli, rozpoczęła się uroczystość. Nalewano rakiję, podawano różne potrawy. Wytwarzał się dobry nastrój. W głębi stołu siedział rudy Jakub. On też powoli wysączał kieliszki jak inni. Wkrótce jednak zaczął coraz częściej wyciągać rękę z pustym szkłem.

Nalewać zbyt często takiemu człowiekowi jak Jakub było czymś nierozsądnym. Dlatego kobiety już wcześniej się umówiły, że będą mu skąpić trunków, że będą udawały, iż nie widzą, kiedy będzie się domagałaby mu dolano. Tak też postąpiły. Ledwie Jakub podsunął kieliszek, któraś z kobiet zaczynała żartować, wszyscy więc parskali śmiechem. Śmiał się nawet sam Jakub. Był zresztą w dobrym humorze. Wszystko to jednak nie mogło trwać długo. Jakuba gniewało to, że nie poświęcają mu należytej uwagi. Marszczył czoło, nerwowo lykał ślinę, wreszcie zaczął zgrzytać zębami.

Tego, niestety, nikt nie słyszał. W pokoju było gwarno. Śpiewano, mówiono na cały głos, opowiadano sobie

różne historie. Brzękały też naczynia, skrzypiały ławy i krzesła. Stary Papuczo tak się rozochocił, że raz po raz puszczał oczko do siniory Estery, która kołysała się tam i sam i jak nieprzytomna uderzała w def. Wyciągała też swoim skrzeczącym głosem tony możliwie najwyższe, a mistrz Hajmaczo, jej mąż, blacharz z ulicy Limarskiej, znany wesolek, starał się dostosować swój głos do głosu żony. Jednocześnie machał rękami i jakby był w transie, zamykał oczy.

Sarucza tymczasem siedziała nieruchomo na swoim miejscu. Patrzyła przed siebie i stawała się coraz bardziej błada. Drżała ze strachu, żeby Jakub nie wywołał awantury.

A Samuel, jej narzeczony, siedział uroczyście w swoim sobotnim ubraniu, słuchał rozmów, śpiewał, brał to kawałek kurzego mięsa, to kęs pieczonej jagnięciny, jadł smacznie mlaskając językiem i czekał na dogodną chwilę, żeby zacząć rozmowę o swoim sklepiku. Bez przerwy też się zastanawiał, ile ma zażądać, kiedy Jakub zaproponuje pieniądze na zadatkowanie sklepu. Wahał się. Osiem cwancyk czy też całą białą medzediją.* Pochłonięty tą myślą, chwilami przestawał jeść. Wtedy kobiety się odzywały:

— Czemu nie jecie, Samuelu? — Proszę, nalejcie Samuelowi rakii! Przysuńcie do Samuela półmisek z kurzym mięsem. Samuelu, proszę zagryźć ogórkiem. Doprawdy, nic nie jecie. Nic a nic.

Samuel, wrywany z zamyślenia, znów brał się do jadła.

Sięgnął właśnie po tłustą kurzą szyjkę i zaczął z niej ściągać miękką skórkę ociekającą tłuszczem, gdy rudy Jakub nagle poderwał się ze swojego siedzenia.

— Co się, u diabła, dzieje? — zaczął wołać. — Czyja jeszcze istnieję, czy nie? Tylko się o niego troszczycie. „Samuelu, proszę jeść! Napijcie się, Samuelu! A może skosztujecie tego, Samuelu? A może tego?” A ja? Czy ja

się tu znajduję, czy nie? Postawić przede mną tę rakię! Ja też chcę pić i upić się! Dawać tu rakię!

Okropnie się darł. (Jeszcze tylko Ahmet Anatolczyk, jego pobratymca, potrafił się tak wydzierać.) Był siny na twarzy, trząsł się, Simcha szybko podbiegła z butelką rakii, ale Jakub zdążył wcześniej rąbnąć pięścią w stół. Uderzenie było tak silne, że kieliszki podskoczyły do góry jak spłoszone pisklęta. Zadźwięczały naczynia. Jeden widelec poleciał w stronę siniory Erdoni. Gdyby się kobieta nie pochylała, uderzyłby ją w twarz.

Z płytkiego naczynia, które tkwiło przed Samuelem, z gęstego sosu wyskoczyło kurze skrzydełko i plasnęło Samuela w twarz, a następnie stoczyło się na jego świąteczne ubranie.

Stara Erdonia, przerażona krzykiem i owym widelcem, zaczęła tracić przytomność, stawała się coraz bardziej bezwładna, wreszcie zsunęła się na podłogę.

Papuczo utkwiał w Jakuba sztywny wzrok. Broda starca, podwinięta ku piersi, mocno się trzęsła. Widać było, że w nim też wzbiera burza. Do tego czasu stary Papuczo nigdy się nie pogniewał na syna. Tyąi jednak razem nie mógł się powstrzymać. Podczas gdy inni zajęci byli podnoszeniem siniory Erdoni i gdy Samuel rąbkami rącznika wycierał twarz i ubranie, Papuczo wstał i wyciągnąwszy rękę w stronę drzwi, zawołał:

— Precz stąd, bydlaku! Wynoś się!

Długie kręcone pejsy, które zwisały mu ze skroni, kołysały się jak zwoje zaniepokojonych pijawek.

Wszyscy skamienieli. Obawa, że rudy Jakub sięgnie po nóż zza bensiłachu i zacznie po kolei podrzynać gardła gościom, sprawiła, że wszyscy zastygli w bezruchu, Ale Jakub powiedział spokojnie i posłusznie:

— Dobrze, ojczu. Wychodzę.

Skierował się w stronę drzwi. Otworzył je, zrobił krok do przodu, wtedy jednak, nagle się odwróciwszy, zaczął mówić w skupieniu i cicho:

— Wyrzucacie mnie jak psa. Ale nie szkodzi. Jestem psem. Dlatego wychodzę. Wychodzę, żeby wam nie przeszkadzać. A wy, panie i panowie, jedzcie, pijcie i cieszcie się tak, jak zaczęliście. Ja też się będę cieszył. Poszukam Ahmeta Anatolczyka i upiję się. Wy też się

upijecie. Ale pamiętajcie, że nikt z was nie siedziałby tu, gdzie siedzi, gdybym ja nie miał otwartej kiesy. Nikt! Gdybym nie obiecał dziesięciu dukatów na swoją siostrę, wy także, sinior Samuelu, nie obgryzalibyście tak tych kurzych szyjek i nie napychali brzucha smacznymi jajami, solidnie przyprawionymi pieprzem, który sinior Mair sprowadza z Indii

Hajmaczo zaczął go uspokajać.

— Cisza, dopóki mówię! — wydarł się Jakub. Postąpił do przodu i położywszy rękę na trzonku wystającego z bensiłachu wielkiego noża, ciągnął dalej w sposób bardziej zdecydowany.

— Jeszcze coś wam powiem: Ja, rudy Jakub, mógłbym bez trudu powymyć wam z brzucha mięsiwo, któreście zeżarli, i rakię, którąście wyżłopali. Mógłbym też do tragarza Samuela powiedzieć: Jeżeli wam odpowiada, weźcie Saruczę taką, jaka jest, nagą i bosą, bez żadnej wyprawy, a zamiast dukatów dostaniecie guzik. Tak mógłbym do niego zagadać. Wtedy tragarz Samuel i jego wuj Szymon wstali i poszli sobie, bo oni nie biorą Saruczy, ale moje dziesięć dukatów. Tak, tragarzu Samuelu, nie szarpcie się teraz i me kopcie nogą jak zarżnięty cap. Jest tak, jak mówię. Tak, a nie inaczej. Przez dwa nęoąędaę się targowali o te dukaty, a dziś wieczór ani jednym spojrzaniem nie zaszczylicie Saruczy. Tylko o dukatach myślicie. Tak, o dukatach! A kobiety tańczą wokół was i proszą: „Samuelu, skosztujcie tego, Samudtł, weźcie tamtego. Należcie Samuelowi! Podajcie Samuelowi mięsiwo!” Tfu, jak wam nie wstyd!

Stary Papuczo się poruszył, chciał krzyknąć na syna, ale wtedy rudowłosy, sięgnąwszy ręką do bensiłachu, zawołał:

— Psst! Ojczy, proszę rm nie przeszkadzać. Nikomu nic nie zrobię. Dałem słowo. Chcę go dotrzymać. Oto dukaty. Pięć jest w srebrnych medzedijach, a pięć w napoleonach. — Wydobywszy kiesę zaczął dzwonić pieniędzmi — Proszę, macie dukaty, niech wam nę dusza uspokoi, sinior Samuelu. A ty, Saruczo, biegnij z nim jak ta suka. Ale wiedz, gdyby to było możliwe, wziąłby dukaty, a ciebie by zostawił u twojego i mojego szalonego ojca...

m

Rzucił kiesę na środek stołu.

Wszyscy drgnęli nerwowo, jakby rzucił bombę, która za chwilę wybuchnie i rozszarpie całe towarzystwo.

— Proszę je wziąć, sinior Samuelu, proszę wziąć i pożyczyć sobie? Macie swoje dukaty!

Nikt się nie poruszył. Tylko oczy zebranych biegały to w prawo, to w lewo.

Samuelowi zaschło w gardle. Co ma robić?! Co powiedzieć? Czy ma wziąć pieniądze? Jeśli je weźmie, jutro po mieście będą opowiadać, że rudy Jakub rzucił mu dukaty, jak się psu rzuca kawałek tłustego ścierwa. Jakub zresztą miał ragę. On, Samuel, śnił tylko o tych dukatach. O swoim sklepiku! Gdyby nie dukaty, nigdy by nie pomyślał o Saruczy. Jest tak, jak mówił! I oto teraz te dukaty leżą przed nim, może je wziąć, powinien tylko wyciągnąć rękę. Ale jak ma ją wyciągnąć? Jak? Wszyscy patrzą na niego i czekają, co zrobi. I wszyscy się w duchu pytają: czy je weźmie? Właśnie: czy je weźmie?

— Samuelu! — przerwał milczenie wuj Szymon i powiedział tonem zdecydowanym: — Weź pieniądze i niech uroczystość zaręczyn trwa dalej.

Samuel już, już miał wstać i wziąć kiesę z dukatami, ale nagle poczuł strach, że — jeśli weźmie pieniądze — jedna z owych lamp na ścianie zgaśnie, w dodatku ta, co świeci tak jasno. Wtedy w pokoju zrobi się szaro, wszyscy zamilkną, nikt się nie poruszy z miejsca. Simcha opuści def na podłogę. Sarucza zacznie się krztusić straszliwym płaczem, którym wybuchnie, i po chwili pęknie jej serce.

Samuel wstał i drżąc cały powiedział:

— Simcho, proszę zwrócić Jakubowi kiesę.

— Samuelu! — ostrzegł go wuj Szymon krótko i ostro swoim piskliwym głosem.

Samuelowi krew uderzyła do głowy. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Powtórzył:

— Simcho, proszę zwrócić dukaty. Mnie one niepotrzebne!

— Nie gadaj głupstw! — syknął wuj Szymon. — Weź pieniądze, skoro mówię!

— Nie wezmę! — nagle rozwiązał się Samuelowi język. Wołał: — Nie wezmę, niepotrzebne mi takie pieniądze. Nie biorę Saruczy dla pieniędzy. Będę żył bez nich.

I<7

Wezmę Saruczę nagą i bosą. Poradzę sobie bez jego dukatów.

— ^ Będzie żył bez pieniędzy! Cha, cha, cha! Będzie żył bez moich dukatów! — szczyrzył zęby rudy Jakub.

— Tak, będę żył, będę żył! — obrócił się Samuel ku Jakubowi. — Będę żył! — i wyciągnąwszy się dosięgnął leżącej na stole kiesy i rzucił nią w rudego Jakuba.

Kiesa uderzyła go w pierś i stoczyła się za ben- silach.

— Zwracam wam dukaty! Będę żył bez nich, czerwony kogucie! Czerwona pijaczyno!

— Cha, cha, cha!... — szydził Jakub.

Ktoś dał znak. Simcha uderzyła w def, zatrzęsła brzę- kadłami, a Hajmaczo zaśpiewał. Sinióra Estera wypchnęła Jakuba na dwór.

Samuel, zmęczony, opadł na ławę. Był blady, drżał.

Kiedy się skończył śpiew, wstał stary Papuczo, zdjął z piersi swój długi łańcuch ze srebrnym zegarkiem.

Własnymi rękami zawiesił łańcuch na szyi Samuela, a zegarek wcisnął mu za przepaskę. Nie powiedział przy tym ani słowa. Potem sięgnął po kieliszek i wznosił toast:

— Moi państwo, jesteście świadkami. Bóg zabiera i Bóg daje! Tamten jest moim rodzonym synem, a tego mi Bóg zsyła. Samuelu, le haim!

Samuel też uniósł kieliszek, stuknął się ze starym Pa- puczem, powiedział:

— Niech się ślub odbędzie już w następnym tygodniu. Wyprawy starczy tyle, ile zdołano przygotować. Mnie więcej nie potrzeba. Tragarz Samuel będzie dalej ciężko pracował i jakoś żył.

— Le haim!

— Le haim!

Stary Papuczo i tragarz Samuel wysączyli kieliszki do dna, a następnie objęli się i wycalowali.

Sarucza opuściła głowę na ramię siniory Mirjamy, żony sinior Szymona. Cała się trzęsła. Płakała, widać to było, z jakiejś głębokiej radości. Sinióra Erdonia zdjęła okład, który przyłożyli jej do czoła. Machając "im niby jakimś sztandarem, wydawała radosne okrzyki: „Besimantow! Besimantow! Niech los szczęści, niech los szczęści!"

Uroczystość się przeciągnęła, trwała jeszcze po północy. Kiedy wracali do domu, wuj Szymon chwycił Samuela za ramię i szarpiąc go zaczął mu złorzeczyć:

—| Coś ty najlepszego zrobił, ośle? Aj, aj, aj!

Samuel, machając latarnią, replikował spokojnie:

— Nic nie zrobiłem. Po prostu nic!

— Jak to nic?! — miotał się w udruce drobny staruszek. ■— Dziesięć dukatów, dzie- sięć dukatów! Pięć w srebrze, a pięć w złocie rzuciłeś do wody. Dzie- sięć dukatów, oślaku zatracony! Czy ty myślisz, że się człowiek żeni w życiu dziesięć razy? Co, azno? Mów, ośle! — Szymon potrząsał Samuelem, trzymając go za ramię. — I komu je zwróciłeś, komu!? Jakubowi Kawezonowi, zwykłej pijaczynie! Czyś widział, jak się wydzierał? Mów!

—| Puśćcie mnie! — szarpał się Samuel, usiłując uwol-nić ramię z uścisku wuja.

— Chwileczkę, chwileczkę! Puszczę cię, ale niech wpierym zapytam, niech usłyszę, czy ty wiesz, co ten rudowłosy diabeł robi z tamtymi pieniędzmi? Co z nimi robi jeszcze tej nocy? Czy wiesz? Zeżłopie je razem z Ahmetem Anatolczykiem, zeżłopie i porozdaje czo- czekom.

— Komu? — odwrócił się Samuel.

— Czoczekom!

— Czoczekom? — Samuel zeszywniał.

—■ Tak, czoczekom!

Samuel uniósł latarnię i zdretniały patrzył na wuja Szymona. Drobne oczy staruszka świeciły jak knotki.

— Czemu mi się tak przyglądasz? — pytał. — Czoczekom, tancerkom je rozda. Tak! — syczał gniewnie mały zielarz.

Samuel smutnie zwiesił ramiona i opuściwszy rękę, w której trzymał latarnię, ruszył dalej.

7

Następnego dnia, później niż zazwyczaj, tragarz Samuel schodził ze wzgórza na dół, do czarszii. Miał na sobie stare ubranie, sznur przerzucony przez ramię, a na gło-

wic zatłuszczony fez. Szedł ociężale, Jego kroki rozbrzmiewały echem po zaułku. Był niewyspany, bolała go głowa.

- Co to się wczoraj stało? — przywitał go tragarz Muro.

Samuel nic nie odpowiedział. Spokojnie rozplątywał sznur.

Słyszałem, żeście odrzucili dziesięć dukatów posagu.

Tak, odrzuciłem — powiedział Samuel zdecydowanie i spojrział Murowi w oczy.

Bardzo dobrze, bardzo dobrze! Nic rozsądniejszego nie mogliście zrobić?

— Nie mogłem.

Pewnie, że tak. Miałem rację, kiedy mówiłem, że trzeba mieć łeb, aby wiedzieć, co zrobić z pieniędzmi.

Tęgi łeb!

Tego dnia, wspinając się Banjskim brijegiem, Samuel ciężko sapał. Ocierając z czoła pot przeklinał strome wzniesienie, rozrytą jezdnię z kocimi łbami, dziury w niej, i od czasu do czasu, pochylony pod pełnym koszem, mamrotał: „Na pewno dał je czoczekom, na pewno!” Nie tyle było mu żal, że te dukaty wymknęły mu się / rąk, ile że dostały się czoczekom. Czo-cze-kom!

Samuel raz w życiu widział czoczeki. Widział je przez dziurę po wybitym sęku w ogrodzeniu kawiarni na Bent- baszy Słyszał jednak wiele o tych niezwykłych kobietach i o ich kuszących tańcach.

Tego dnia, gdy sobie to przypominał, ukazała mu się jak żywa gruba saloniczanka Sadigdže, więc się jej przyglądał. Stała na środku lokalu. Przed nią widniał rozpostarty niewielki dywanik. Na nim leżały, poukładane po bokach, srebrne medzedije, na środku zaś żółte napoleony. Sadigdže była bez bluzki. Żółte gałki lśniły na nagich krągłych ramionach, na rękach dźwięczały beicznuki, a palce jarzyły się drogimi kamieniami. Szarawary miała związane grubo poniżej zagłębionego pępka, a piersi opięte jedwabnym biustonoszem. Jej skóra białała. Bez mrugnięcia patrząc swoimi ogromnymi

oczami w rozłożone na dywaniku pieniądze, zaczynała się ruszać. Na wykarminowanych wargach i różowionych policzkach igrał zmysłowy uśmiech; przymykały się powieki o długich rzęsach, ruszały cienkie brwi. Głowę miała odchyłoną do tyłu, a wysunięty brzuch wykonywał koliste ruchy, unosząc się i opuszczając; biodra wyginały się raz do przodu, raz do tyłu, gdy tymczasem ręce kurczowo łapały puste powietrze. Żółte ogromne bryłki bursztynu, nanizane na nić i zawieszane na szyi, uderzały, podskakując, o jedwabne osłony piersi. Spod pach wystawały ciemnożółte kędzierzawe włoski. Duże krople potu spływały po białej skórze.

Na wszystko to Samuel patrzył teraz w myśli, a w dodatku słyszał, jak się rudy Jakub'— rozparty na minderluku — śmieje. Przy nim siedział Ahmet Anatolczyk. Nie odrywał oczu od tańczącej kobiety. Brodę miał zaślinioną, bez przerwy gapił się na pępek Sadigdže i chrząkał jak prosiak.

Przy „Bijelej czesmie" Samuel opuścił kosz, wysunął ręce spomiędzy sznurów i wstrząsnawszy się z jakiegoś potwornego obrzydzenia splunął daleko przed siebie.

- Tfu!

Potem zdjął fez i podsunął głowę pod czesnę. Lodowaty strumień tego dnia orzeźwiał go bardziej niż kiedykolwiek. Zdawało mu się, że czaszka się ściga, że tętno wraca na swoje miejsce,

- Och, och! — pisał z zadowolenia i coraz żywiej rękami pełnymi odcisków tarł głowę, na której wczoraj Isak skrócił mu włosy, — Och, och!

W następnym tygodniu odbył się ślub.

Dług Saruczy

Owego wieczora, kiedy tragarz Samuel sięgnął po rzuconą mu kiesę z dukatami i cisnąwszy nią z powrotem w rudowłosego Jakuba, brata Saruczy, zawołał: „Niepotrzebne mi wasze dukaty, zwracam wam je! Biorę Saruczę bez pieniędzy! Będę żył bez nich!” — otóż owego wieczora zadecydowano, że ślub odbędzie się w niedzielę.

— W przyszłą niedzielę, w przyszłą niedzielę! — wołały z zapałem bliźniaczki Leja i Beja, skacząc z uciechy i klaszcząc w dłonie. Ale następnego dnia, kiedy należało rozpocząć przygotowania do ślubu, bliźniaczki stanęły wobec tylu zajęć, że nie wiedziały, od czego najpierw zacząć. Długo się naradzały, w chwili zaś gdy ich ojciec, stary Papuczo, udając się do miasta przechodził podwórzem, wszczyły lament:

— O, biada nam, biada! Jak sobie poradzimy z takim ogromem pracy w ciągu zaledwie kilku dni? Jak, na miły Bóg? — zaliły się opuszczając na ziemię skrzynię, którą właśnie przenosiły bliżej studni.

To niespodziewane natarcie, którym chciały ojca zmusić, żeby znalazł im kogoś do pomocy, nie zdziwiło Papucza, niemniej nieco się zmieszał; zaczął się szarpać, jakby zaczepił o haczyk.

— Jakżebyście nie miały sobie poradzić!? Nie wstyd wam, do ślubu pozostało jeszcze dziesięć dni! Tyle krzyku narobiłyście, a bez potrzeby. Jaki to ogrom pracy was czeka, chciałbym wiedzieć!

Leja i Beja zawołały jednym głosem: 192

— Jak to jaki? Sto rzeczy musimy zrobić, sto różnych rzeczy!

— Gdybyście miały ich tysiąc, równy tysiąc, wszystkie ładnie zrobicie. Wszyściuteńkie!

— My same? Bez niczyjej pomocy?

— Tak, wy same, wy same! — rzucił Papuczo i trzasnąwszy drzwiami wyszedł na zaułek.

— O, biada nam! Biada, biada! — bliźniaczki biły się w pierś i zamierzały właśnie, poirytowane i urażone, usiąść na skrzyni na środku podwórza i kontynuować swój lament, nie ruszać się z miejsca do sądnego dnia. Ale w owej akurat chwili zobaczyły Saruczę. Stała na progu domu i takim wzrokiem patrzyła przed siebie, jak gdyby już nie należała do tego świata. Bliźniaczki ocknęły się i jakby się nic nie stało, wzięły się do roboty.

Pracowały cały dzień bez wytchnienia. Później zaprzęły do roboty i swoje młodsze siostry. Zresztą i Sarucza im pomagała, jak to już było w jej zwyczaju. Wszystko jednak było kroplą w morzu. Przed nimi piętrzył się bezmiar pracy, a bądź co bądź musiały się z nią uporać w ciągu dziesięciu dni. •pśfa Nigdy nie skończymy, nigdy! — wzdychała Leja.

— Nawet gdybyśmy uświerkły pracując! Nic nam nie pomoże! i — uzupełniała Beja.

Czwartego dnia ogarnęła je prawdziwa rozpacz. Ale właśnie wtedy zjawiły się dwie ciotki, po południu zaś — jakby były umówione — jakieś sąsiadki.

— Przyszłyśmy — mówiły kobiety zdejmując z siebie szale — żeby wam pomóc. Wiemy, że macie pełne ręce roboty.

— Żebyście wiedziały! Potraciliśmy głowy. Prosimy do środka, witamy serdecznie! — pozdrowiały je bliźniaczki, szczęśliwe, rozradowane.

Wkótce potem w podwórzu rozległy się śpiewy. Od tego dnia w domostwie starego Papucza wszystko było w nieustannym ruchu. Kobiety jak nieprzytomne biegały po domu i podwórzu. Zakasawszy rękawy po łokcie i głowy obwiązawszy chustami, jedne wynosiły z pokoju czy kuchni skrzynie, deski i sienniki, inne moczyły coś w mydlinach, a jeszcze inne prały i rozwieszały bieliznę;

te malowały wapnem dom, tamte szorowały wszystko, co było z drewna.

Tja Bulka i tja Beja zakopały się w kuchni i tu, pocąc się przy blaszanych piecykach i piecu, ciężko pracowały. Dorzucały drew do ognia, siekały mięso, miesiły chleb, gotowały potrawy, piekły ciasta i wyglądając raz po raz na podwórze wołały. „Bonaczo, gdzie się podziałaś? Zabrakło nam wody. Pośpiesz się! Przynieś też węgla i drew!”, a Bonacza się odzywała: „Już idę!” — i odstawiając miotłę porywała wiadra i biegła do studni, nieco później zaś przynosiła węgiel i polana. Znajdowała się to tu, to tam. Tak zresztą było i z innymi kobietami, młodszymi i starszymi. Szły śpiesznie lub biegły podwórkiem, wchodziły do domu lub z niego wychodziły, jedne rzeczy wynosząc, a inne wnosząc. W ciągu całego dnia wszystkie znajdowały się w ruchu, były jednak w dobrym humorze i radośnie podniecone. Przecież szykowały dom do ślubu, a ślub jest wydarzeniem, na które tak się cieszyły. Od świtu do nocy też nie przestawały śpiewać.

W niedzieję będzie ślub Sajucy! W niedzieję! — wołała mała Luna, siostra przyrodnia Saruczy, i bosa, z gołą głową, rozczochrana, biegła tam i sam pomiędzy pracującymi kobietami i swoimi starszymi siostrami. - W niedzieję, w niedzieję! -- klaskała w dłonie, ciesząc się.

Z tego, o czym starsi mówili, wiedziała, że w dniu ślubu będzie wesoło, od chwili zaś kiedy posłyszała, że dziewczęta i starsze kobiety przez cały dzień będą Saruczę obsypywały garściami czerwonych i żółtych, zielonych i niebieskich konfektów, ciągle myślała o tym, jak będzie się pchać, zbierać te cukry, napępiać nimi usta, kieszonki, wszystko, co znajdzie się pod ręką.

Zresztą konfektów zamąciły w głowie i innym dzieciom. Coraz to zbijając się w ciasne grupki tylko o nich mówiły. Powtarzały, że są okrągłe i gładkie jak szkło, że bywają we wszystkich kolorach, które Pan Bóg dał, a także drobne jak dojrziałe owoce czarnego bzu i duże jak najdorodniejsze wiśnie. Wyliczały sklepy, w których cukry się sprzedaje, opisywały pudełka, w jakie sklepikarze je pakują, i wiele innych cudów. Gdy się wreszcie nagadały do syta, zaczynały się licytować, które z nich uzbiera

194

najwięcej konfektów, kiedy z głowy i ramion Saruczy poczną spadać na posadzkę. Ja uzbieram dwadzieścia! Phi, dwadzieścia! Ja co najmniej trzydzieści! A ja, ja się wyciągnę na podłozie, zacznę machać obydwoma rękami i uzbieram sto pięćdziesiąt!

— Ja jeszcze więcej. O, tę kieszeń napcham, że się więcej nie zmieści. Do pełna.

A ja ten wojek. Po sam wieśch - wołała mała Luna i jednocześnie z trudem unosiła i pokazywała jakąś pstrokatą, podartą powłoczkę, którą zawsze ciągnęła za sobą. - - Ten wojek! Po sam wieśch!

Ojciec Papuczo też się rozruszał. Nic, tylko chodził po czarszii i zaglądał to do jednego sklepu, to do drugiego. Co chwila albo wracał do domu, albo z niego wychodził. Przynosił lub odnosił gąsiory, koszyki, pakunki, butelki, zawiniątka. Stale też się śpieszył, nie przepuszczał jednak okazji, żeby choć trochę porozmawiać z którąś z kobiet, bodaj przelotnie, na progu domu albo w podwórzu. Za każdym razem opowiedział też jakąś zabawną historyjkę czy jakąś nowinę, przy okazji jedną czy drugą z młódek po sąsiedzku pogładził po ramieniu, a następnie — odprowadzany głośnym chichotem innych kobiet — uciekał na zaułek, trzęsąc się ze śmiechu i jakiejś szalonej uciechy.

Szybko więc mijały dni wśród ozywionych zajęć, w miarę zaś jak zbliżał się dzień ślubu, wszyscy nabierali lepszego humoru i coraz bardziej się zapamiętywali: kobiety i dzieci, dziewczęta i stary Papuczo, Tylko Sarucza coraz bardziej opuszczała głowę — stawała się smutna i zatroskana.

Biedna dziewczyna, przyzwyczajona dę nieszczęść, teraz też poddawała się złym przeczuciom: żyła w ciągłej obawie, że się zdarzy coś, co zakłóci ślub, zniweczy szczęście, o którym tyle śniła. Stale się jej zdawało, że trop w trop postępuje za nią niewidzialny cień i kracze: „Tak, coś się zdarzy i wszystko przepadnie! Przekonasz się!”

Kołały się jej więc w głowie najokropniejsze myśli. Z jednej strony niepokoiła się, że Samuel z powodu historii z dukatami zwróci Papuczowi, jej ojcu, stary zegarek na długim srebrnym łańcuszku, i w ten sposób, niewiele się tłumacząc, zerwie zaręczyny, z drugiej zaś

195

truchlała, że rudy Jakub, jej brat, narazi ich na kolejną kompromitację — zepsuje do reszty to, co już w połowie zepsuł. Albo że się ktoś z najbliższej rodziny, na przykład ojciec Papuczo lub wuj Samuela, zielarz Szymon, rozchoruje, stanie się więc tak, jak się stało wtedy, kiedy rozchorowała się i zmarła jej macocha.

Coraz czarniejsze myśli, jedna za drugą, trapiły Saruczę udreńczając ją do ostateczności. W nocy, szarpiąc się jak ktoś ciężko chory, co chwila wyrywała się ze snu, przerażona i spocona. Przez to, że nie spała, jak również z powodu wszystkich swych trosk i obaw, twarz jej robiła się szczupłą i blada, a sine kręgi wokół oczu stawały się głębsze i ciemniejsze.

— Co się z tobą dzieje? Czemuś tak opuściła głowę? — tja Beja często zagradzała dziewczynie drogę i chwytając ją za ramiona potrzasała nią, a następnie z życzliwością jak matka ją besztala:

— Na miły Bóg, czy ty wiesz, że panna młoda musi cała jaśnieć radością? Jaśnieć jak słońce! Właśnie — jak słońce! Ech, moja droga, gdybyś widziała, jak ja się cieszyłam, kiedy zbliżał się dzień mojego ślubu. Pędziłam po podwórku i domu jak szalona. Śmiałam się, śpiewałam, krzyczałam. I razem ze mną krzyczało wszystko dokoła. Tak, moja Saruczo, niczemu się nie dziw. Wszystkie panny młode są takie. I powinny takie być! Bo coś podobnego zdarza się raz w życiu, tylko raz, moja kochana. A więc ocknij się, rozchmurz to twoje śliczne czoło, żebym mogła ci zaśpiewać piosenkę druhen i żebyś była taka, jak o pannie młodej mówi piosenka. No, Saruczo, moja dobra dziewczyno, już, uśmiechnij się, zacznij się cieszyć i posłuchaj, jak tja Beja będzie śpiewała w dniu twojego ślubu. O, tak, posłuchaj.

Tja Beja się pochylała, chwytając pierwsze z brzegu naczynie i bijąc w nie jak w def zaczynała wywodzić: „O que reumbor de no via ermosa...” * Śpiewała, kołysała się, sama się zachwycała tą wesołą melodią, Sarucza jednak, stojąc nieruchomo, tylko słuchała: wpatrywała się w tja Beję i ledwie poruszając wargami nieznacznie się uśmiechała. Nawet jej uśmiech był cichy i bolesny.

Jeszcze dzień przed ślubem tja Beja spróbowała z oczu Saruczy przepędzić smutek. Ale bezskutecznie. Wracając do domu kobieta z troską kiwała głową i z niepokojem myślała, co się stanie z Samczą. „Tak, tak, coś się z nią stanie. Na pewno. Biedna dziewczyna! Ma takie smutne spojrzenie. Smutne i zrozpaczone.”

Inne kobiety też wyrażały obawy.

Ciemne chmury ciągnęły niebem, kiedy wstał dzień ślubu. Snuła się też mgła. Bliźniaczki zaczęły ńę niepokoić, gdzie się tyle ludzi zmieści, jeśli w czasie uroczystości lunie deszcz. Przed południem jednak nagle się wypogodziło. Nie było wiatru, ale chmury się rozrywały. W wielu miejscach ukazały się najpierw płaty czystego, cudownego nieba, a wkrótce potem zaświeciło słońce, niczym w środku lata. Dzieci poweselały, z hałasem wyległy na zaułki. Dusze wszystkich ogarnęła radość.

Po domu starego Papucza rozbiegły się ciotki. Pośpieszyły do kuchni i tutaj razem z bliźniaczkami zaczęły szykować ucztę. Podgrzewały potrawy, kroiły patyszpa- nie, na talerzyki nakładały konfitury, rozczyniały cukier potrzebny do baldavy, po chwili zaś wpadały do pokoju, aby Saruczy pomóc się ubrać poprawiały jej strój i bez przerwy długo i ciepło ją błogosławiły. Tja Beja ani na chwilę nie odstępowała panny młodej. To zapinała jej lub odpinała serdaczek albo nakładała czapkę, to znów przepasywała ją jedwabną taśmą coraz to prosząc, żeby rozchmurzyła twarz, żeby się wreszcie zaczęła cieszyć.

— No, Saruczo, uśmiechnij się!

Sarucza siedziała w bezruchu i wpatrywała się to w jeden, to w drugi kąt.

— O Boże, Boże, co to będzie z naszą Samczą — nie przestawała się niepokoić tja Beja.

Tymczasem na podwórzu zebrała się już gromada kobiet, dziewcząt, dzieci. Przybywali też mężczyźni. Furtka była szeroko otwarta. Jedni wchodzili, inni wychodzili. U wylotu zaułka czekano na ham SzaJoma. Razem z nim mieli się zjawić wszyscy inni.

Około drugiej po południu zaczęto sobie podawać z ust do ust: „Idą!”

Wśród kobiet się zakotłowało. Szybko ze swoich szali

wyjęły dęfy, zaczęły w nie bić, podwórze rozbrzmiało śpiewem.

Sarucza wstrząsnęła się, podniosła ze skrzyni i wyprostowawszy się zaczęła nasłuchiwać. Stała tak jaką chwilę, ale zaraz potem się zachwiała, jakby miała upaść. Szybko znalazły się przy niej kobiety i przytrzymując ją rękami zaczęły do niej mówić:

— Saruczo, słyszysz, Saruczo! Co ci jest? Słyszysz?

Sarucza nie otwierała oczu.

— Szybko dajcie ocet! — zawołała jedna z kobiet, przestraszona, i zaczęła dziewczynie rozpinąć serdak.

Tja Beja załamując ręce lamentowała:

[g]p Koniec z nią, koniec! O, biada nam, biada!

Wszyscy się stropili. Na pewno powstałoby niemałe zamieszanie i przeniosło się z pokoju na podwórze, gdyby się do Saruczy nie dopchała staruszka tja Hanucza i gdyby się nią nie zajęła.

— Na miły Bóg—staruszka uspokajała kobiety—nie ma powodu do niepokoju. To wszystko z radości. Nic się jej nie stanie. Nic, zaraz się przekonacie.

Tja Hanucza przycisnęła głowę Saruczy do swojego ramienia. W tej chwili z piersi dziewczyny wydobył się przytłumiony, dziwny szloch.

— Wyplacz się, wyplacz, moje dziecko! I o nic się nie martw! — mówiła staruszka pieszczotliwie, po cichu, gładząc ręką głowę dziewczyny. — Ja też płakałam tak W dniu mojego ślubu. Jeszcze jak płakałam! To wszystko z radości. Tak, z radości.

Sarucza wstrząsała się w objęciach staruszki, łkając przytulała się do niej, a kiedy następnie uniosła głowę, kiedy otarła łzy, w jej oczach zabłysła radość. Zaprowadzono ją do okna. Teraz drżała ze szczęścia. Tak, dziś jest dzień jej ślubu. Nic się nie stało, co mogłoby go zniweczyć. Nic. Kobiety przyszły na uroczystość, dziewczęta też, słyhać śpiewy, bicie defów. On także jest tutaj, Samuel, siostrzeniec Samuel, i jej ojciec, Papuczo, i wuj Szymon. Wszyscy, wszyscy są obecni. Słyszała ich, poznawała po głosie, po ruchach. I rudy Jakub, jej brat, się zjawił. Teraz właśnie się odwrócił, patrzy na nią. O, jak pogodny i radosny ma spojrzenie. Jak się uśmiecha. O, Boże, jak się wszyscy uśmiechają!

198

Rzeczywiście na podwórzu panował uroczysty nastrój. Całej gromadzie mężczyzn, kobiet, dzieci i dziewcząt udzielało się uczucie niezwykłej radości, rozochocenia, i wszystko skąpane było we wspaniałym słońcu pięknego jesiennego dnia.

Sarucza patrzyła, słuchała, napawała się muzyką, śpiewami, okrzykami, toteż i do jej serca, niby z jakiegoś ożywczego źródła, wlewała się radość. Policzki pałały jej rumieńcem, serce drgało, całą ją wypełniało jakieś ciepło.

Tak, to jest moje szczęście! Przyszło, przyszło! Nic go nie zakłóciło, nic!—wszystko zdawało się w niej radośnie wolać, serce, dusza, odwracała się więc, szukała kogoś, do kogo mogłaby się przytulić, komu mogłaby powiedzieć po cichu, szeptem, jak dusza mówi do innej duszy: „Tak, przyszło, przyszło. Połóżcie dłoń na moim sercu, a usłyszycie. Usłyszycie, jaka jestem szczęśliwa.”

Wodząc dokoła oczami i wpatrując się w tłum, nagle zauważyła, że uśmiecha się do niej tja Beja. Chciała ruszyć w tamtym kierunku, ale wtedy właśnie jej stroju uczepliły się czyjeś drobne rączki. Spojrzawszy na dół, ujrzała małą Lunę. Szybko się pochyliła, wzięła dziewczynkę w ramiona, twarz wcisnęła pod szyję dziecka i pojedynczymi słowami zaczęła odmawiać swoją ulubioną modlitwę: „O, Panie Boże, niech będzie błogosławione Twoje imię, niech będzie błogosławione po wieki wieków! Amen!”

Tę samą modlitwę szeptała i tja Beja, która patrzyła, jak Sarucza tuli do piersi dziecko.

W pół godziny później ham Szalom kończył obrządek ślubu. Starzec kołysał się uroczyście, unosił kielich i w zapamiętaniu, z zamkniętymi oczami, śpiewał ostatnią pieśń. Kiedy skończył i ten psalm, otworzył szeroko oczy, skierował je ku niebu, jakby miał odmówić końcową modlitwę bez słów, podniósł wino do ust, upił parę łyków, po czym — krótkim ruchem chudej starczej ręki — rzucił kielich w kąt. Szkło rozprysło się w kawałki.

— Besimantow! Niech los szczęści! — powiedział ham Szalom, a po nim rozległo się ze wszystkich stron: — Niech los szczęści! Niech los szczęści!

199

W jednej chwili wszystko się poruszyło. Nagle zrobiło się głośno. Zadrżały defy, posypały się kolorowe cukierki, a dzieci jak oszalałe rzuciły się na podłogę, aby je zbierać.

Oczy Saruczy były pełne łez. Język się jej plątał, słowa więzły w krtani. Kobiety otoczyły ją kołem, zaczęły ścisnąć, mówić miłe słowa: „Kerida Sarucza, niech ci się szczęści!” Dziękując pochylała się, ścisnęła dłoń, podnosiła je do warg i całowała coraz to myśląc, że całuje ręce swojej nieboszczki matki. O, gdyby żyła jej matka i gdyby widziała tę uroczystość! Gdyby wszystko zobaczyła i gdyby potem ona, Sarucza, mogła matkę zaciągnąć do jakiegoś pomieszczenia, zamknąć się z nią na klucz, rzucić się jej na szyję i powiedzieć: „Mamo, mammo, teraz jestem szczęśliwa! Tak, mammo, wiele wycierpiałam, wiele, ale o wszystkim zapomnę. O wszystkim! Już nigdy nie będę smutna ani zatroskana. Od dziś zaczyna się moje nowe życie, lepsze i piękniejsze, od dziś będę inną Samczą — pogodną, w dobrym nastroju. Obejmij mnie, mammo, obejmij, oto przyszło moje szczęście. Wreszcie przyszło! A długo na nie czekałam, kochana mammo, długo.”

Uczta była gwarna. Wznoszono, jeden po drugim, toasty, rozbrzmiewał śpiew, przy głośnym śmiechu żartowano, toczyły się ożywione rozmowy.

Sarucza się uśmiechała, słuchała, patrzyła i patrząc widziała przed sobą jakąś dużą bramę, przybraną zielonymi wiankami, girlandami z kwiatów, ta zaś brama podchodziła coraz bliżej, otwierały się w niej — przy wtórze śpiewów i muzyki — wielkie wierzaje, a ona, Sarucza, wchodziła do dużego ogrodu, pełnego pachnącego kwiecica i zieleni, słońca i cienistego chłodu.

Pochłonięta tymi oszalamiającymi przywidzeniami, ledwie dostrzegła, że tja Beja macha do niej chusteczką, zapraszając ją do tańca. Uniosła się więc powoli, jak to już przystoi pannie młodej, złożyła ukłon przed tja Beją i podnosząc prawą rękę zamachała chusteczką, zaczęła tańczyć.

Wszyscy skierowali wzrok ku niej, zaklaskali w dłonie.

200

Rozległy się śpiewy, słyhać było defy. Samcza się kołysała, obracała, nachylając się i zginając to w jedną, to w drugą stronę, przy czym wszystko robiła z lekkością, bez wysiłku, jakby muśnięciami dotykała posadzki. W jej ręce powiewała, niby żywy motyl, niewielka jedwabna chusteczka.

Tego dnia oczy Samczy były ładne i pełne blasku.

Następnego dnia obudziła się w domu tragarza Samuela. Czowała się dziwnie, nie miała jednak czasu, żeby się zastanawiać, dlaczego tak jest,

W pierwszych tygodniach żyła z dnia na dzień, na fali coraz to nowych doznań, tak że tygodnie te minęły jak we śnie.

Składały jej wizyty znajome kobiety, więc prawie każdego dnia w ich niewielkim pokoju było żywo i wesoło; nie ustawały rozmowy, przeplatane wesołym śmiechem. Rzadko kiedy jedna czy druga kobieta mogła dojść do głosu i powiedzieć: „Zaczekajcie chwilę, teraz po-

I słuchamy naszej Samczy. Niech no nam opowie, jak jej jest, jak się czuje teraz jako kobieta zamężna.”

Za każdym razem, kiedy do Samczy zwracała się z takim pytaniem któraś z kobiet, było jej wyjątkowo przyjemnie. Czerwieniła się z dziwnego wstydu, spuszczać głowę przygotowywała się, żeby powiedzieć, jak bardzo jest szczęśliwa i zadowolona i do jakiego stopnia jest jej dobrze, ale nigdy się jej to nie udawało.

— Dajcie jej spokój — zawsze wtrącała się ta czy inna kobieta — o czym ma mówić. Wystarczy zajrzeć jej w oczy. A nie ma się też czemu dziwić. Przecież musi jej być dobrze. Dopiero co wyszła za mąż! O, kiedy sobie przypomnę moje pierwsze dni! Ej, ej... Czyż nie tak?

— Przestań biadolić, teraz też sobie używasz do woli! — inne kobiety zaczynały krzyczeć, robiąc szelmowskie miny, pokoik więc znowu nappełniał się śmiechem i wesołymi pogwarkami.

Samuel wracał z pracy zaraz po pierwszym zmroku.

Szedł szybko i przychodził do domu pogodny, nigdy zaś z pustymi rękami.

-Patrz, Saruczo! — wołał już w drzwiach. — Patrz!

— O, jakie duże! — dziwiła się i jak uszczęśliwione dziecko wyciągała ręce po jabłka.

Tak minęło sześć tygodni.

Dopiero przy końcu drugiego miesiąca kobiety zaczęły Saruczę rzadziej odwiedzać, powoli więc w jej izdebce nastawał spokój. Z każdym dniem było w niej coraz mniej gwaru, aż wreszcie ustał zupełnie.

„Teraz się zaczyna ciche, spokojne, prawdziwe życie — powiedziała w duchu, kiedy po raz pierwszy poczuła, że jest w domu sama. — Dosyć było hałasów. Teraz się zajmę nawet najdrobniejszymi sprawami domu, żeby w nim było przyjemnie tak jemu, mojemu sinior Samuelowi, jak mnie.”

Z chwilą gdy kończyła powszednie zajęcia, otwierała obydwie skrzynie, wyciągała zawiniątka, rozwiązując je przebierała w nich, wyjmowała podarte sukienki, rozkładała na minderze, na podłodze. Wreszcie wzięwszy nici, igłę i nożyczki, zaczynała cierpliwie wycinać kawałki materiału i przyszywać łąty. Zajmowała się tym do zmierzchu. A u Samuela też, ponieważ w domu długo nie było kobiety, zbierało się sporo podartych rzeczy, postanowiła więc jak najszybciej zrobić z nimi porządek — poprać je, gdzie trzeba wstawić łąty i wszystko jak należy poukładać.

Cieszyła się z tych robót jak z czegoś, co powiększy jej szczęście i do domu wniesie jeszcze więcej radości.

Wśród tych zajęć zastała ją zima.

Sarucza wtedy była najszczęśliwsza. Podczas gdy w piecyku iskrzył się ogień, a na dworze padał gęsty śnieg, siedziała w domu i szyła. W izdebce było cicho. Czasem tylko słyszała odgłos kroków, gdy na piętrze sąsiadka Anula z kuchni przechodziła do pokoju.

Zdarzały się jednak dni, kiedy w całym domu i na podwórzu robił się taki spokój, że Sarucza, siedząc przy swoich szmatkach, mogła usłyszeć bicie własnego serca. Słyszała je wyraźnie, nieraz nawet godzinami słuchała uderzeń cichych, lekkich, w jednakowych odstępach, i nanizywała na nie swoje myśli. Przypominając sobie wszystkie radosne wydarzenia od ślubu do tej chwili, cieszyła się na dni, które miały przyjść. Roiała, że na 202

następne sobotnie święto przygotuje to i tamto (chodziło o jakieś drobne rzeczy) oraz że na wczesnowiosenne święto Pesach po raz pierwszy zrobi w swoim domu wielkie porządki.

Śniła o tym, że na to święto w pokoiku i w kuchni wszystko będzie lśnić czystością i tchnąć ładem oraz że z tej okazji włoży swoją nową sukienkę i pójdzie z wizytą do ojca Papucza, żony zielarza Szymona, do krewnych i ciotek.

Następowały po sobie różne myśli, wszystkie pogodne, dobre, i układały się w cudowny naszyjnik jak perła przy perle.

Pewnego dnia jednak zjawiała się — prawie niespodziewanie — myśl dziwna i ciężka i stanąwszy na drodze Saruczy jak ogromne czarne straszdyło, odjęła jej dech. W izdebce zapanowała jeszcze większa cisza. Jednakże nie było już słyhać spokojnych i tak szczęśliwych uderzeń jej serca. Co więcej, na chwilę — na całą wieczność! — zniknęły, kiedy się zaś znów pojawiły, to już nie były uderzenia spokojne, miarowe, ale raz silne, ciężkie i urywane, od których wstrząsały się jej piersi, to znów drobne i tak szybkie, że prawie jedno na drugie nachodziły. Sarucza poczuła ból w piersi, ostry, przeszywający. Chwyciła się za serce. Zbladła, prawie zeszywniała. Robótki pospadały jej z kolan, spojrzenie przywarło do jakiejś niewielkiej, leżącej na podłodze, zmiętej łątki.

Długo wpatrywała się w nią, kiedy się zaś poruszyła, żeby jej dosięgnąć, wyjąkała po cichu, jakby coś komuś objaśniała: „Oczywiście... no tak... tamte dziesięć dukatów sinior Samuelowi trzeba dać, trzeba koniecznie, bez względu na to, że poirytowany odmówił ich przyjęcia. Przecież stanęła umowa. Trzeba je więc dać, trzeba koniecznie. Jesteśmy to Samuelowi dłużni. Tak, dłużni. Ale kto mu je da? Kto? Rudy Jakub? Jemu przecież przez głowę nie przejdzie, że zostaliśmy dłużni. Nie myśli o tym ani ojciec Papuczo, bo jemu się zdaje, że wystarczy, że dał zegarek na srebrnym łańcuszku. Ale ja wiem, że to nie wystarczy. Na pewno nie wystarczy. Samuelowi trzeba dać dukaty. Dukaty!”

Z trudem się podniosła z miejsca, zaczęła przemierzać pokój. Chodziła z jednego kąta w drugi i jakby szukała

kogoś, z kim mogłaby porozmawiać, odwracała się to w tę, to w tamtą stronę. Wreszcie się zatrzymała, powoli znów siadła przy swoich szmatkach i — jak gdyby się przyznawała do jakiegoś ciężkiego grzechu — westchnęła: „Ach, Boże, Boże, przecież to ja muszę mu je dać. Nikt inny, tylko ja. Ale jak? I skąd?”

Ta dziwna i ciężka myśl odtąd nie opuszczała Saruczy. Na próżno usiłowała ją odegnać jako szaloną i bezsensowną — przecież coraz to nastęrczała się jej od nowa. Nie minęło więc wiele dni, a Saruczka zaczęła się po prostu bać sinior Samuelowi, swojemu mężowi, spojrzeć w oczy. Bała się, że wyczyta z nich wyrzut, iż nie zwraca długu. On czeka, by zwróciła mu tamte dziesięć dukatów, bo to ona jest dłużnikiem, ona, a nie kto inny.

Czuła się bardzo nieszczęśliwa, biła się w piersi. Jak, biedna, zwróci tyle pieniędzy? Chodzi przecież o dziesięć — dzie-sięć dukatów! Skąd ma je wziąć? A zwrócić je musi, bo musi rozchmurzyć czoło Samuela, musi przywrócić spokój swojemu sercu, szczęście swojej duszy, szczęście, które z trudem znalazła, które jednak może teraz znowu stracić, ale tym razem — z całą pewnością — na zawsze.

— O, Panie Boże! — wołała zrozpaczona, podczas gdy serce ścisnęło się jej z bólu.

Samuel w tym czasie rzeczywiście chodził z chmurą na czole. Przygniatała go jakaś troska, z każdym dniem stawał się coraz bardziej zamyślony i milczący.

Saruczka, wchodząc z kuchni do pokoju, często zauważała, że siedzi na minderze, wpatruje się w jakiś punkt przed sobą, ciągle o czymś myśli. Czasem się jej zdawało, że coś mamrocze. Wtedy szybko wracała do kuchni i wstrzymując oddech i przykładając ucho do drzwi, nasłuchiwała. Długo słyszała tylko jakieś dzwonienie w uszach, jakieś szumy, szmery. Po pewnym jednak czasie zaczęło się jej udzielać wrażenie, że z tych szmerów wychwytuje słowa sinior Samuela, jakby — miotane na kogoś — przekleństwa. Tak, Samuel wyraźnie klął jej brata, rudego Jakuba. Złorzeczył mu, nazywał go czerwonym pijaczyskiem, utracjuszem, a potem — odwracając się w drugą stronę — ganił jej ojca, Papucza, i ją, Saruczę. Ganił ich, używając ciężkich, okropnych wy- 204 razów. „No, co?—wydzierał się.—Jak długo jeszcze będę czekał, żebyście mi zwrócili tamte dziesięć dukatów! Co wy sobie wyobrażacie? Dłużniście mi te pieniądze, tak, dłużni, z pewnością! Powiesiliście mi na szyi zegarek na srebrnym łańcuszku i myślicie, że to wystarczy. Nie wystarczy! Żądam dukatów. Tak, du-ka-tów! Kto wziął kobietę bez pieniędzy? Kto, pytam? A jeśli wy, sinior Papuczo, nie chcecie mi ich zwrócić, wtedy musi to zrobić Saruczka. Tak, ona! Właśnie ona! Poczekam jeszcze parę dni, ale nie dłużej. Czekać już czwarty miesiąc. Czwar-ty! Dostyc mam tego czekania.”

Przekonana, że to wszystko mówi Samuel, Saruczka lodowaciała. Mimo to coraz mocniej przyciskała ucho do drzwi pokoju — a nuż usłyszy jeszcze jakieś słowo. Dopiero gdy czuła, że nie może już ustać na nogach, wchodziła do pokoju i usiadłszy w kącie cierpliwie czekała, kiedy sinior Samuel zacznie jej robić wyrzuty.

Ale Samuel się nie ruszał z miejsca. Siedział spokojnie, nie odzywał się, patrzył przed siebie. Saruczka się dziwiła, że milczy tak uporczywie, a zastanawiając się nad wszystkim, ostatecznie dochodziła do wniosku, że w ten sposób wyraża nadzieję, iż ona jutro lub pojutrze podejdzie do niego i wręczy mu należne pieniądze.

„Ale skąd, skąd mam je wziąć i jak mu je mogę dać?” — lamentowała w duchu i męcząc się ciągle łamała sobie głowę, jak dojść do pieniędzy.

Minęło wiele czasu, ostatecznie jednak wymyśliła, co ma robić, i wszystko przewidziała w najdrobniejszych szczegółach. Oto zacznie chodzić do pracy po bogatych domach; będzie trzepała dywany, szorowała podłogi, prała bieliznę, zmywała statki, będzie pomagała w ciężkich, grubych pracach, wszystko zaś, co zarobi, odłoży, A praca się znajdzie. Powinna tylko pochodzić po zamożnych rodzinach, zaproponować swoje usługi. Będzie się trudziła jak niewolnica. Bogate siniory będą z niej zadowolone, będą ją dobrze opłacać, szybko więc uzbiera całe dziesięć dukatów. Nadejdzie więc dzień, kiedy... kiedy...

Siedząc na kupie łachmanów i przyszywając łatę po łacie, Saruczka śniła o swojej pracy w zamożnych domach i o zarobku, który szybko przekształci się w złote, złote

dukaty. Uroiła sobie, że najpierw znalazła robotę u siniory Behary, potem u siniory Bei i u jeszcze paru innych bogatych kobiet. Wszystkie chętnie ją zatrudniają, jedne w piątki, inne w poniedziałki, a jeszcze inne w pozostałe dni tygodnia, każdego więc wieczora zawiązuje po parę pieniążków w swoją chustę, robiąc na niej węzeł. Ten węzeł staje się coraz większy, kiedy zaś urasta do wielkości pięści, ukradkiem biegnie do wekslarza Salomona. Uchyla drzwi kantoru, zbliża się do lady, rozwiąawszy supeł wysypuje pieniążki na blat, prosi za nie dukata. Siniór Salomon wstaje, wkłada okulary, liczy drobnicę, robi równe kupki. Potem z wolna odmyka żelazną skrzynię i dobywa z niej jakieś ciężkie puzdro. Otworzywszy je z klucza i wzięwszy lśniący nowy dukat uważnie wręcza go Saruczy, ona zaś szybko zawiązuje krążek w inną, białą chustę, drżąc przy tym na całym ciele. To przecież pierwszy dukat!

Rojąc tak wstrzymywała oddech.

„O, Panie Boże, niech będzie błogosławione Twoje imię” — szeptała siedząc wśród rozrzuconych szmat i coraz bardziej się pogrążając w swoich nęcących snach.

Marzyła dalej: mija pierwszy tydzień, mija drugi, trzeci, i ona znowu w białą chustę zawiązuje dukata. I tak po kolei, co jakiś czas po jednym krążku. Tym sposobem w jej dłoni znalazł się wreszcie i dziesiąty. Mocno zaciskając palce wraca szybko do domu. Tu ze skrzyni wydobywa białą chustę, rozwiązuje supeł, układa krążki na dłoni, czeka. Czeka, aby jej siniór Samuel wszedł do domu. Ledwie przekroczy próg, stanie przed nim i podając mu dukaty tak do niego przemówi: „Oto macie tamte dziesięć dukatów, któreśmy wam dłużni, siniór Samuelu! Proszę je wziąć i proszę wybaczyć, że musieliście czekać tak długo, proszę wybaczyć!” Siniór Samuel otworzy szeroko oczy, weźmie dukaty, zacznie się w nie wpatrywać, jego usta rozciągną się w uśmiech — w taki uśmiech, jakiego nigdy jeszcze u niego nie widziała — po czym, wzruszony, dobrodusznie i z zadowoleniem powie: „Nie szkodzi, nic nie szkodzi, że czekałem, to nic, moja Saruczo! Nie gniewam się. To nic!” Wreszcie, przekładając dukaty z ręki do ręki, doda: „No, już, już, moja Saruczo! A teraz zjemy ładnie kolację. Podaj to, co Bóg 206

dał, zjemy z apetytem, a potem się położymy. No, pośpiesz się, kochana, pośpiesz się, kerida mia!”

Usiądą więc, zjedzą ze smakiem kolację, w czasie której siniór Samuel wpadnie w ferwor opowiadania. Opowiadając zaś, raz po raz będzie wtrącał ciepłe i miłe słowa: „...wiesz, Sarucza mia, posłuchaj, kerida mia!...” Jej serce będzie biło z radości, znowu więc poczuje się szczęśliwa, jak w czasie dwóch pierwszych miesięcy po ślubie...

Tak Sarucza bujała na skrzydłach wyobraźni, zatracając się w swoich płonnych rojeniach. Opuszczała robotę na podolek, wpatrywała się w czubek igły, przy czym oczy błyszcząły jej ze szczęścia. Kiedy się jednak ocykała z marzeń, dochodziła do wniosku, że wszystko to są nie dające się urzeczywistnić sny. Wtedy, kuląc się na swoim miejscu, cała jakby zapadała się w siebie. Co prawda, jeśli chodzi o pracę i zarobek, to nie wydawało się jej to takie trudne, a jeszcze mniej niemożliwe do wykonania. Nie dlatego więc się załamywała. Istniał po temu inny powód. Chodzi o to, że powinna najmować się do pracy tak, żeby siniór Samuel nic o tym nie wiedział! Bo gdyby się dowiedział, że pracuje i zarabia — każdego wieczora musiałaby mu dawać zarobek. A wtedy nie mogłaby składać pieniążka do pieniążka, nie mogłaby zebrać dziesięciu dukatów w jedną kupkę, aby siniór Samuela — wręczając mu wszystko naraz — ucieszyć tak, jak to sobie w rojeniach wyobrażała. Co więcej, nie tylko że nie mogłaby go ucieszyć, ale gdyby wręczała mu pieniądze na raty, wcale nie byłoby wiadomo, że oddaje dług, nigdy więc radość nie powróciłaby do jej serca. Nigdy! A przecież powinna sprawić, żeby radość — dawna radość — do niej wróciła. Powinna to sprawić za wszelką cenę!

Była zrozpaczona.

— O, Panie mój, powiedz: co mam robić? Co? — wołała błagalnie i jak czyniła zawsze, kiedy zwracała się do Boga, kładła rękę na piersi, przymykała oczy.

Dni Saruczy mijały powoli. Chodziła do sióstr przyrodnych, do ciotek i sąsiadek, aby trochę ulżyć duszy, ale nawet u nich ani na chwilę nie mogła się wyzwolić od swoich trosk. Czowała się zaś najgorzej, kiedy sobie uprzytomniała, że także Pesach, to święto wyzwolenia, wiosny i radości powita wśród swoich męczarni.

Parę razy śniła, że jej brat przyniósł dukaty. Za każdym razem budziła się z radości, potem jednak — przekonawszy się, że to był tylko złudny sen — płakała.

W dalszym ciągu zaś przyglądała się ukradkiem mężowi (weszło jej to już w zwyczaj); zdawało się jej, że z każdym dniem ma bardziej nachmurzone czoło. Spostrzegła też, że od pewnego czasu zatrzymuje się na podwórzu, kiedy wieczorem wraca do domu, oraz że długo kaszle, że dusi go astma; była przekonana, że czyni to umyślnie, jakby chciał w ten sposób powiedzieć: „Posłuchaj, posłuchaj, żono, jak kaszlę, a kaszlę, bo się męczę jak nikt na świecie. Gdybyście mi oddali tamte dziesięć dukatów, miałbym za co kupić na obiad i kolację chleba i sera, nie musiałbym się każdego dnia męczyć wśród tej zimnicy i chlapy, uginać się pod ciężkimi pakami i jeszcze cięższymi worami.” Saruczy serce się ścisnęło.

Pewnego wieczora, kiedy męczył się tak kaszląc, z górnych stopni schodów odezwała się sąsiadka Anula:

— Może wam znieść trochę miodu, sinior Samuelu? — pytała kobiecina.

— Dziękuję, nie trzeba! — odpowiedział Samuel i szybko wszedł do domu.

Sarucza podслуchała tę rozmowę i nawet zauważyła, że Samuel ze zniecierpliwienia machnął ręką. Na drugi dzień zaś sąsiadka Anula wstąpiła do niej i poradziła, żeby kupiła dwadzieścia dramów * miodu i pięć dramów goździków, żeby wszystko to wymieszała, przegotowała i każdego dnia dawała mężowi po łyżce.

— Czy ty nie widzisz, moja kochana, że twój sinior Samuel jest chory, że jest przybity i zatroskany? A zobaczysz, jak popije tej mikstury, to po dziesięciu dniach przestanie kaszleć i na dobre się rozchmurzy — zapewniła sąsiadka nakłaniając ją, żeby zaraz poszła po miód i goździki.

Sarucza głęboko westchnęła. Usiadłszy na minderze, decydowała się. Długo się decydowała. Następnie szybko wstała, wzięła szal i owinąwszy się nim wyszła na ulicę. Wróciła mocno zasapana, nie kupiła jednak ani miodu,

ani goździków. Była u ojca, Papucza. Prosiła, żeby się jej gdzieś wystarał o parę ryb.

— Na co ci teraz ryby? — dziwił się stary Papuczo. — Przecież nie jest święto! — Sarucza jednak nie ustępowała. Ojciec podrapał się za uchem i jakby coś sobie przypomniał, wyjąkał: — Ach, tak... no dobrze, dobrze, dziecko, wystaram ci się o parę brzan. Wracaj do domu i nie martw się.

Rzeczywiście, wystarał się. Sarucza przygotowała dobrą kolację, wykapała się, uczesała, przebrała. Wystroiła się nawet, jakby była sobota czy jakieś święto.

Kiedy się Samuel ukazał w furcie, wyszła mu na spotkanie, odebrała z rąk zawiniątko, z ramion zdjęła mokry worek. Mocno podniecona razem z mężem weszła do domu.

Już w drzwiach poczuł zapach ryb.

— Skąd teraz ryby? — zapytał ucieszony.

— Ojciec Papuczo się wystarał — odpowiedziała pogodnie, kiedy zaś weszli do pokoju, poprosiła, żeby usiadł i odsapnął. Przyniosła buteleczkę, nalała kieliszek rakii.

Przez jakiś czas stała na środku pokoju, wreszcie zdecydowała się przemówić:

— Sinior Samuelu, chcę wam coś powiedzieć. — Jej głos drżał, jednakże pełen był jakiejś pogody, wyczuwało się — właśnie w tym pogodnym tonie — że powie coś, co mężowi sprawi przyjemną niespodziankę.

Samuel spojrzął na Saruczę i dopiero teraz zauważył, że się wykapała i przebrała, że wygląda odświeżenie. Mocno się zmieszał. Coś ciepłego rozlało się po jego przemarzniętym ciele. Widać było, że przeczuwał, co żona powie, jakby od dawna czekał, by mu to zakomunikowała. Wysączył do dna kieliszek rakii i, uśmiechnąwszy się łagodnie, wyjąkał:

— No... proszę, niech usłyszę, co masz mi do powiedzenia. No, mów, Sarucza mia!

Nastawił uszu i jak miał we zwyczaju, podszedł do pieca, aby ogrzać zimne ręce.

Saruczy rumieńce wystąpiły na policzki.

— Zdecydowałam się — powiedziała radośnie — zdecydowałam się, sinior Samuelu, iść szukać pracy po

bogaty domach: trzepać dywany, prać bieliznę, szorować podłogi... Ja także chcę pracować i zarabiać. Ja także chcę przynieść do domu trochę pieniędzy. Chcę wam ulżyć, żebyście się już tak nie męczyci. Wiem, że moja rodzina dłużna wam jest dziesięć dukatów, w ten sposób chcę je oddać. Chcę...

Sarucza miała zamiar wszystko odpowiednio uzasadnić. Miała zamiar już samą tą rozmową wyrównać choćby część nieszczęsnego długu i w ten sposób odegnać straszny koszmar, jaki okropnym ciężarem tak samo przytłaczał i jej, i jego serce. Chciała rozpogodzić swoją i jego duszę, sprawić, żeby radość wróciła do jej domu. Wszystkiego tego pragnęła, ale nie zdążyła się do końca wypowiedzieć. Słowa jej ugodziły Samuela jakby w samo serce. Obróciwszy się gwałtownie obrzucił żonę długim, ostrym spojrzeniem.

Saruczy słowa u więzły w gardle. Na miłość boską, co takiego powiedziała, że sinior Samuel tak się zirytował? Co? Gdy się wysilała, żeby to sobie przypomnieć, uderzył ją jego głos:

— Jakie dukaty? Jesteś chyba nieprzytomna! — tragarz mówił tonem zdecydowanym, ale i z trudem. — Jaki dług? Nikt mi nic nie jest dłużny. Zapamiętaj to sobie. Nikt! I nikt nie powinien za mnie pracować. Nikt! Pracuję i zarabiam. Nawet dosyć zarabiam. I przyniosę do domu wszystko, co jest nam potrzebne. Wszystko! Ty się o nic nie martw. Ja jestem gospodarzem w tym domu. Tak, ja!

Chodził po pokoju tam i z powrotem, wypręzał pierś, a po chwili, odwróciwszy się, zaczął dalej mówić cedząc słowa:

— Tak, ja przyniosę do domu wszystko, co jest nam potrzebne. Ja! Ty się o nic nie martw. Ty musisz się troszczyć o dom i musisz mi urodzić syna. Syna! Niczego innego od ciebie nie żądam. Niczego! Czy mnie zrozumiałeś?!

— Syna?

— Syna!

Sarucza chwyciła się za głowę, przez którą, jak świetlik, przemknęła myśl: „Tak, to już czwarty czy piąty miesiąc,

210
siąc, a moje łono ciągle jest bez błogosławieństwa. O, Panie Boże!”

Samuel tymczasem zdjął przemoknięte buty, rzucił je za piec i usiadł.

— Przynies kolację — powiedział łagodnie i otworzywszy modlitewnik zaczął się kołysać.

Skończyli posiłek wcześniej niż zwykle. Tragarz długo żuł każdy kawałek i kiwał głową. Sarucza też jadła, z trudem jednak połykała kęsy. Więzy gdzieś poniżej krtani, dławily ją.

Tego wieczora w domu tragarza nie padło już ani jedno słowo. Samuel się położył zaraz po kolacji, Sarucza zaś, pozbierawszy naczynia, poszła do kuchni i usiadła na skrzyni

Siedząc tu z rękami na kolanach patrzyła w jeden punkt przed sobą. W głowie miała mętlik. Kotłowały się tysiące myśli, nachodziły jedna na drugą. Czuła się zdruzgotana. Zdawało się jej, że doznałaby ulgi, gdyby wyszła na podwórko i zimno, gdyby natarła czoło śniegiem. Dwa razy próbowała się podźwignąć, ale nie mogła. Nie miała nawet tyle sił, żeby ręce podnieść z kolan.

W bezruchu patrzyła w jakiś pusty garnek. W pewnej chwili zaczęła gasnąć lampa. Płomyczek drgał, wydłużał się, wreszcie oderwał się, zgasł. W kuchni zapanował mrok, przeraźliwa cisza wypełniła ciemną bezkresną przestrzeń.

Sarucza się poruszyła: „Tak, to jest mój dług” — westchnęła boleśnie, po czym z wolna i ostrożnie się wyprostowała. Wysunęła przed siebie ręce, próbowała wymacać drzwi pokoju. Ostrożnie, palcami dotykając przedmiotów i smutno kiwając głową, mówiła: „To właśnie jest mój dług. Przed chwilą sinior Samuel myślał, że mu powiem o tej radości: — No, mów, niech usłyszę, co masz mi do powiedzenia! — jąkał się ze wzruszenia, drżał ze szczęścia. Tymczasem, co ja, grzeszna, mogłam mu powiedzieć? Co? O, Panie Boże!”

Przybita, omdlała, zupełnie bezsilna, otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Do swojego posłania doczołgała się na kolanach, położyła się.

Leżąc długo nie mogła zasnąć. Tej nocy w duszy Sarucy zrodziła się nowa troska: „Panie mój, czy błogosławisz moje łono? Panie, bądź dla mnie miłościwi” — coś w niej mówiło, wargi jednak się nie poruszały. Była zmęczona, bardzo zmęczona, jak wielu z tych, co w życiu walczą o odrobinę szczęścia, a to szczęście coraz bardziej się od nich oddala.

Jak Rafael stawał się człowiekiem

Ulica Limarska (tak nazywał zaułek, przy którym mieściło się kilka warsztatów blacharskich) pociągała go od lat.

Była środa, dobrze to pamięta, gdy się po raz pierwszy na niej znalazł. Zgiełk, który powitał go zaraz na rogu, sprawił, że się zmieszał. Palcami zatkał uszy, zmarszczył czoło. Ale kiedy zobaczył, jak majstrowie drewnianymi młotami biją w blachę, jak zręcznie ją zginają, mą, skręcają i skuwają, i jak już po paru chwilach w swoich czarnych dłoniach obracają gotowe lejki, lampki, kubki, dżezvy, doznał olśnienia. Poczł się lekko, swobodnie. Ruszył od warsztatu do warsztatu. Zaglądał do niejednego z nich, gapił się, promieniał radością.

Zaczynając od owego dnia Rafael ciągle przychodził na Limarską, nie minął więc tydzień, a już znał tu każdy zakątek. Znał wszystkie warsztaty, wszystkich mistrzów i uczniów, wiedział, że blacharz Haim wyrabia rynny, konewki, gary, blacharz Szymson piece, piecyki i rury do nich, a mistrz Macze kaganki, ibriki, dżezvy, wszystko zaś z żółtej, lśniącej jak złoto blachy. Teraz zgiełk ulicy Limarskiej zachwycał go jak najprzyjemniejsza pieśń. Często przymykał oczy i opierając się o pobliski murek, słuchał. Zdawało mu się, że odróżnia poszczególne uderzenia, że już po stukocie poznaje, czym się który blacharz w danej chwili zajmuje.

Kiedy słyszał jakiś nie znany jeszcze dźwięk, zaraz

biegi, aby zobaczyć, jaką lo nową rzecz owego dnia robią majstrowie Szymson czy Maczc.

Podczas gdy inne dzieci urządzały gonitwy po ulicach Bje)av, mały Rafael zachwycał się każdym szczegółem, który zauważał na Limarskiej, i wszystko, co się tu działo, napełniało go rzadką radością.

Polubił tę ulicę jak coś rodzonego, własnego. Ale jego radość zamaćał niepokój, jaki wzbudzał w nim warsztat szewca Binioki.

Rafaelowi się zdawało, że ten warsztat — wciśnięty między dwa zakłady blacharskie, z wiecznie przymkniętymi* tymi drzwiami, z małym oknem zasnutym pajęczyną — skądś uciekł, że schował się tu, aby go nikt nie mógł odnaleźć.

Kiedy pierwszy raz zająrzył przez dziurę w oknie (szkło było wybite), w długim niskim pomieszczeniu z trudnością odróżnił tonące w półmroku przedmioty. Wszystkie zaś robiły żalosne wrażenie: mały okrągły piecyk z na poły oderwanymi drzwiczkami i pogniecionymi rurami z trudem, jak ciężko chory człowiek, trzymał się na cienkich wykrzywionych nóżkach. Na podłodze rozrzucone były stare buty, kawałki skóry, okrawki jabłek, przewrócone korytka; w rogu stały jakieś kubły, w których moczyła się skóra, zelówki, stare kierpce.

Na niewielkiej pace siedział szewc Binioka. Pochylony, przegięty w pól, w skórzanym fartuchu, stukając młotkiem wbijał w but ćwieczki. Przed nim tkwił niski stolik, na którym leżały pudełka z bezlikiem ćwieków, szewskich sztyfcików, drewnianych szpilek — różnego rodzaju cążki, młotki, szydła, noże, rozsypujące się kłębki dratwy, kawałki brudnego woiku, puszki z klejem, z których wystawały powalane drewniane patyki; widniały także kawałki świec, okrawki skóry, drewniane kopyta i inne narzędzia.

Wszędzie panował nieład, wszystko było porozrzucane, poprzesławiane, zakurzone.

Szewc Binioka nie podnosił głowy. Uderzenia jego młotka były tępe. Tępe i bez życia. Od całego zakładu wiało dziwnym smutkiem. Przez wybitą szybę na zewnątrz wydostawała się woń skóry, zbutwiałych butów i śmierdzącego kleju.

214

W taki to sposób Rafael po raz pierwszy zobaczył ten warsztat. Ale i potem wyglądał tak samo. Szewc Binioka siedział niezmiennie na tym samym miejscu, przegięty w pól, bez względu na to, czy stukał młotkiem, kroił skórę lub dratwę pociągał woskiem. Rzadko kiedy podnosił głowę, a jeśli się już zdarzyło, że ją podniósł, Rafael zawsze widział tę samą twarz, te same oczy. Nigdy nie było w nich uśmiechu, nigdy nie ożywiało ich żadne silniejsze poruszenie.

Biedny sinior Binioka! Od rana do nocy siedział na swojej pace, w półmroku, w śmierdzącej duchocie, i ciągle milczał i stukał. Gdyby nie było owego wesołego bicia młotków, cudownego blacharskiego zgiełku, który i do jego zakładu przenikał, szewc by pewnie skamieniał albo zasnął — zasnął na zawsze.

l ak się małemu Rafaelowi ukazywał warsztat szewca Binioki, stale więc sobie przysięgał, że się już nigdy nie zatrzyma przed oknem omotanym siecią pajęczyn i nie popatrzy na tę nędzę i rozpacz. A jednak coś go ku niemu ciągnęło. Dlatego i teraz, kiedy zaczął chodzić do szkoły, prawie każdego wieczora, wracając do domu, przystawał przed szybami zasnutymi pajęczyną i wpatrywał się w warsztat Binioki.

Pewnego zaś dnia, gdy tak zapuszczał wzrok w głąb warsztatu, zapantrywszy się w przekrzywioną półkę z brudnymi i toczonymi przez korniki kopytami, na chwilę stracił zupełnie kontakt z otoczeniem. Wtem otworzyły się gwałtownie drzwi i wychylił się z nich sinior Binioka. Rafael, zmieszany, nie od razu go zauważył, kiedy zaś sinior Binioka zakaszłał — wstrząsnął się, jakby został przyłapanym na złym uczynku.

— Nie bój się — spokojnie powiedział sinior Binioka. — Podejdz bliżej, żeby ci się lepiej przyjrzał. Czy ty przypadkiem nie jesteś Rafael, syn tragarza Samuela? Tak?

Rafael skinął może głową, a może i nie, w każdym razie mocno zdziwiony gapił się na sinior Biniokę.

— Dobry z ciebie chłopiec. Dobry i dzielny. A twojego ojca znam bardzo dobrze — powiedział szewc i wcisnął Rafaelowi w dłoń jakiś drobnik, żeby sobie kupił cukierków.

Rafael nic nie kupił, tego zaś wieczora prawie biegiem wy dostał się na wzniesienie Bjelav. W dodatku przez cały czas się odwracał, jakby ktoś za nim pędził, i mocno pod pachą ścisnął książki. Do domu przyszedł przerażony.

— Co ci jest? — pytała matka.

— Nic. Jestem głodny, więc biegłem.

Kiedy matka dała mu pajdę chleba, usiadł na minderze i otworzył książkę. Żując kęsy, chwilami nawet zbyt gwałtownie, patrzył na litery, ale nie czytał.

Rafael przeczuwał, że stanie się coś strasznego. I stało się. Wszystko zaś spadło na niego szybko i brutalnie.

— Dziś pójdziesz ze mną do czarszii — powiedział ojciec pewnego ranka i wziął go za rękę.

Rafaelowi serce zamarło, mrok padł na oczy. Ścisnąjąc pod pachą książki i postępując obok ojca, ciągle jedną nogą zawadzał o drugą. Ojciec trzymał go za rękę i prowadził. Rafaelowi się jednak zdawało, że to on jego prowadzi. Na skrzyżowaniu obydwaj skręcili w tę samą stronę.

Szli prosto do warsztatu sinior Binioki.

Wszystko załatwiono od ręki. Warunki szybko uzgodniono. Na koniec ojciec, przerzuciwszy przez ramię swój sznur tragarza, podał Rafaelowi rękę do pocałowania, poprosił, żeby był dobry, żeby się słuchał pryncypała, i wyszedł.

Rafael przez cały czas stał w jednym miejscu jak wryty.

— No, Rafaelu — wyrwał go z osłupienia sinior Binioka — zaczynaj z Bożą pomocą. Jesteś dobry chłopiec, na pewno będzie z ciebie człowiek. No, weź miotłę i pozamiataj przed zakładem. Potem pójdziesz do mojego domu, żeby pomóc mojej Sarze. Od dziś będziesz u nas jadł i spał.

Trzy dni mały Rafael oczekiwał, że się stanie cud. Miał nadzieję, że przyjdzie po niego ham Judacze, nauczyciel. Powie sinior Binioco: „Rafael się nadaje do szkoły, a nie do twojego warsztatu, powinien się uczyć na hahama. Tak, sinior Binioka.” Powie to spokojnie, lecz ze stanowczością, a potem weźmie Rafaela za rękę i poprowadzi ze sobą.

216

Czekał mały Rafael, ale nic się nie zdarzyło. Nikt nie przyszedł. Ani pierwszego dnia, ani drugiego. Nawet har- mider na ulicy Limarskiej się nie zmniejszył, nie osłabł, a tym bardziej nie ustał całkowicie, jak się spodziewał.

„Na miły Bóg, dlaczego się nic nie wydarzyło? — dziwił się i tarł oczy, aby się obudzić, bo wtedy jeszcze wierzył, że wszystko, co się z nim dzieje, jest koszmarnym snem. — Na miłość boską, czy to możliwe, że się znajduję w warsztacie sinior Binioki? To nie może być!”

Wreszcie minął i trzeci dzień. Znowu nic nie zaszło. A czwartego dnia z rana siniora Sara, żona szewca Binioki, przywitała Rafaela okropnymi złościami:

— Gdzie się wałęsasz, łazęgo zatracona! Jesteś u nas dopiero czwarty dzień, a już sobie pozwalasz! Teraz się przychodzi? W południe! Zobaczysz, nauczę ja ciebie rozumu!

Rafael wybałuszył oczy. W południe? Na miłość boską, jest dopiero ósma! Co mówi ta kobieta? Może ona nieprzytomna?

— Idź, czemu tu sterczysz, narąb drew, a potem pójdziesz do miasta po węgiel! — siniora Sara jedną ręką potrząsała Rafaelem, a drugą szczypała go w ramię.

Rafael skręcał się z bólu, starał się jednak nie wydawać głosu. Chciał okazać dumę.

Kiedy był sam, toczył ze sobą długie rozmowy, zastanawiał się nad tym, jak się uwolnić.

Co ma robić? W końcu nie znajdując wyjścia, wzruszał ramionami jak ktoś, kto biernie poddaje się losowi. Opuścił głowę i zaczął „uczyć się fachu”. Zamiatął warsztat, rozrabiał klej, czyścił buty, a potem biegł do domu sinior Binioki.

Tutaj zaś o każdej porze dnia czekało na niego sto różnych zajęć.

Wpadał na podwórko spocony i zdyszany. Sapał jak ścigany pies, mimo to pryncypałowa zawsze go łajała, że przychodzi późno, że się wałęsa po zaułkach.

— Przysięgam na życie matki, że przychodzę prosto z warsztatu — pewnego dnia Rafael ośmielił się powiedzieć majstrowej — prosto z warsztatu! Przysięgam!

Bił się w piersi, chcąc w ten sposób przekonać siniorę, że mówi prawdę.

— Milcz, kłamco! Jeszcze masz czelność przysięgać! Zaraz, ja ci pokażę, jak się przysięga — biesiła się, okładając go pięścią po głowie, po plecach, gdzie popadło.

Mijały tygodnie.

W domu majstra Rafael szorował podłogi, rozpalał ogień, rąbał drwa, przynosił wodę; kupował też węgiel drzewny i po sąsiednich obejściach ganiał czarną kurę, co ciągle uciekała z peftiwórka.

Do snu kładł się ostatni, a pierwszy wstawał. Z domu śpieszył do warsztatu, a z warsztatu do domu. Wszędzie czekała na niego robota. Najgorsze jednak było to, że musiał też bawić małą Lunę. A dziewczynka zawsze się złościła, nadaśana i zapłakana. Zaczęła już piąty rok, że się jednak rozwijała powoli, mdźna było odnieść wrażenie, iż skończyła dopiero trzy lata. Miała wzdęty brzuszek, spod którego wystawały cienkie nogi niczym kijki. Chodzić zaczęła dopiero w trzecim roku, ale nawet teraz, mocno blada i chuda, z trudem przebiegała z jednego krańca pokoju do drugiego. Od rana do wieczora nie opuszczał jej zły humor, była wiecznie skrzywiona. Matce targała włosy, Rafaelowi zaś drapała paznokciami twarz i wyrywając się z objęcia kopała go nogami w brzuch.

— Puść mnie! Puść! — nieraz wrzeszczała zawzięcie. Rafael więc często musiał ją opuścić na kocie łby podwórza. Czynił to zawsze ostrożnie, a w obawie, że upadnie, mocno trzymał ją za rączki. Luna jednak wydzieriała się, żeby ją puścić.

Kiedy ją wreszcie — doprowadzony do ostateczności — puszczał, próbowała na środku podwórza, po ostrych kamieniach, sama chodzić, czując jednak, że za chwilę zwali się na ziemię, zaczynała się krzywić, jakby ją pieczono na wolnym ogniu.

Zaraz potem z domu wybiegała siniora Sara i dalej pomstować:

— A bodaj piorun w ciebie trząś! Niech cię satano- tonia | porwie! Znowu ją opuściłeś na te kamienie! Chcesz, żeby mi się dziecko przeziębiło? Żeby mi się rozchorowała? Właż szybko do domu! — krzyczała pryncypałowa.

W domu szczypała Rafaela to w ramię, to w plecy albo przez cienkie ubranko wbijała paznokcie w jego ciało. Nie mógł nie wydać z siebie krzyku. Wrzeszczał jak opętany.

— Milcz! Sąsiedzi pomyślą, że skórę z ciebie zdzieram! — siniora, tłamsząc Rafaela, zatykała mu dłonią zaślinione usta.

W nocy, choć był zmęczony, leżał na swoim posłaniu, w rogu kuchni, bez snu, rojąc o tym, że nie dalej jak jutro pójdzie do matki, przykucnie obok niej, zanurzy głowę w fałdy jej spódnicy, poskarży się. Odsłoni też ramiona i plecy — niech zobaczy siniaki, niech się przekona, co wyczyniają z jej Rafaelem.

Nagle jednak wstrząsał się, odwracał na drugą stronę i zaczynał miotać głową po zatłuszczonej poduszce.

Nie, nie pójdzie! Dlaczego miałby zasmucać matkę, ona przecież i tak i tak nie może mu pomóc.

A ojciec?

Kiedy myślał o ojcu, z piersi wyrywało mu się ciężkie westchnienie.

Długo się przewracał na posłaniu zastanawiając się nad tym, jak się wyrwać z tego miejsca, jak się uwolnić od siniora Sary i smutnego szewskiego warsztatu.

Był piękny dzień. Limarska tonęła w blasku słońca. Wszędzie połyskiwała żółta i biała blacha. Biły młoty, ogłuszający zgiełk niósł się pod niebo. Blacharz Macze stukając śpiewał. Czarny kot mistrza Szymzona leżał przy jeszcze nie wykończonej rynnie przed warsztatem mistrza Haima. Mruczał i rozkosznie się prężył.

Rafael pozamiatał warsztat, przyniósł wody, wyczyścił kilka par butów i zaczął się przygotowywać do pójścia do domu majstra. Wyszedłszy ruszył szybko, nagle jednak zatrzymał się na środku ulicy. W jego oczach igrał odbłask żółtych dżezv, a w uszach ogłuszający harmider zmieniał się w cudowną pieśń. Stukały młotki, dzwoniła blacha. Wszystko jakby kipiało w jarzącym słońcu. Sinior Macze śpiewał. Tego dnia śpiewał jak nigdy. Jego głos wzbijał się w górę, jakby zapowiadał — mający

się zdarzyć na Limarskiej — cud. A swoją drogą ciekawe, co to takiego robi dziś mistrz Macze?

Podszedł do jego warsztatu. Cóż to jest? Jakaś rzadka chanuka? Z błyszczącej blachy? Nie, to nie z blachy! To ze srebra. Ze szczerego srebra! Bożfe, jak lśni! Trudno wytrzymać, aż w oczy razi.

Długo stał przed warsztatem blacharza Maczego, kiedy się zaś ocknął, biegiem ruszył do domu pryncypała. Ledwie ukazał się na podwórzu, siniora Sara wyszła naprzeciw niego, rozzłoszczona.

„Dziś może mnie lajać — myślał Rafael — niech mnie nawet bije, dziś ma za co. Spóźniłem się, jestem winny.”

Siniora rzeczywiście zaczęła go okładać pięściami i pomstować:

— Zobaczysz, łotrze, powiem Biniocce, żeby cię wyrzucił z warsztatu, jeśli tylko jeszcze raz tak zrobisz. Tylko jeszcze raz!

Sypały się uderzenia na głowę Rafaela, ale tym razem jej nie pochyłał. Słowa majstrowej, osadzając się w jego pamięci, mocno w nią zapadały. I każde błyszczało jak drogi kamień. W deszczu spadających ciosów powtarzał te słowa w duchu i rósł ze szczęścia: „Powie sinior Biniocce, żeby mnie wyrzucił z warsztatu, jeśli jeszcze raz zrobię coś podobnego!”

„O, Panie, pomóż! Ukazuje mi się ratunek! — myślał. — Powinienem zrobić coś szkaradnego!” — cieszył się poprawiając fez na głowie i wycierając kąpiącą z nosa krew.

Tego dnia pracował jak opętany. Nigdy lepiej nie wyszorował podłogi, nigdy szybciej nie rozpałił w piecu i nigdy radośniej, jak tego dnia, nie pędził za czarną kurą. Małą Lunę zaś bawił tak pomysłowo, że pokładała się ze śmiechu.

Następne sześć dni spędził na ciągłym zastanawianiu się nad tym, jak przeprowadzić swój zamiar. Powinien tak rozzłościć siniorę, żeby jak szalona pobiegła do sinior Binioki i już w drzwiach zawołała: „Wyrzuć tego łotra z warsztatu, on mnie o zgubę przyprawi!”

Szóstego dnia miał już obmyślony plan działania. Zbliżała się dziesiąta. Siniora robiła porządki w pokoju. Rafael, uważnie nasłuchując, w kuchni zdjął buty. Chodził na palcach. Lunę szybko posadził w kącie. Jedną poduszkę włożył pod nią, a drugą za jej plecy. Przysunął do dziecka skrzynię. Przenośny piecyk z rozżarzonymi węglami postawił w oknie. Ruszał się jak cień, palcem pokazując Lunie, żeby milczała. Dziecko ze zdziwienia śledziło jego tajemnicze ruchy.

„Ci... Ci...” — szeptał Rafael, kładąc na skrzyni pustą tepsiję. Z kieszeni wydobyl parę kamyków i poukładał je na tepsii tak, by wyobrażały oczy, zęby, nos. Zaśmiał się. Mała Luna też. Wtedy zaczął się tyłem cofać do drzwi. Otworzywszy je ostrożnie, po cichu i szybko porwał buty, wyskoczył na podwórko, a stąd bezszelestnie wybiegł na zaułek.

■ Pędził na dół niczym szalenciec. Zatrzymał się dopiero opodal czarszii. Usiadł, włożył buty, odsapnął, a potem ruszył do warsztatu.

„Teraz wszystko jest gotowe. Dzięki ci, Panie” — mówił w duchu zbliżając się do warsztatu. — Zaraz tu przyleci siniora. Przyleci jak obłąkana i zacznie się wydzierać: Wypędź go, wypędź! Czy wiesz, co zrobił? Uciekł! Rzucił i pracę, i małą Lunę! A obok dziecka postawił palący się ogień. I kurę zostawił, wszystko, wszystko!”

Wszedł do warsztatu jak zwykle, spokojnie, po cichu, i od razu zaczął zbierać ścinki skóry leżące na podłodze. Sinior Binioka jednym okiem śledził każdy jego ruch. — Uważaj — mówił pryncypał od czasu do czasu — nie wyrzucaj, czego wyrzucać nie należy. Każdy kawałek może się przydać. Król Salomon powiada: „Słuchaj rad i stosuj się do nich, byś potem był mądry.” Zapamiętaj to, Rafaelu!

Rafael natężył ucho, nie zwracał jednak uwagi na słowa pryncypała, ale czekał, kiedy wśród zgiewki ulicy Limarskiej wychwyci kroki rozwścieczonej sinior Sary. Dzisiaj w zaciśniętych pięściach niesie mu zbawienie. Przyjdzie zaś na pewno, a z jej oczu będą się sypać strzały. Będzie wymachiwała rękami i zlorzeczyła opowiadając mężowi o tym, co „ten diabeł” zrobił. Sinior Bi-

....

iot

nioka jej wysłucha, mocno zdziwiony uniesie głowę, po czym ruszy ku niemu i nic nie mówiąc ruchem ręki wskaże drzwi. A on, Rafael, już na to przygotowany, jednym susem znajdzie się na dworze.

Tak roił i nie przestawał drzeć z podniecenia.

Rzeczywiście siniora przyszła. Była jednak spokojna i cicha. Jakby się w domu nic nie stało! Mówiła o cebuli, ryżu, mydle. To wszystko trzeba kupić. Sinior Binioka odpiął skórzany fartuch i wyszedł z żoną na czarszję. Wrócił sam. Z pełną, zawiązaną w węzeł, chustą. Wszedłszy do warsztatu położył zawiniątko obok siebie, usiadł. „Teraz, teraz nastąpi moje wyzwolenie” — myślał Rafael. Wyzwolenie jednak nie następowało. Sinior Binioka spokojnie sięgnął po but, przymocował go paskiem do kolan i wzięwszy młotek i szydło zabrał się do pracy. Był, jak zwykle, skupiony. Rafael popatrywał na niego kątem oka. Jak to? Czyżby siniora nic mu nie mówiła? Pewnie nie miała odwagi opowiedzieć. Sinior Binioka na pewno by jej poradził: „Nie szczyp go! Bądź dla niego miła. Rafael jest dobrym chłopcem. Wiem o tym lepiej niż ty. Nie okładaj go kulakami. Boli go, kiedy się paznokciami wpijasz w jego ciało. Pogłaszcz go raczej po twarzy, wciśnij mu czasem w dłoń jakiś pieniążek. Niech u Iskacziego kupi sobie madżunu, to zobaczysz, że nigdy już nie zostawi małej Luny samej, jak dzisiaj. Z Rafaela dobry chłopiec, dobry, mówię ci. Przecież odsunął od Luny piecyk! Dlaczego tak zrobił? Żeby nie upadła na rozpaloną blachę. Mówię ci, Saro, Rafael jest dobry. Poduszki też wsunął pod dziecko. Dlaczego? Ano, żeby się nie przeziębila. Dobry z niego chłopiec, dobry!”

Tak Rafael myślał, kiedy popatrywał na pryncypała. Ten tymczasem, bez przerwy postukując, wbijał w skórę drobne drewniane ćwieczki. Robił to spokojnie. Rafael tymczasem przebierał w odpadkach i dalej sam ze sobą rozmawiał: „Biada mi! Przecież sinior Binioka o niczym nie wie! Zresztą skąd ma wiedzieć? Od rana do nocy siedzi tutaj, w półmroku tego zakładu, jak w grobie, postukuje, szyje. Nawet się nie domyśla, że się siniora Sara nade mną znęca. A nie wie też, co się dzisiaj stało. Siniora nic mu nie powiedziała. Poskarży się pewnie w czasie 222

kolacji. Najpierw chce mi sama przyłożyć, a potem głos zabierze sinior Binioka.”

Smutny, rozczarowany, wziął wiadro i ruszył ku czes- mie. Znajdowała się w sąsiedniej ulicy. Gdy doszedł do skrzyżowania, przystanął. A może by tak smyrnąć wiadrem w Limarską, a potem pognać w dół Ciemaluszą*? Ale co by zrobił potem, dokąd miałby pójść? Do domu? Co powiedziałyby ojciec wróciwszy wieczorem z pracy, zmęczony, duszący się kaszlem? Uciekłeś, co? Bije cię siniora Sara? A czemu się nie zachowujesz, jak należy? — zawyrokowałby, wziął go za ucho, uniósł w górę, następnego dnia zaś odesłał z powrotem do warsztatu, do sinior Binioki.

Nalał wody i spokojnie wrócił na ulicę Limarską.

— Podaj no mi to wiadro, niech się napiję! — powiedział pryncypał. — Gorąco dziś.

— Gorąco? — zdziwił się Rafael. — Chyba dziś nie jest gorąco. . (f

— Och, och! — z zadowoleniem przeciągnął sinior Binioka, kiedy się napił. Następnie sięgnął po młotek i wskazał nim zawiniątko: — No, Rafaelu, bierz te rzeczy i zanieś do domu. I słuchaj rad starszych, żebyś stał się mądry! Pośpiesz się!

Rafael wziął węzełek i ruszył do domu pryncypała.

Przed furtką się zatrzymał. Co ma robić? Nie, nie wejdzie do domu. Nigdy w życiu! Wróci do warsztatu, położy węzełek przed pryncypałem, a kiedy ten zapyta, czemu wrócił, powie: „Bije mnie majstrowa, szczypie, boję się przed nią stanąć.” Zawinie rękaw, uniesie nogawkę spodni, pokaże: „Proszę popatrzeć, całutki jestem w siniakach. Mam je na całym ciele.” Wtedy sinior Binioka powie: „Masz rację, że nie chcesz iść do domu. Niech sama zmywa naczynia i szoruje podłogi. Siadaj tu, Rafaelu, i pociągaj dratwę woskiem. Patrz, jak się to robi. Patrz i ucz się!”

Otworzył jednak furtkę, wszedł na podwórze. Zatrzymawszy się przy wejściowych drzwiach, znów zaczął się zastanawiać, co ma robić. Wreszcie zdecydował, że

położy zawiniątko pod drzwiami, zawoła siniore, a ledwie się pokaże, wyskoczy na zaułek i ucieknie.

A więc stanął pod drzwiami, zawołał. Zawołał i drugi raz. Siniora Sara podeszła do okna. Stała za zasłoną, ale się nie odzywała. Rafael czekał. „Chce mnie zwabić do domu, ucapić za rękę i wychłostać, jak to już ona potrafi. Niedoczekanie, siniora, niedoczekanie!”

Czując, że wzbiera w nim jakaś dziwna siła, postanowił zostawić węzełek z rzeczami na środku podwórza. Ale nagle obok niego wyrosła owa czarna kura. O, proszę, unosi głowę i patrzy. Czeka! Jeśli zostawi zawiniątko, kura — zanim wyjdzie pryncypałowa — przebiję chustkę i cały ryż rozsypie po kocich łbach. Co powie sinior Binioka? Nie, sinior Binioki nie wolno mu denerwować, zresztą nie chce tego. Po prostu uchylili drzwi kuchni, poda węzełek, a potem trzaśnie drzwiami i wybiegnie na zaułek.

Podszedł do domu skradającym się krokiem. Ujął klamkę. Powoli, bez pośpiechu. Bał się, żeby siniora nie wybiegła. Serce mu drżało.

W tej samej chwili przez szeroko otwartą furtkę wraz z podmuchem wiatru ktoś wszedł na podwórze. Rafael się odwrócił. Był to sinior Binioka...

Zaraz mocno chwycił Rafaela za ramię i ciągnąc przez kuchnię wepchnął do pokoju. Rafael wyrwał się rozpaczliwie.

— Tutaj, tutaj! Pokażę ci, jak się zostaje człowiekiem! — trząsał się sinior Binioka.

Rafael, przerażony, darł się głośno:

— Sinior Binioka, sinior Binioka!... — chciał coś wyjaśnić, ale było już za późno. Pryncypał usiadł na min-derze, położył Rafaela na kolanach i zaczęła się nauka. Siniora Sara, która trzymała na rękach Lunę, podała mężowi różgę.

Giętka witka ugiwała się na obcisłych portkach chłopca.

— Aj, aj, aaaj! — wył z bólu.

— Czy wiesz, że Luna mogła upaść na piecyk? — powiedział sinior Binioka.

— Bodajbyś sam upadł na głowę i zdechł! — dodała majstrowa.

— Sinior Binioooka! Sinior Bi... — darł się Rafael.

224

— Czy wiesz, że w piecyku palił się ogień jak w piekle?

— Bodaj się sam smażył w ogniu piekielnym! - wtórowała siniora.

— Czy wiesz, że dziecko mogło otworzyć drzwi, upaść na kamienne schody, nogę złamać?

— Bodajbyś sam kark złamał!

— Sinior Binioka! Sinior Binioookaaa! — wydierał się Rafael.

— Czy wiesz, że gołe pośladki dziecka przysunąłeś do ściany, od której bije lodowata wilgoć?

— Bodaj cię lody pochłoneły!

— Czy wiesz... czy wiesz?...

— Aaaj! Aaaj! — kręcił Rafael siedzeniem to w jedną, to w drugą stronę.

Wtedy nagle Luna, mała, blada, złośliwa Luna, głośno zawołała. Wydała przeraźliwy krzyk, od którego ogłuchli i sinior Binioka, i siniora Sara, i Rafael. Wystraszona majstrowa, przycisnąwszy dziecko do łona obiema rękami, wybiegła do kuchni. Sinior Binioka natomiast szarpnął się, jakby się wyrwał ze snu, i pchnął Rafaela na podłogę.

— Tak! — zawołał Binioka i sięgnął po ibrik. W jego gardle zabulgotała woda.

Rafael, leżąc na brzuchu, rękami macał pośladki i krztusił się płaczem.

— Krztuś się, krztuś i wzdychaj! Ale to jeszcze nie wszystko. Jeszcze dostaniesz! Jesz-cze! Wypędzę ja z twojego łba wszystkie diabły i pokażę ci, jak się zostaje człowiekiem. Tak, człowiekiem. Czło-wie-kiem! Sinior Binioka usiadł wygodnie, wydobyl z kieszeni klucz i rzucił go przed Rafaela.

Wódz

1

Topniał śnieg, kiedy gromada chłopców odprowadzała swojego wodza Stanka Radaka do szczytu Jabuki.

Stańko Radak jechał do miasta na naukę fachu rzemieślniczego.

Manojlo Samardzija machał czapką, póki wóz nie schował się za zakrętem drogi i nie zniknął za wzgórzem.

— W przyszłym roku pójde w jego ślady! — powiedział Manojlo ruszywszy przodem gromady. Ale gromadę mądrze zatrzymał Simo Vitez. Oto znalazł na drodze podkowę.

— Przynosi szczęście! — zapewniał kolegów.

Manojlo Samardzija miał orli nos i był uparty. Był też

0 głowę wyższy od pozostałych kolegów. Ale pierwsze skrzypce wśród chłopców, należących do ich czeredy, z pewnością zastrzegł sobie syn piekarza, Simo Vitez.

Piekarz zagniatał ciasto z trzech gatunków mąki

1 sprzedawał rogale i okrągłe chlebki. Simo Vitez przynosił kolegom plecionki obsypane makiem i opowiadał o jakimś swoim dalekim przodku, który był prawdziwym rycerzem *, nosił kołpak i miał konia srokacza jak

Marko Królewicz

Chłopcy żuli kęsy rogali z makiem i słuchali opowieści o pradziadku Sima.

Manojlo skrycie nienawidził Sima Viteza, ale nic mu nie mógł zrobić. Wszystko, na co było go stać, to to, że często odłączał się od gromady i w pojedynkę włóczył się po Gubavicy. Często też przychodziła mu ochota, żeby leżąc gdzieś pod krzakiem rozmawiać z samym sobą.

Błądząc tej wiosny wzdłuż potoku, płynącego opodal kasaby, natrafił na gniazdo kosa. Było w nim czworo piskląt. Rozebrał gniazdo, a nieopierzone ptaszki wziął do domu. Tu z jakiejś skrzyni zrobił dla nich klatkę, do jedzenia zaś dawał im glisty i dojrzałe czereśnie.

- Kiedy podrosną, przekonacie się, jak śpiewają, jak pięknie gwizdzą! — Manojlo dumnie powiedział do kolegów. — Cała chałupa będzie rozbrzmiewała ich gwizdem!

Simo Vitez pisał w swoją świstawkę, chłopcy więc pognali za nim na dół stromym zaułkiem. Ody skręcili za róg, zatrzymał czeredkę i oznajmił poważnym tonem:

- Pozwolę sobie łeb urwać, jeśli Samardziji uda się odchowić choć jednego kosa! Wszystkie pozdychają!

Simo miał rację. Młode kosa rzeczywiście padły. Ale Manojlo tymczasem znalazł inne gniazdo.

„Te nie zdechną — mówił w duchu, wracając do domu. — Już prawie fruwały.”

Zdecydował* że nie będzie pokazywał ich kolegom. Kiedy staną się większe, kiedy same zaczną jeść, wtedy zaprosi chłopców.

Dom Manojla znajdował się poniżej dróżki, która prowadziła na Gubavicę.

Tutaj, za domem, pochował i te biedne kosa. Każdego wieczora po jednym. Ostatniego nie mógł odżalować. Już zaczynał sam jeść. Wyrósł znacznie, piórka stawały się czarne. Manojlo był przekonany, że udało mu się go odchowić. Postanowił w najbliższą niedzielę zaprosić kolegów. Zrobił nawet nową, obszerną klatkę. Ale w sobotę rano tego też znalazł martwego. O mało się nie rozplakał. Zgrzytał zębami. Zakopał kosa pod śliwką, a ziemię starannie udeptał, żeby się nikt niczego nie domyślił.

Następnego dnia była niedziela. Wyszedł z domu

wczesnym rankiem. Obszukał jeden >. dragi brzeg potoku. Doszedł nawet do Gaju Mrkojevkkiego. Wdrapywał się na olchy, dzikie grusze, wiązy. Wszystkie gniazda, które znalazł, były puste. Młode koty już na dobre latały. Wrócił do siebie ze zmarszczonym czołem.

— O której to godzinie się wraca do domu? — przywitał go ojciec przed drzwiami — Gdzieś był przez cały dzień? Nawet dę w cerkwi nie widziano! Wejdz!

Wszedł. Jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Nie wydał z siebie głosu, kiedy pan Mitar parę razy przyłożył mu paskiem.

W poniedziałek wrócił do gromady. Po kilku dniach Simo Vitez zapytał; . — Powiedz, Samard żyja, czy to prawda, że a zdechły jeszcze cztery kosy?

— Kto ci to powiedział?

— Marica.

Marica była siostrą Manojla. Ona prowadziła dom. Każdego dnia w południe uderzała nogą w podłogę i w ten sposób prosiła ojca na górę na obiad. Pan Mitar, strząsając z fartucha wióry i trociny, wołał:

— Słyszę przecież. Nie musisz tak walić.

Z góry, z drewnianego stropu, sypał się kurz i migotał w strumieniu słońca, które przez niewielkie okno skośnie przenikało do ciemnego warsztatu siodlarza.

Tutaj, na dole, gdzie teraz był warsztat, kiedyś porykiwało cielę, gdy chuda krowa pasła ńę na Gubavicy tub w Graboviku. Wtedy jednak żyła jeszcze matka Manojla, a warsztat ojca znajdował się w czarszii

Teraz pod mieszkaniem była pracownia aodlarska. Krowę sprzedali. Zresztą w ich domu wiele się zmieniło. Ojciec pił, ciągle chodził wściekły, a Marica jedwabną tasiemką przewiązywała koniuszki swojego długiego warkocza.

Manojlo wszedł właśnie w trzynasty rok żyda, a gdy wyzdychały mu kosy, odczuł pewien smutek. Po nocach męczyły go koszarne sny. Kiedy w czasie lata pełnego słońca pozostałe dzieci piszczały z uciechy, on chodził osowiały. Ojca teraz bał się bardziej niż kiedykolwiek — drżał ze strachu na sam jego widok. Na Sima Yiteza nie mógł patrzeć, bez kolegów jednak czuł się 228

nieswojo. Ciężko też było mu w pojedynkę chodzić po lesie. A jakby nie dość było wszystkiego, nagle napatoczył się Sinisza, chłopak pana Stevana, aby mu do reszty zatrać życie.

— Czemu ten Sinisza ciągle łązi koło naszego domu? — złościł się Manojlo w rozmowie z siostrą.

Sinisza zaś wziął się i każdego wieczora przychodził do ich zaułka. Sterczał przed warsztatem, opierał się na ogrodowym płocie, jakby był jego, i śpiewał. Od czasu do czasu kamyczkami rzucał w okno. Na parapecie stała doniczka z pachnącą geranijką, spoza której wyglądała Marka.

Manojlo powiedział siostrze, że Si niszy rozbije głowę.

— Zrobił ci co? Dziwny jesteś, doprawdy.

— Niech się tu nie kręci! Powiedz, że mu łeb rozkwaszę.

Na Gubarócy znalazł kamień, duży i okrągły jak głowa Siniszy. Celował w niego przez cały dzień. Do domu wrócił rozpromieniony, świeciły mu zielone oczy. W każdej kieszeni miał po jednym kamieniu. Z okna usunął doniczkę.

Marica udawała, że niczego nie zauważa.

— Wiesz co, Manojlo — mówiła do niego stojąc przed lustrem i upinając na głowie kolorową chustę — Sinisza powiedział, że ci zdradzi sekret łapania kosów. Zdaje się, że chodzi o jakieś listewki. Prosił, żebyś do niego wpadł.

Poszedł do sklepu pana Stevana. Słuchał Siniszy z otwartymi ustami Sinisza zaś długo i szczegółowo wyjaśniał, jak się łapie ptaki

Manojlo otworzył też szeroko oczy, nie mógł się nadziwić: Na te listewki? I w ten sposób? Czy to możliwe?

Pobiegł do domu. Nagle poczuł w nogach nowe siły. Dobrze zapamiętał, jak rozrabia się lep, jak się go gotuje, a także to, jak nurza się w nim listewki i od razu zabrał ńę do dzieła. Kiedy z zielonej mazi wydobyl pierwszą listewkę i przytknął do włosów, a następnie szarpnął, prawie że wyrwał sobie promyk włosów. Z bólu łzy napłynęły mu do oczu, serce jednak radośnie zabiło w piersi.

„Teraz Simo Vi tez zobaczy!” — myślał.

Przez cały tydzień chował się przed kolegami. Jeśli

oni szli do Popowcego Dola, on udawał się do Grabovika. W krzakach porozstawiał — na kształt poprzeczek między gałęziami — owe listewki, a na ciernie posadzał kawałki wątróbki.

Całymi dniami leżał w paproci albo za jakimś pnem. Czekał rozgorączkowany i zniecierpliwiony. Jeśli coś zaszeleściło w gałęziach, trząsał się z podniecenia. Z trudem doczekał się dnia, kiedy się pojawił jeden kos. Prawie nie wierzył własnym oczom. Czy to aby kos? Na pewno? Tak! Proszę, jest czarny jak węgiel. Sfrunął na ziemię, uniósł ogon, éwierknął. Biega po polance. Zatrzymał się przy krzaku, o, grzebie w poszyciu!

Manojło patrzył, schowany wśród paproci, a serce mu łomotało. Wstrzymując oddech powoli unosił się na rękach, bo właśnie w krzaku, koło którego kręcił się kos, były cztery listewki. Spodziewał się, że kos zapędzi się w krzak i na którąś z nich natrafi.

Długo czekał drżąc z przejęcia. Krew uderzała mu do głowy. O, zdaje się, że zwałchał mięso! Teraz! Teraz stanie się cud! Manojłowi serce podchodziło do krtani, cud jednak nie chciał się zdarzyć. Albo w ostatniej chwili przelatujący wystraszony gołąb i wstrząsał powietrzem, kos więc się pochyłał i jak szczur zniknął w ciemniaku, albo też jaszczurka zaszeleściła pod samym głogiem, i wtedy kos, oderwawszy się od polanki, odlatywał w stronę potoku. Zawsze coś krzyżowało plany Manojła, a później kos — jakby chciał mu zrobić na złość — gwizdem odzywał się znad potoku lub z wierchołka któregoś dębu.

Jaki dziwny jest gwizd kosa! Jak błysk, jak radosny okrzyk!

Manojło słuchał i niecierpliwiąc się przenosił listewki z jednego krzaka na drugi.

Wieczorami siadywał powyżej swojego domu i patrzył w niebieskawy dym zawisający nad kasabą. Roił, że jutro uśmiechnie się do niego szczęście, że jutro złapie kosa. Na pewno. A gdy pokaże go kolegom, wszyscy ze zdziwienia szeroko otworzą usta. Wtedy pobiegnie z nimi do lasu, wskaże miejsce, gdzie go złapał, i opowie szczegółowo, jak się wszystko odbyło, wieczorem zaś, kiedy wrócą do miasteczka, zaprowadzi ich do swojego domu 230

i stanąwszy przed nimi zawoła: „Cisza! Słuchajcie, co wam powiem: Jutro się wszyscy wybieramy na Gubawicę, żeby szukać glist dla kosa.” — ^ „Hura!” — zawołają chłopcy, on zaś natychmiast powie: „Zaraz po śniadaniu macie się stawić tutaj, przed moim domem. Słyszeliście, co powiedziałem? A teraz idźcie do siebie. Ale: raz — dwa, raz — dwa! Tam na dole, za rogiem, kiedy gwizdkiem dam znak, macie się rozejść jak na komendę biegiem marsz. Ty, Mile, z dłoni skręć trąbę i zagraj. Zrozumiane? Od-ma-sze-ro-wać! Raz — dwa, raz — dwa!”

Tak przemówi, koledzy zaś ruszą, będą głośno stąpać, tuman kurzu się wzniesie, a Mile będzie trąbił: Trata-rata-rata-ra, tra-ta-rata-ral On sam będzie stał przed domem, a kiedy chłopcy znikną za rogiem, uniesie świstawkę, powoli przyłoży ją do ust, zagwizdże. Koledzy, usłyszawszy znak, rzucą się do przodu jak opętani. Cały zaulek będzie rozbrzmiewał okrzykami. Vladimir i Aron mieszkają na końcu kasaby. Oni będą biec aż do swoich domów, niosąc w uszach gwizd jego świstawki. Wreszcie jeszcze raz zagwizdże, ale mocniej, zwróci nawet głowę ku niebu, żeby dźwięk pomknął do gwiazd.

Tak roił Manojło Samardżija. Wyobrażał sobie, jak jutro złapie kosa, czarnego kosa, jak wydobędzie z kieszeni świstawkę i pierwszy raz w nią zagwizdże.

Siedział na kamieniu do późnej nocy. A noce tego lata były pogodne i ciepłe. Robaczki świętojańskie migają wśród sadów śliwkowych, jakby się mrokiem niosły małe latarenki.

Ciekawe, co zrobi Simo Vitez, kiedy to wszystko zobaczy i usłyszy? Co zrobi? A co ma robić? Jeśli tylko powie słowo, dzieli go pięścią w nos. I będzie po wszystkim.

Manojło, czując jakąś dziwną siłę w rękach, co chwila wstawał i wpatrywał się w noc.

Pewnego ranka kos wreszcie stanął na listewkę. Manojłowi nogi zdrętwiały. Ptak się szamotoł. Kiedy uniósł jedną łapkę, listewka poszła w górę razem z nią. Zatrzepotał skrzydłami, a potem zaczął się miotać jak oszalały. Piszczął, szarpał się, jakby się dostał w paję-

czynny. Gdy mocniej zamachał skrzydełkami, i druga listewka przykleiła się do upierzenia. Teraz rzucał się jak zarżnięty kurczak. Szamotał się rozpaczliwie.

Przez ten czas Manojło przebijał się przez kolczaste krzaki. Jakaś gałązka zadrapała go w czoło, w rękę wraził się cień. Kos otwierał dziób, skrzeczał, drżał. Serce jego biło szybko i gorączkowo, tak jak Manojła.

Ptak uszczypnął go w palec, ale on tego jakby nie odczuł. Chwycił go mocno i odkleivszy listewki pobiegł do domu. Tu wstawił kosa do klatki.

Ten nie zdechnie! Ten zjada żywe glisty. Sam, nie trzeba go karmić, na siłę roztwierać mu dzioba.

Miał ochotę krzyżeć, obwieszzać: Mile, Jovica, Aro- nie, złapałem kosa! Kosa! Żywego! Dużego! Ale chłopcy jeszcze nie wrócili z Mojkoviciów na obiad.

Powywracał wszystkie płyty w ogrodzie. Pudełko od zapalek napelnił mięsistymi glistami.

Po obiedzie zebrał w miasteczku kolegów i zaprowadził ich do siebie, aby pokazać im cud. - Kłamiesz! — powiedział Simo Vitez.

— Ty kłamiesz!

Manojło popatrzył na Sima z pogardą, a potem, odwróciwszy się do chłopców, powiedział zdecydowanym tonem:

— Ruszajcie za mną!

Poszli. Ostatni włókł się Simo Vitez. Kiedy Manojło wyniósł klatkę przed dom, wszyscy przycupnęli w półkole.

— Zaczekajcie, aż zdejmę te gałązki. Położyłem je, żeby myślał, że jest w lesie.

Przez cienkie drewniane pręty chłopcy zobaczyli ptaka. Simo zrobił się błądy.

W klatce skakał dorosły kos, czarny jak węgiel. Dziobek miał czerwono-żółty. Był mocno wystraszony, to wysuwał dziób między prętami, to znów jak oszalały przeskakiwał z jednej poprzeczki na drugą. Upierzenie miał jak odlane ze lśniącej masy, a ruchy żywe i silne. Niekiedy, czepiając się łapkami poprzeczki, uderzał w nią rozłożonymi skrzydłami.

Podczas gdy chłopcy patrzyli przez pręty, Manojło otworzył drzwiczki, po łokieć wsunął rękę do klatki, zaczął łapać ptaka. Ten się bronił, żeby się nie dostać do strasznej dłoni, która rozwierała się przed nim jak wielkie szpony, rozpaczliwie więc uderzał skrzydłami. Z klatki wylatywały drobne puszyste piórka. Chłopcy byli przejęci, odczuwali niepokój słysząc trzepot skrzydeł i ptasi pisk. Zdawało się im, że kos wzywa pomocy.

Ptak ciężko oddychał, a kiedy Manojło wyciągnął go z klatki, pod samym dziobem coś zabiło.

— To samiec, samiec! — pokazywał kosa i głaszcząc go po głowie jedną ręką, drugą podsuwał go kolegom, żeby oni też dotknęli. Ptak był przerażony, schylając główkę smętnie nasuwał na oczy cienką błonę.

Manojło nie wytrzymał, zaczął więc opowiadać, jak go złapał. Opowiadał ze szczegółami. Jego oczy lśniły. Chłopcy, rozsiadłszy się dokoła, słuchali z rozpalonymi policzkami. Manojło czuł się szczęśliwy. Kiedy zaczął opowiadać, jak się kos miotał w krzakach głogu, Simo Vitez mu przerwał:

— Czemu tyle gadasz! Ten tak samo zdechnie jak tamte pisklęta.

Manojło wstrząsnął się.

— Prędzej ty kojfniesz niż on, słyszałeś!

Chłopcy się poruszyli. Kos też się szarpnął w dłoni

Manojła. Wydłużył szyjkę, wiercił się.

Simo wstał i uśmiechnąwszy się powiedział do kolegów:

— Kiedy zdechnie, wiecie, co zrobimy? Słuchajcie, kiedy zdechnie... — Simo zaczął się śmiać.

Manojło przyglądał mu się, wściekły. Chłopcy ustawili uszu.

— Co, kiedy... — Manojło urwał zdanie. Słowo uwięzło mu w gardle.

— Cha, cha, cha! — zachichotał Simo. — Widzieliście, boi się dokończyć zdania, powiedziec: „kiedy zdechnie"! Kiedy zdechnie, urządzimy mu prawdziwy, najprawdziwszy pogrzeb, ot co! Trumnę też skądś wytrzaśniemy, a zamiast krzyża damy Aronowi gałąź głogu, żeby niósł. Będziemy śpiewać smutne pieśni. Zakopimy go obok cmentarza, pod rosnącą tam brzozą. Wyprawimy też

stypę u Tanego w szopie na beczki. Napijemy się rakii. Ja przyniosę słonych bułeczek.

Manojło się zmieszał. Ogarnął go strach, by mu kos rzeczywiście nie zdechł.

— A dlaczego miałby zdechnąć? Czy ci co zrobił? — powiedział z bólem i wstał.

— Co mi zrobił? Nic mi nie zrobił, ale zdechnie. Mówię ci, zdechnie. W twoim domu nie może żyć.

— Zamknij się! Ty zdechniesz! — wyprostował się Manojło, twarz mu się nawet wypogodziła.

— Cha, cha, cha! Jakby był jego bratem albo kolegą — drwił Simo.

— Lubię go bardziej, niż gdyby był moim bratem.

— Lubisz go, a zamknąłeś go w tym kurniku. Nie żal ci go — mówił Vitez. — Wypuść go, człowieku, to obraza boska! Ptak też ma duszę. Może ma pisklęta.

— Słyszeliście go! Mądryś, nie ma co! Ptaki teraz mają młode? O tej porze roku, kiedy się kukurydza kłosi! — zwrócił się Manojło do kolegów. Chłopcy jeden po drugim wstali.

— Wszystko jedno! Szkoda stworzenia. Wypuść go. Pozwól mnie, ja go wypuszczę. Niech leci do gaju, niech tam śpiewa — wołał Simo.

— Zamknij się! Powiedziałem, żebyś się zamknął i więcej nie gadał!

Simo przyłożył do ust gwizdawkę, cicho pisał, zupełnie cicho, i spojrzął po chłopcach. Stali niezdecydowani.

— Marko, a ty byś go wypuścił? Powiedz, wypuściłbyś go? — pytał Manojło.

Marko lekkim ruchem głowy dał znak, że nie uczyniłby tego.

— Ty też byś tego nie zrobił, Damjanie? Damjan milczał.

— Ja bym nie wypuścił — odezwał się chudy Aron, który zamyślony siedział tuż przy klatce. — Za nic bym go nie wypuścił! — powiedział i podnosząc się zaczął trzepać siedzenie swoich spodni pełnych łat.

W tej samej chwili kos zaczął szarpnąć się w dłoni Manojła. Chłopcy, zdziwieni, podeszli bliżej. — Już teraz śpiewa, a co dopiero będzie, kiedy przy-

234
wyknie do tego miejsca. Będzie gwizdał przez calutki dzień. Dom cały będzie rozbrzmiewał. A ja, kiedy słyszę kosa, czuję w nozdrzach zapach mchu, pokrytego rosą, i mokrą leszczynę.

Wziął w ręce kosa i zaczął go gładzić brodą. Ptak jednak coraz bardziej się szamotoł w jego dłoniach.

— A ty dokąd? Dokąd się wyrwasz? — Manojło mówił pieszczotliwie. — Tutaj też będziesz miał dobrze. Jutro wszyscy pójdziemy szukać glist, zobaczysz, na- pchasz te swoje woła jak nigdy. Wszyscy chłopcy będą o ciebie dbać. I Mile, i Rajko, i Danilo, i Damjan, wszyscy.

— Jeśli do jutra nie zdechnie! — rzucił Simo Vitez, cicho, bez złości, po trosze zatroskany.

— Wiem, chciałbyś, żeby zdechł! Ale tak się nie stanie, bądź spokojny! Niedoczekanie twoje! Będę się nim opiekował — odpowiedział Manojło i zemocjonowany uniósł kosa na wysokość swojego policzka, a następnie pochylił się w tę stronę. Pieścił ptaka głową, w oczach zaś ze wzruszenia zabłyśły mu łzy.

— Gdybyście wiedzieli, jakie ma ciepłe upierzenie — powiedział Manojło z rozculeniem — i jak...

W tej samej chwili ptak silnie wysunął szyjkę i wszyscy chłopcy zobaczyli, jak biednego Manojła dziobnął w lśniące półprzymknięte oko. Kilka kropel skrwawionej wody ściekło po jego twarzy. Chłopcom mróz przeszedł po kościach. Mały Marko gwałtownie się skurczył, zacisnął oczy, wstrząsnął się. Manojło jednak ani się nie skulił, ani nie wypuścił ptaka. Tylko coś wymamrotał, a następnie, zgrzytając zębami i mocno zaciskając powieki, namacał klatkę i wepchnął do niej kosa. Dopiero kiedy zamknął drzwiczki, zaczął wrzeszczeć jak opętany.

Przerażeni chłopcy rzucili się przed siebie i przeskakując ogrodzenie szybko opuścili podwórze Samardżiji. Schowani jednak w pobliskich krzakach ukradkiem patrzyli przez dziury po sękach, chcąc zobaczyć, co się stanie.

Usłyszawszy krzyk, z warsztatu wybiegł ojciec Manojła, siodlarz Mitar, z toporkiem w ręce.

— Co ci jest? Zbił cię kto?

Rzucił topór na ziemię, chwycił Manojła za ramiona. — Mów, co ci jest?

— Kos mnie dziobnął w oko. O, biada mi! Boli mnie, strasznie piecze, uuuu!

Pan Mitar odpinał pas. i jednocześnie pchał Manojla w stronę domu. Zaraz potem rozległ się nieludzki wrzask.

Tymczasem Simo Vitez przesadził płot, podbiegł do klatki i otworzywszy drzwiczki parę razy zaklaskał w dłonie. Po chwili znów się znalazł z powrotem po drugiej stronie ogrodzenia. Chłopcom serca mocno biły. Z zapałem tchem patrzyli na klatkę, która jakby tańczyła przed ich oczami. Wydawało się im, że minęła cała wieczność, zanim przed klatką pojawiło się coś czarnego i zanim to coś najpierw się pochyliło, a następnie, niczym strzała, śmignęło ponad ich głowami w stronę sadu śliwkowego. Jednocześnie z domu wyszedł pan Mitar. Klął siarczyście, złorzeczył. Kiedy się znalazł przy klatce, pchnął ją nogą. Potem przykucnął i sięgnąwszy po toporek zamachnął się. Od jednego uderzenia skrzynia rozleciała się w drzazgi.

Udręczeni chłopcy opuścili głowy w trawę. Nagle poczuli się tak, jakby ciężki kamień spadł im z serca. Nicco później Simo wcisnął świstawkę do ust, zagwizdał.

—> Do sadu! — wołał. — Do sadu, będziemy zrywać chlebki świętojańskie!

Przed wieczorem dzieci zebrały się na dole, przy potoku, aby czekać na Manojlowego kosa. Simo Vitez powiedział, że kos przyleci na wielką suchą gruszę w śliwniku Hadzii.

— Przyjdzie, mówię wam, i będzie gwizdał! — twierdził Simo.

Chłopcy siedząc pod wierzbami czekali, przyczajeni i uciszeni, podczas gdy Vitez opowiadał o tym, jak się kos teraz cieszy.

Wieczór był tajemniczy. Wysoko w niebie przelatywały stada wron, krakanie ich rozbrzmiewało w ciszy letniego wieczora.

Mile pierwszy usłyszał kosa.

— Psst! Słyszę go! Psst! — zaszeptał i stulił dłoń przy uchu.

Jeszcze niektórzy inni chłopcy usłyszeli, nieco później zaś kos sfrunął na gruszę. Na szczycie sterczała jedna gałązka. Ptak usiadł właśnie na niej. Siedział jakiś czas 236 niertachonio, gwizdząc. Potem się poruszył, unosił ogon, rozczapierzył go i zakołysawszy się szybko zleciał w krzaki opodal ogrodzenia.

Kiedy z krzaka znów rozległ się gwizd, Simo Vitez powiedział, że to nie jest kos Manojla.

— Naszego poznamy po radosnym gwizdaniu. Zobaczycie!

Chłopcy czekali spokojnie, zaciekawieni. Kiedy odezwał się ptak, który miał mocny głos, Simo się ożywił: — Ci..., ci... —| dawał kolegom znak, żeby się nie ruszali, i jednocześnie, unosząc się na palcach, patrzył przez gałęzie. Na gruszy gwizdał kos, ale nie było go widać. Chłopcy, nachyliwszy głowy w tamtą stronę, słuchali, podczas gdy ostry gwizd unosił się ponad gęstymi koronami śliw jak rozfalowana, długa jedwabna nić.

— Ten jest Samardziji! — przytłumionym głosem powtarzał Simo Vitez i coraz to obracając głowę w stronę gruszy, nasłuchiwał.

Chłopcy wstrzymywali oddech. Wokół nich, w wierzbach i krzakach nadwodnych jak widma zbierały się mroczne cienie. Groza nocy wkradała się bezszelestnie w dusze chłopców: wchodziła do ich wnętrza i wraz z ciszą śliwników, gwizdem kosów i szumem wody w potoku zapadała na dno młodych serc.

„Psst!” — powtarzali chłopcy, bojąc się, by któryś z nich nie naruszył tajemnicy tego wieczornego spokoju. Każdemu serce mocno biło, dostawali gęsiej skórki, oczy im się śmiały, a zimny oddech wiatru wnikał do piersi. W gałęziach brzęczał chrząszcz, liście szeleściły. Milczały też góry, które wznosiły się dokoła. Poza ich obrębem rodziło się spokojne, szerokie światło.

Kiedy srebrny odbłask padł na wodę, dzieci się podniosły. Tym razem Simo nie zagwizdał. Wszyscy po cichu ruszyli za nim dróżką obok potoku. Nikt nic nie mówił, oczy wszystkich pełne były srebrzystych lśnień.

Tego wieczora chłopcy wchodzili do swoich zaułków i rozchodzili się do domów spokojnie, odzywając się do siebie tylko szepem.

Każdego dnia rano i wieczorem Marica prowadziła swojego brata do Savety, żony Szliva.

Aron, nie mogąc się temu nadziwić, pobiegł do kolegów:

— Słuchajcie, żona Szliva karmi piersią oko Samar- dziji, w które dziobnął go kos!

Simo Vitez się roześmiał:

— Piersią karmi oko Manojła! Cha, cha, cha!

Tego dnia pod wieczór chłopcy towarzyszyli Manojłowi w drodze do Savety.

Kobieta siedziała w środku podwórka na dywaniku. Obierała właśnie kartofle. Na podółku między rękami zręcznie umieściła dziecko, które ssało pierś. Spod krótkiej koszuliny, z przodu brudnej i zaślinionej, wystawała cała dolna część ciała. Widać było pępek, duży jak dorodny orzeszek laskowy. Dziecko, ssąc pierś, bez przerwy wywijało nożynami, kopało matkę w łono. Pulchne udka ocierały się jedno o drugie.

Chłopcy cieszyli się, bez mrugnięcia patrzyli na malca, który mlaskając szarpał pierś i wbijał w nią swoje drobne paluszki.

Tymczasem Saveta nogą bujała niską kołyskę, w której popłakiwało drugie dziecko. Aron podszedł do kołyski i uniósł rąbek jakiejś szmatki. Teraz chłopcy, osłupiali, wpatrzyli się w młodsze dziecko.

— A dlaczego ten tak wygląda? — zapytał któryś z chłopców.

— Skąd ja wiem — odpowiedziała Saveta. W dalszym ciągu obierała kartofle i kładła na dużą tepsiję. — Nie chce piersi. Jakby była zatruta. Podajemy mu łyżeczką kozie mleko, ale i to zwraca. Manojło, podejdź no bliżej.

Saveta oderwała dziecko od piersi i przestawiła tepsiję na drugą stronę. Manojło podszedł, ukląkł przed kobietą i podsunąwszy głowę, otworzył powieki. Saveta wystawiła drugą pierś i ująwszy ją palcami zaczęła z niej cedzić mleko. Chłopcy podeszli tuż, tuż i patrzyli, jak cienkie strużki, niczym białe igielki, z czubka podłużnej ciemnej piersi strzykają prosto w oko ich kolegi i jak potem — spływając z pustego oczodołu po policzku 238

i przez mocno zaciśnięte wargi — z jego brody kapią na podółek Savety.

Przez cały ten czas dziecko leżące w kołysce kwiliło.

— Bujajcie je, coście rozdziawili gęby, jakbyście na jakie dziwo patrzyli!

Chłopcy wyszli z podwórka przed Manojłem. Kiedy stromym zaułkiem schodzili na dół, Simo Vitez zawyrokował:

— Koniec z jego okiem. Ko-niec!

— Wygląda jak ugotowane ślepie ryby, kiedy się z niego wyjmie źrenicę — dorzucił Mladen.

— Przez czterdzieści dni musi przychodzić do Savety, żeby mu się oko rozjaśniło — wyjaśnił Aron.

Rzeczywiście, tak powiedziała Saveta, ale Manojło

o wiele wcześniej przestał do niej chodzić.

A oto dlaczego: Kiedy pana Mitara odszedł gniew, chwycił syna za ramię, przyciągnął do siebie i przymrużywszy oko wpatrzył mu się w twarz:

— Na miły Bóg, co się stało, na miły Bóg! Dlaczego ci zbiełało? Nieszczęsny, będziesz na jedno oko ślepy!

— powiedział ojciec, przerażony. Wziął syna za ucho, przyciągnął do Okna.

— Widzisz, coś zrobił, bydlaku zatracony! — gniewał się coraz bardziej pan Mitar. Manojło milcząc zaciskał pięści, zgrzytał zębami.

Przy oknie ojciec wrzasnął:

— Popatrz no tu! Zakryj zdrowe oko i powiedz, czy widzisz coś na to drugie! Mów!

— Nic nie widzę — wycedził Manojło przez zęby

1 zmarszczył czoło.

— Co? Nie widzisz? — wołał ojciec.

— Nie widzę — odpowiedział Manojło.

— Nie widzisz? Nie widzisz?—zaglądał ojciec w twarz syna. — I co teraz będzie? Co?

Manojło opuścił głowę. Ojciec niespodziewanie wymierzył mu siarczysty policzek. Manojło ledwie utrzymał się na nogach.

Kiedy pan Mitar wyszedł, Manojło został sam. Stał na środku pokoju i jakby ojciec ciągle był obecny, zaczął się drzeć.

— Nie pójdę już do Savety, żebyś wiedział, choćbym zawsze miał być ślepy. Nie pójdę!

— O, Boże miłosierny, co ty mówisz, Manojlo — wbiegła do pokoju Marica z rękami pełnymi ciasta.— Jak to, nie pójdziesz?

— Nie pójdę! Przysięgam na martwą matkę!

Rzeczywiście, już nie poszedł. Kiedy go chłopcy zapytali czemu tam nie chodzi, powiedział:

— Obrzydło mi jej mleko. Widzieliście przecież: ciągle doiła lewą pierś. Nigdy drugiej. A mleko z lewej było zatrute.

— Jak to? — dziwili się koledzy.

— Zatrute, mówię wam. Dlatego oko zaczęło mi usychać. Zmarniało niczym tamto jej dziecko, które zrobiło się jak zdechły kot. Kiedy wstrzykiwała mi mleko, czasem krople dostawały się do nosa i wtedy czułem, że są kwaśne jak zepsuta maślanka.

— A czemuś jej nie powiedział, żeby ci wstrzyknęła z drugiej piersi? — zapytał Simo Vitez. — Ja bym tak zrobił.

— Ja też! Ja też! — podjęli inni chłopcy.

Manojlo podniósł się z ziemi, spojrzął po wszystkich.

— Myślicie, żeby mi pomogło, gdyby strzyknęła z drugiej piersi? Naprawdę nie wiecie, czego mojemu oku brakuje?

Chłopcy z zaciekawieniem patrzyli na Manojla. Ten przykucnął i jakby chciał powierzyć im jakiś sekret, powiedział:

— Mnie kos wypił cały sok z oka i już mi nic nie pomoże! Wypił, rozumiecie! Słyszałem, jak siorbnał. Przez cały dzień nie dawałem mu wody. Zapomniałem. Był, biedak, spragniony. No i dobrze, że się napił. Nie żałuję. A najmilsze jest mi to, że uciekł, nim ojciec roztrzaskał klatkę. Mój ojciec jest taki, że mógł go żywego zgnieść pod prętami i deszczułkami.

Dzieci opowiedziały Manojlowi, jak kosa uratowano.

— Czy możecie przysiąc na Boga, że tak było? No, to daj grabę, Simo!

Simo podszedł. Manojlo uściśnął mu dłoń, ale się pochylił i zajrzał w oczy.

— Właśnie ty go wypuściłeś? Żeby nie zdechł? Tak? —

240

Manojlo się nieco odsunął, a potem powtórzył: — Naprawdę? Ale przecież nie wiedziałeś, co ma zamiar zrobić mój ojciec? Nie tak było? Simo nic nie odpowiedział.

— Nie wiedziałeś, proszę! Ale, wszystko jedno. Nie gniewam się. Ani na kosa. Przebaczam mu! Widzę na jedno oko tak, jakbym miał i drugie.

Trochę się zamyślił. Chłopcy patrzyli na niego.

— Tak, widzę dobrze. Chodźcie, będziemy celować w tamtą najwyższą bańkę na słupie telegraficznym. No! Zobaczymy, kto w nią trafi tak jak ja, od pierwszego razu.

Manojlo się schylił, sięgnął po kamień, spojrzął po chłopcach.

— Patrzcie dobrze!

Zamachnął się i cisnął. Bańka się rozprysła. Druty zabrzęczały. Chłopcy otoczyli Manojla kołem.

— Widzieliście? A teraz na ciebie kolej, Simo! Choć jedną z tamtych sześciu! No! Twoi przodkowie trafiali kopią w dziurę po sęku. Masz kamień!

Manojlo podał mu odłamek bryły. Nie będę rozbijał izolatorów!

— Boisz się, żeby twojego starego nie obłożyli grzywną? A czemu ja się nie boję? Proszę! Trafisz przynajmniej w jedną bańkę! Masz dwoje oczu, a ja tylko jedno!

— Czemu biadolisz? Mądrej głowie wystarczy jedno oko. Czytaliśmy to w książkach—powiedział Simo i dwa razy się okręcił na pięcie jednej nogi. Z trudem powstrzymywał śmiech.

— Cicho bądź z tymi twoimi książkami! — wydarł się Manojlo nagle, zamachnął ręką, w której trzymał kamień, i uderzył Sima w plecy.

Simo jęknął, wykręcając ręce do tyłu chwycił się za bark, zwinął się jak przygnieciony robak i długo powstrzymywał płacz. Kiedy jednak zaczerpnął nieco powietrza, zdążył wydać z siebie bolesny krzyk. Manojlo się uśmiechnął.

— „Och, och”! To też napisane w książkach? Co? Nagle Simo się wyprostował. Zdawało się, że się jak oszalały rzuci na Manojla.

— Proszę! Proszę, jeśli ci starczy odwagi. No, na co czekasz?

Manojło śmiało podszedł do Sima.

— No, uderz mnie, uderz w plecy, a ja zaostrzoną częścią tego kamienia dziobnę cię w oko, jak mnie kos. Uderz, będziemy mieli jednakowe plecy i ślepia!

Przestraszony Simo z oczami pełnymi łez widział przed sobą wielką rękę i w niej duży kamień. Myślał, że Manojło już w następnej chwili zgniecie mu oko, że zacznie z niego kapać zakrwawiona woda. Ciemno zrobiło mu się przed oczami. Zaciśnął powieki, gwałtownie porwał ogromną dłoń Manojła i wbił w nią zęby jak w płat arbuza.

Byłby odgryzł kawał ciała, gdyby Manojło nie szarpnął ręki, zanim głębiej wraziły się w nią ostre zęby. Tym ruchem pociągnął za sobą Sima, który przez to rymnął jak długi i szeroki i trzasnął twarzą o ziemię. Manojło nie mógł się nadziwić, jak szybko to się stało i jak bardzo jest silny.

— Taki z ciebie rycerz? Kąsas jak pies, jak szczeniak, jak ta trędowata suka, co się kręci koło waszej piekarni.

Manojło jeszcze raz kopnął Sima i spojrzał na swoją rękę.

— Masz szczęście, że mnie nie ugryzłeś, tylko ośliniłeś! — powiedział otarłszy rękę w spodnie.

— A wy czemu go nie bronicie? — zwrócił się do chłopców. — Czemu?

Simo podniósł się, zakurzony. Z nosa ciekła mu krew.

— Zachciało ci się gryźć, co? — Manojło uderzył go na odlew w głowę. — Masz! — i jeszcze raz uderzył w potylicę. — A teraz fora stąd!

Simo zaczął się wydzierać.

s— Milczeć! Żeby cię nie słyszał! Szuraj do domu! I nie drzyj się, bo dostaniesz jeszcze raz na dokładkę! Chłopcy znieruchomieli. Simo, potykając się, ruszył, kiedy się zaś oddalił na kilkanaście kroków i wszedł na jakieś podwórze, odwróciwszy się zawołał:

— Jednooki, jednooki! Bodaj ci i drugie oko wyciekło! Ślepoń, ślepoń!

Manojło się zmieszał, ale obrócił się ku kolegom, obrzucił ich spojrzeniem owego jednego oka, jakby w każdego z osobna celował z broni palnej.

— Co on skrzeczy? Słyszeliście, co skrzeczy? — pytał marszcząc czoło, ponury na twarzy.

242

Żaden z chłopców nie odważył się odpowiedzieć. Wszyscy stali jak porażeni. Manojło każdemu zajrzał w oczy, pytał:

— Co skrzeczy? No, mówcie, niech usłyszę! Chłopcy nie mieli odwagi unieść głowy.

Mile! — zawołał Manojło. — Do mnie! Mile podszedł do niego. Trząśł się ze strachu.

— Nie bój się! Słuchaj, kiedy powiem: „Zatrąb!”, masz od razu zagrać! Słyszałeś? Na ten znak wszyscy ruszymy nad Drinę. Niech nikt nie idzie do domu po spodenki. Będziemy się kapać nadzy. Słyszeliście? Nacieszmy się latem jak nigdy. Możecie być pewni.

Manojło wydobył z kieszeni świstawkę (taką samą, jaką miał Simo) i zagwizdał gwałtownie i mocno.

Usłyszawszy świstawkę Simo wybiegł z podwórka, osłupiały. Chłopcy ukradkiem popatrzyli w jego stronę.

Manojło też się odwrócił.

— Chcesz do szeregu? — zawołał i pokazał ręką kolegów.

— Odczep się, ślepuchu! — odpowiedział Simo i z powrotem wbiegł na podwórko.

W samym drzwiami kamień uderzył go w głowę. Simo zaczął wrzeszczeć.

— Tak załatwię każdego wroga. Widzieliście, jak pewnie celuję. A teraz biegiem nad Drinę! Huraaa!

Chłopcy w milczeniu pognali za nim. Byli przerażeni.

Przybiegli nad brzeg rzeki spoceni i zgrzani. Zrzuciwszy z siebie ubrania zaczęli się tarzać w rozpalonym piasku.

Manojło zawiesił na szyi świstawkę, zagwizdał, a potem zawołał:

— Do wody! Wszyscy płyniemy na tamten brzeg! Tylko Marko zostanie tutaj, by pilnować rzeczy.

Zobaczmy, kto dopłynie pierwszy!

Rzeka była zielona, głęboka i przejrzysta. Na jej dnie widać było żwir, a na powierzchni lśniło słońce.

Chłopcy skakali do wody głową w dół i nurkowali, a wynurzając się uderzali nogami i wydzierali się. Szybko oddalali się od brzegu, nurt zaś nieznacznie ich znosił.

243

Ostatni rzucił się Manojlo. Też gwałtownie skoczył głową w dół. W wodzie otworzył oczy i patrzył, jak prąd połyskuje. Nurkował długo, a woda łaskotała go w zbieleńskie oko. Kiedy przed nim, tuż nad kolorowymi kamykami, śmignęła ryba, zobaczył jej złote oko. W tej samej chwili przeleciało mu przez myśl: „Gdyby Bóg dał i gdybym przemywał oko tą wodą, przejrzałbym na nie. Tak, na pewno!”

Wynurzył się daleko od brzegu, po czym, potrząsnąwszy głową, popłynął w stronę skalistych występów.

Dotarł do nich pierwszy. Stał na skale oblaty słońcem. Krople ściekały z jego ciała, a połamany cień padał na rozpalone kamienie. Zdyszani, przybywali też inni chłopcy. Dłonie ich kurczowo czepiały się przybrzeżnych skał.

Ostatni przypląnął Aron. Kiedy znajdował się jeszcze daleko od brzegu, robił rozpaczliwe ruchy rękami i nogami. Dotarłszy wreszcie do niego, z trudem uniósł rękę i usiłował się chwycić skały. Ponieważ jej nie dosięgnął, zanurzył się w wodę. Ledwie się wydostał na powierzchnię. Dwa razy uderzył głową w skałę. Gdy się wreszcie uczepił kamiennego występu, najpierw trochę odpoczął, a dopiero potem się na niego wydostał. Jemu też Manojlo podał rękę i pomógł wyjść na brzeg. Aron, wspinając się, mówił:

— Patrzcie, ja też przepłynąłem Drinę! Pierwszy raz! — Oczy lśniły mu z radości.

— Przepłynąłeś, bo ja prowadziłem, a nie tamten gaduła!

Manojlo zagwizdał. Chłopcy obstąpili go dokoła.

— A teraz ty, Danilo, nabierasz chrustu, ty, Młode- nie, pójdiesz do kuźni Hasa na po węgle. Zanim wrócimy, macie rozpalić ogień. A my idziemy po kaczany.

Tego lata ziarna kukurydzy były dorodne, pełne mleczu i słodkie.

Aftara

Blacharz Jahiel, który był także samasem w starej świątyni, spotkał na skrzyżowaniu wdowę Beharę.

— Co się dzieje, dobra Żydówko, czemu nie posyłacie do mnie Salamona?

— Jak mam go posyłać, samasie Jahielu? Jest przecież słabowity, nie może się uczyć zawodu.

— Słabowity, słabowity! W takim razie co z nim będzie?

— Nie wiem, nie wiem, samasie Jahielu! Nie zasmucajcie mnie tym pytaniem.

— Słuchajcie, dobra Żydówko, Salamon powinien przynajmniej wrócić do książki. Jest bystry. Dopóki żył jego ojciec, uczył się dobrze i bez trudu.

— Któż byłby szczęśliwszy ode mnie, samasie Jahielu. Gdyby tylko chciał się uczyć. Ale co ja na to poradzę, jestem przecież sama jedna.

Młodej i ładnej wdowie Beharze lzy stanęły w oczach.

Samas wydobyl z kieszeni dużą chustkę i wytarłszy w nią nos dodał z powagą:

— W tym roku, kiedy w świątyni czczona będzie pamięć jego ojca, Jakuba, powinien czytać aftarę.

— Ach, samasie Jahielu, czy Salamon mógłby czytać aftarę?

— A czemu nie? Oczywiście, że mógłby, zresztą czas po temu najwyższy. Już podrośł. Czy chcecie, żebym przyszedł parę razy wieczorem i żebym go przygotował?

~ Niech wam Bóg da wszelkie dobro, samasie Ja-

hielu! — Bchara pochylała się, żeby samasa pocałować w rękę.

— Słuchajcie, jutro wieczorem, kiedy będę szedł do jesziwy, zajrzę do was, by się zorientować, co z chłopcem. Chyba wszystkiego nie zapomniał. Chyba nie zapomniał. A teraz idźcie do domu, dobra Żydówko. Spokojnej nocy.

Z rękami splecionymi z tyłu samas Jahiel powoli ruszył w stronę swojego zaułka.

Następnego dnia wieczorem, kołysząc się na minderze i targając swoją rzadką kozią bródkę, mówił:

— Słuchaj, Salamonie, i dobrze to zapamiętaj: Niemąla to rzecz czytać aftarę. Trzeba ją czytać nie popełniając błędów, a także głośno i wyraźnie. Obecni w świątyni będą słuchać i zwracać uwagę na to, jak czytasz. Każde słowo jest święte. Gdy skończysz, wszyscy powinni powiedzieć: „Słyszeliście! Tak powinno się czytać. To się nazywa czytanie. A kiedy w dodatku chłopiec tak czyta, wtedy to jest podwójna radość.”

Salamon z otwartymi ustami patrzył w samasa Jahiela i słuchał.

— Zrozumiałeś, Salamonie? Tak trzeba czytać! Właśnie tak! A teraz, niech posłucham. Zaczynaj w imię Pana, Boga naszego! Powoli, słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Albo zaczekaj; najpierw posłuchaj, jak ja czytam.

Tego wieczora Salamon, syn wdowy Behary i nieboszczyka Jakuba, zaczął wracać do świętej księgi, do Tory. Na pierwszy raz samas Jahiel wybrał czytanie aftary: „Niech się najpierw tego nauczy. To na początek jest najodpowiedniejsze. Aftara obudzi w nim wolę nauki” — mówił samas w duchu, gładząc swoją bródkę.

Behara drżała tyle samo z radości, co i z niezrozumiałej bojaźni: Oto jej Salamon będzie czytał aftarę! Boże, jeśli ją przeczyta dobrze, jakaż to będzie chluba i radość! Ale niełatwa to rzecz czytać aftarę w świątyni! Trzeba bowiem czytać ją w obecności rabi Jeszui i wszystkich owych sędziwych i uczonych ludzi. Przed całym narodem! Panie Boże!

246

Tak, szyjąc koszule w bokówce, myślała wdowa Behara i truchlała. Co chwila odsuwała rąbek kolorowej firanki w niewielkim oknie i zaglądała do pokoiku.

Tutaj zaś na minderze siedział Salamon. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, jak zwykli siedzieć starzy ludzie. Na kolanach miał wielką grubą książkę. Trzymając na niej ręce uporczywie wpatrywał się w narożnik drzwi. Oczy mu świeciły.

— Boże miłosierny! — wzdychała matka, opuszczając rąbek uniesionej przed chwilą zasłony. — Znowu nie czyta. Znowu się wpatruje w kąt. Boże miłosierny! Z tego wszystkiego nic nie będzie. Nic!

Zatroskana, otwierała drzwi i mówiła łagodnym tonem:

— Salamonie, czy czytasz, dziecko, czy się uczysz? Powiedz, kochany Salamonie?

— Uczę się, mamusiu, uczę! — odpowiadał Salamon.

— Naprawdę?

— Uczę się, uczę — Salamon patrzył na matkę uśmiechając się.

— Ucz się, mój kochany, jedyny mój! Wiesz, że to już ostatni tydzień. W sobotę powinieneś zabłysnąć jak słońce. Ucz się!

— Będę się uczył, mamusiu, będę się uczył.

Behara miała oczy pełne łez. Zatroskanie zdradzał nawet jej chód, każdy ruch. No bo w sobotę jej Salamon będzie w świątyni czytał aftarę. A co, jeśli się zapłacze, jeśli zacznie się mylić?! O, Boże miłosierny! Samas Jahiel przychodził każdego wieczora, żeby chłopca przepytać. Behara opuściwszy firanki wycofywała się do bokówki.

— Proszę, czytaj! — mówił samas, siadając na minderze.

Salamon otwierał książkę i zaczynał ciekawym głosem. Samas przymykał oczy i zażywając tabaki słuchał.

W bokówce za zasłoną stała Behara. Za każdym razem kiedy samas poprawiał chłopca, wstrząsała się, zagryzała dolną wargę i zrozpaczona popatrywała na nauczyciela.

Ale samas Jahiel był cierpliwym i dobrym człowiekiem.

Przeczytaj jeszcze raz to zdanie, Salamonie, jeszcze raz -- mówił do chłopca, kołysząc się spokojnie na minderze.

Kiedy samas odchodził, do pokoju wstępowała matka. Stawiając przed dzieckiem talerz fasoli, pytała po cichu, łagodnie:

— Czy umiałeś, synku? Powiedz, czy umiałeś?

Szeroko otwierała oczy i patrzyła na chłopca. Salamon miał bladą twarz i mądre spojrzenie. Uśmiechał się.

- Umiałem, umiałem! — odpowiadał podnosząc pełną łyżkę do ust. Powoli i długo żuł zawartość każdej łyżki.

Salamon kładł się wcześniej. Trzymając rękę pod głową, patrzył na oświetloną firankę w okienku bokówki. Tam, za tą firanką, siedziała matka i szyla.

Któregoś wieczora zaczął go powoli nawiedzać sen: Matka szyje... Matka szyje koszule. Matka każdego dnia szyje koszule. Od rana do wieczora. Oo późnych godzin nocnych. Ile koszul do tej pory uszyła? Dużo! A ile razy on, Salamon, przeczytał aftarę? Trzy... cztery... pięć... dziesięć... dwadzieścia razy. Czy matka się myli, kiedy szyje koszule, jak on, kiedy czyta aftarę? Na pewno nie, A więc on też nie będzie się mylił. Nauczy się aftarę na pamięć. Na pa-mięć! Tak zresztą powiedział do swojego ojca, Jakuba. Właśnie tak powiedział, to mu obiecał.

I wczoraj, i dziś. Matka o tym nie wie. Ale on, Salamon, każdego dnia rozmawia z ojcem. Tak, rozmawia, Ojciec powiedział, że przyjdzie i że mu przynie- sie — jeśli przeczyta aftarę jak należy — nowy talet i nową książkę na Pesach. Hagadę. To piękna książka. Są w niej obrazki. Jest też w tej książce „Pieśń o kozle”: — Ojciec kupił dla mnie kozła za dwa lewy, za dwa lewy. Przyszedł kocur i zjadł kozła, którego mi ojciec kupił za dwa lewy, za dwa lewy. Potem przyszedł chart i zarznął kocura, przyszedł kij i zatłukł charta, przyszedł ogień i strawił kij.. Ojciec bardzo lubił tę pieśń. Będzie ją 248

ojciec śpiewał na Pesach,.. On też będzie śpiewał razem z nim. Nauczy się tej pieśni na pamięć. Innych też się nauczy na pamięć. I całej Tory. I psalmów. Wszystkiego się nauczy na pamięć. Teraz powinien się nauczyć aftarę... Aftary...

Przed północą matka wchodziła do pokoju. „Słuchaj, Izraelu, nasz Pan Bóg jest jedyny” — szeptała słowa modlitwy kładąc się obok dziecka na posłanie.

— Salamonie, nic powinieneś się bać. Samas Jahiel powiedział, że umiesz aftarę, jakbyś był rabim. Kiedy ją przeczytasz, wszyscy będą mówić, że jesteś dobrym i dzielnym chłopcem. Powiedzą: „Szczęśliwy ten ojciec, który pozostawił po sobie takiego syna.”

— Nie boję się. Zacisnę oczy, żeby się nie bać — mówił Salamon, wkładając nowe skarpetki i białą koszulę. — Umieję aftarę na pamięć.

Samas Jahiel zaprowadził Salamona do świątyni. Stał obok chłopca uroczyście. Równie uroczyście tej soboty licytował dopuszczanie do różnych zaszczytów.

— Za noszenie Tory: Mil daan! — głos samasa był dźwięczny i głęboki.

— Daan! Daan! — świątynia napelniała się jego głosem.

— Dos! Tres! — wierni szeptem przekazywali sa- masowi oferty i rywalizowali w kupowaniu zaszczytów.

Samas Jahiel był szczęśliwy, kiedy tak rywalizowali między sobą: „Dobrze, dobrze, synowie Izraela! Niech świątynia zdobędzie pieniądze, dzięki temu można będzie kupić nową zasłonę do sanktuarium.”

— Kwarto mil daan!

Samas dumnie i z zadowoleniem unosił głowę. Wierni tymczasem, siedząc w swoich sobotnich ubraniach, słuchali. Światła paliły się jak słońce. Panowała cisza.

Bądź błogosławiony. Panie, któryś stworzył sobotę!

— Sinko mil daan! *

W powietrzu wibrującym w świątyni wyczuwało się uroczysty nastrój. Na dworze przez białawą mgłę przebijało słońce.

Wreszcie samas zaczął licytować ofertę:

— Trez mil daan! — brzmiał jego głos. Dwa, trzy razy powtórzył z dumą i entuzjazmem: Trez mil daan!

„Trez mil daan!” — Samas Jahiel licytuje w czyimś imieniu! Wierni wyczuli to od razu. „Ale w czym?”

Licytujący przeszedł obok Salamona i pogłaskał go po twarzy. Chłopiec się uśmiechnął.

Kiedy się samas upajał myślą, że za chwilę ogłosi, iż ofertę będzie czytał Salamon, z głębi świątyni usłyszał ofertę:

— Kvarto!

Samas popatrzył w tamtą stronę. No tak, Jakub Romano w tym tygodniu też czci pamięć swojego ojca Daniela. Bardzo dobrze!

— Kvarto mil dan! — powtórzył ofertę Romana i zaraz potem swoją głosem jeszcze bardziej uroczystym:

— Kvarto mil i kinientos daan!

Tak, sinior Romano — coś dumą napęłniało duszę samasa — kvarto mil i kinientos!

Wydobył z kieszeni kolorową chusteczkę i z powagą otarł czoło.

— Sinko mil! — Jakub Romano dał znak wymownym ruchem ręki.

— Sinko mil i kinientos daan — samas od razu podwyższył w swoim imieniu i w imieniu wdowy Behary.

— Szesz mil! — podniósł ofertę Jakub Romano. Ludzie prostowali się na swoich miejscach: „Ho, ho, szesz mil!” **

Samas Jahiel się zaniepokoił. Chodził pośpiesznie z jednego krańca świątyni w drugi, pocąc się. Na miły Bóg, kto dotrzyma kroku temu dziwakowi Jakubowi

Romano! Dokąd jeszcze jemu, samasowi, wolno licytować? Już przecież przekroczył kwotę, którą ustalili z matką Salamona. Nawet coś od siebie dorzucił. Czy wolno mu dalej rywalizować z Romanem? Z czego za to zapłaci?

Zatrzymał się przy jednym filarze, żeby odsapnąć. W świątyni zaś panował nastrój wyczekiwania.

Tymczasem na górze, na galerii, stojąca za kratownicą wdowa Behara patrzyła na dół, na swoje dziecko. Nie śledziła licytacji, przez cały czas myślała tylko o tym, że jej Salamon będzie dziś czytał ofertę. Patrzyła w niego, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy samas poprowadzi go do kazalnicy i kiedy świątynią rozbrzmi głos chłopca. Panie Cewaocie! Świątynia uciszy się tak, jakby w niej był tylko Salamon. Chłopiec otworzy książkę, zacznie głośno i wyraźnie czytać ofertę. Słuchając go, wszyscy będą powstrzymywać oddech. Wszyscy! I mężczyźni, i kobiety, i dzieci. O, Panie Cewaocie!

Tak na górze za kratownicą upajała się wdowa Behara, podczas gdy na dole samas Jahiel ogłaszał nową ofertę Jakuba Romana:

— Sjete mil i kinientos daan! *

Samas był już załamany. Sjete mil i kinientos, to w przeliczeniu całe sto pięćdziesiąt dinarów! A przecież ani on, ani wdowa Behara nie liczyli się nawet z tym, że licytacja dojdzie do stu. „Nie, nie, dalej nie można licytować. Nie można! Co robić, niech górą będzie Jakub Romano. Niech on będzie ostatni. Niech tak pozostanie. Ale jak, na Boga, Romano może być ostatni! Salamon się przygotowywał cały miesiąc. Czyżby wszystko miało pójść na marne? O Boże, Boże!”

Samas chodził przygarbiony i z apatią obwieszczał: Za czytanie aftary sjete mil i kinientos daan!

W tym czasie Jakub Romano siedział dumnie na swoim miejscu.

Panowała jeszcze cisza, choć niektórzy zaczęli się już nerwowo ruszać i pokaszliwali. Licytujący wiedział, co to znaczy, skierował się więc prosto ku Jakubowi Romano. W ostatniej jednak chwili skręcił w prawo. Nie, jeszcze raz przemierzy świątynię. Przecież rzecz nie może się tak skon-

m

MMI

czyć! Zaczekajmy, może się jeszcze coś stać, może się zdarzyć cud. Tak, cud! Bóg jest wielki. Zaczekajmy!

Samas Jahiel chodził tam i z powrotem, przystawał, obracał się w jedną i drugą stronę, cud jednak nie chciał się zdarzyć. Samas więc coraz bardziej się niecierpliwił. Tak, Bóg jest wielki i cud by się na pewno stał, ale jak ma się stać, skoro nikomu nie mówił, że mały Salamon będzie czytał aftarę. Chciał wszystkich zaskoczyć czytaniem przez chłopca aftary, a potem z dumą oznajmić, że to jego dzieło; I proszę, został za to ukarany!

Ze wszystkich stron samasa obrzucano ostrymi spojrzeniami. Co się dzieje? Czemu nic kończy licytacji, skoro już nikt nie chce rywalizować? On tymczasem chodził po świątyni i chodząc patrzył, jakby prosił o litość: zaczekajcie, synowie Izraela, jeszcze tylko chwilę... Żona ma... tak, tak... mamy naszyjnik... można za niego dostać sto dinarów... Zastawimy go... Oczywiście... Oczywiście... Przyznaję, to moja wina, chciałem wszystkim sprawić niespodziankę...

Samas wreszcie zdecydował, że zastawi lub sprzeda naszyjnik żony, tę rodzinną pamiątkę, i już, już miał przystąpić do nowej walki z upartym Jakubem Romano. Ale właśnie wtedy wstał z miejsca, mocno zmieszany, Eliezer Molho.

- Tsst, tsst! — zaczął dawać znaki staremu samosowi Jahielowi. Jednocześnie sto głów obróciło się w stronę Molha. Zacerwienił się więc po uszy.

Samas patrzył dokoła jak ślepy. Kto go wzywa? Co jest?

- Kindze mil, kindze mil! * — przekazywał Eliezer Molho prawie głośno, czerwiąc się coraz bardziej.

Samas w żaden sposób nie mógł dojść do siebie. Eliezer Molho? Za kogo będzie licytować? Przecież jego ojciec jeszcze żyje!

Podszedł tuż, tuż do Eliezera Molha, popatrzył na niego. Molho, opuściwszy wzrok, usiadł.

Samas w mgnieniu oka zrozumiał, na czym polegał cud. „Doskonale, sinior Eliezerz Molho! — powiedział w duchu i uślniechnął się. — Doskonale!” Po

czym, postąpiwszy krok do przodu, zamknął oczy i obwieścił:

Za czytanie aftary kindze mil daan!

Jakub Romano pośpiesznie otworzył swoją grubą księgę modlitewną i zanurzył w niej głowę, a wiernych ogarnęła fala zdziwienia. „Kindze mil dan! Co to jest? Kto licytuje tak zdecydowanie?”

„Sinior Eliezer Molho, sinior Eliezer Molho!” - podawano sobie z ust do ust,

Samas znów pogłaskał małego Salamona. Ten tymczasem uporczywie patrzył w starego rabiego.

- Kindze mil daaan!

Daaan, daaan... — rozbrzmiewał głos samasa.

Płomyk w wiecznym kaganku migotał i giał się. Na niebieskiej zasłonie z brokatu połyskiwało złoto. Chwilami się wydawało, że zasłona przetkana jest gwiazdami. Cała świątynia znów tchnęła żywym zadowoleniem.

Daaan, daaan... — szumiało we wszystkich uszach.

Kiedy wreszcie samas stanął obok Eliezera Molha jak obok jakiegoś wielkiego zwycięzcy, ten szepnął mu coś na ucho. Wszyscy z zaciekawieniem nadstawili uszu. Samas zaś najpierw porządnie odchrząknął, a następnie metalicznym głosem obwieścił:

— Za czytanie aftary kindze mil dan! Sinior Eliezer Molho czyni zaszczyt Salamonowi, synowi nieboszczyka Jakuba, aby mógł czytać aftarę.

Salamon! Mały Salamon!

Samas usiadł, żeby odetchnąć. Był szczęśliwy.

Salamon przeczytał aftarę głośno i bez żadnego błędu. Dzieci drżały z radości. Wdowa Behara za kratownicą po cichu płakała, tłumiąc głos białą sobotnią chustką i wstrząsając się ze wzruszenia. Samas Jahiel zaś, wzięwszy chłopca za rękę, zaprowadził go do sinior Molha.

~ Pocałuj w rękę tego dobrego człowieka - powiedział samas głośno. — To on wyświadczył ci zaszczyt, żebyś mógł czytać aftarę.

Salamon posłuchał i Eliezera Molha pocałował w dłoń. Molho chciał Salamona zatrzymać przy sobie, ale rabi Jeszua zawołał chłopca i posadził między swoimi kolanami. Inne dzieci patrzyły wyglądając spoza filarów, jak rabi Jeszua głaszcze Salamona po policzkach. Po

253

modlitwie zaś stary rabi pobłogosławił chłopca głośno, rozciągając każde słowo. W końcu wszyscy uroczyście zawołali: Amen!

Wdowa Behara, prowadząc Salomona do domu i płacząc z radości, całowała jego czarne kędzierzawe włosy.

— Dlaczego płaczesz, mamusiu? — r- pytał chłopiec, zmieszany.

Matka, drżąc z jakiejś wewnętrznej radości, nie mogła odpowiedzieć.

— Nie płacz, mamusiu — prosił Salomon prawie szeptem. — Nie płacz. Ojciec przyjdzie. Ja wiem. Sam mi to powiedział. Powiedział, że jeśli dobrze przeczytam aftarę, na pewno przyjdzie. Nie płacz, mamusiu!

Wdowa Behara na chwilę jakby zastygła, a następnie jeszcze silniej przycisnęła chłopca do siebie i zaczęła szlochać.

*

Na jakie dziesięć dni przed Pesach Salomon siedział w oknie. Przcisnął głowę przez szerokie żelazne pręty i wyglądał na zaułek. Zza rogu ukazał się Dawko, syn szczotkarza Duda. Dawko dźwigał na plecach kosz pełen porów, idąc więc zaułkiem słał się z wysiłku. Salomona zauważył z daleka. Kiedy znalazł się już pod oknem, przystanął i uniósł głowę.

— Salomonie, czy kupiliście pory na Pesach? Idź i zapytaj matki.

— Mamy nie ma w domu.

— A gdzie jest?

— Nie wiem.

— Czemuś taki blady?

Ja, blady?

— Tak, jesteś blady. Pewnie się dużo uczysz. Co?

— Nie wiem.

— Nie wiesz, nie wiesz. Ty teraz wszystko czytasz. A może zostaniesz rabim, hę?

— Nie wiem — znów odpowiedział Salomon.

— Nie wiem, nie wiem! Co się stało, czemu nie odpowiadasz jak wszyscy ludzie? Przeczytałeś aftarę i teraz jakby ci nie wolno było z nami rozmawiać. A czy wiesz, że widziałem twojego ojca?

254

— Mojego ojca? — oczy Salomona zaświeciły. — Gdzieś go widział?

— Na dole w czarszii.

— Przysięgnij!

— Po co mam przysięgać. Jest na dole, siedzi w zakładzie i szyje kołdry.

Salomon zbladł.

— Precz stąd! — zawołał obrażony.

— Co ci jest? spytał Dawko. — Myślisz, że to nieprawda?

— Głupi jesteś! Mój ojciec nigdy nie szył kołder.

— Ty jesteś głupi! Tamtego twojego ojca na pewno nie widziałem. Ale sinior Eliezera Molha, kołdrarza, widziałem.

— Eliezer Molho nie jest moim ojcem. Moim ojcem jest Jakub.

— Tak, twoim ojcem jest Jakub, ale Jakub, mój drogi, nie żyje. Jakub był twoim ojcem. A teraz twoim ojcem będzie sinior Molho. Ożeni się z twoją matką. Sinior Eliezer kołdrarz. Pamiętaj, ten, co zapłacił, żebyś mógł czytać aftarę. Co, matka ci o tym nie mówiła? Po święcie Pesach odbędzie się wesele. Wiesz, co to jest wesele? — Dawko zaczął się krzywić w uśmiechu. — Sinior Molho kupił już łóżko u graciarza Czucza. Łóżko sprężynowe.

Salomon splunął z góry i wysunął głowę zza prętów. Był blady, trząsł się.

Potem siadł na minderze. Zaczął czytać ten sam fragment z księgi proroka Izajasza, który przeczytał już tyle razy. Czytał, ale kanciaste hebrajskie litery tańczyły przed jego oczami niczym jakieś niewielkie groteskowe potworki.

„Będzie wesele” — kołowało się w jego głowie. Eliezer Molho zostanie jego ojcem. Eliezer Molho!

Salomonowi robiło się ciemno przed oczami.

Tego dnia matka przyszła do domu późno. W dodatku nie przyszła sama. Razem z nią zjawiała się Simcha, zwana „La kania”. Simcha przyniosła dla chłopca ciastek. Kawalek marcepana i biszkopt. Salomon położył ciastka obok siebie, książkę ustawił na kolanach i zapatrzył się w znany mu narożnik drzwi.

Matka i stara Simcha „La kania” siedziały w bokówce.

Rozmawiały po cichu. Długo rozmawiały. Słyszeć było tylko szept. Salamonowi ścisnęło się serce.

— Mamusiu — zawołał, kiedy już leżał na posłaniu. — Czy ty znasz sinior Eliezera? Tego, co „kupił” dla mnie aftare?

— Znam — odpowiedziała matka i zarumieniła się. — A dlaczego pytasz, dziecko?

Salamon odwrócił głowę, zagryzł wargi. Jakiś lodowaty prąd przeniknął cienkie kości jego chudych nóg.

— Dlaczego pytasz, Salamonie? — powtórzyła matka.

— Tak sobie. Dziś patrzyłem w tamten narożnik.

— W jaki narożnik?

— W tamten.

— No i co z tego? Co tam jest?

- Tam zawsze widziałem ojca. A dziś zamiast ojca zobaczyłem sinior Eliezera. Dawko powiedział, że sinior Eliezer będzie moim ojcem.

— Będzie, synku, on ciebie kocha. I zostanie twoim ojcem.

— Moim ojcem był Jakub. Nie chcę, żeby sinior Eliezer był moim ojcem.

- Słuchaj, Salamonie, sinior Eliezer jest bardzo dobry. Będzie się o ciebie troszczył i będzie cię kochał, jak ja cię kocham.

Salamon uporczywie patrzył w matkę, ale spojrzenie miał nieobecne. Kiedy się trochę opanował, powiedział prawie bezgłośnie:

- Nie chcę, nie chcę, żeby mnie kochał. Nie chcę!

Zrozpaczony wyciągnął się na posłaniu, zaczął szlochać. Jego szczupłe ciało trzęsło się jak w febrze.

— Salamonie, Salamonie, dziecko kochane! — mówiła pieszczotliwie matka przesuwając ręką po szczupłym ciele dziecka.

Chłopiec nagle stanął na równe nogi, zawołał:

— Puść mnie, puść mnie!

— Salamonie, co ci się stało, Salamonie, szczęście moje! Salamonie!

— Odejdź, odejdź, puść mnie! Ale żebyś wiedziała: Za niego nie będę czytał aftary. Nie będę, zapamiętaj to sobie. Nie będę! Nie będę!

256

Ostąpiła kobieta patrzyła w oczy dziecka. Były zamącone, mroczne.

— Nie będę! — krzyknął chłopiec jeszcze raz, a następnie zanurzył głowę w poduszkę, naciągnął na siebie kołdrę i znów zaczął łkać.

Jak zmoknięte i zziębnięte chude kocię trzęsło się ciało Salamona pod kołdrą.

Wdowa Behara klęczała obok minderu, sztywniejąc. Niewielka lampa naftowa, stojąca w zagłębieniu okna, oświetlała jej twarz. Usta miała otwarte ledwie, ledwie. Pod rękami drżało małe szczupłe ciało syna, ona zaś była przekonana, że to drży jego chłopięca dusza.

Długo klęczała, a potem opuściwszy oczy wpatrzyła się w ciemną fałdę swojego fartucha. O niczym prawie nie myślała. Pragnęła tylko, żeby jak najszybciej zgasło światło, żeby wszystko utonęło w mroku, w głębokich ciemnościach.

Kiedy wreszcie światło zgasło, pochyliła się nad synem, a następnie, objąwszy go ramionami i przycisnąwszy do piersi, po cichu wyszeptwała:

— Salamonie, kochany, Salamonie! Sinior Eliezer Molho nie będzie twoim ojcem. Nie będzie, Salamonie! Behara, twoja matka, nie zasmuci twojego serca. Nie, Salamonie, nie uczyni tego. Będzie kroilił koszule i utrzymywała swoje dziecko jak do tej pory. Salamonie, Salamonie, jedyna moja radości!

Przez dłuższy czas trzymała chłopca w objęciach. W pewnej chwili Salamon ujął rękę matki i zaczął ją powoli przysuwać do ust. Długo potem całował chudą dłoń rozpalonymi wargami, długo i z taką przyjemnością, jak nigdy przedtem. Wreszcie oparł na niej głowę i zasnął.

Matka przez cały wieczór siedziała przy dziecku, pochyłona nad nim, nie usuwając ręki spod jego głowy. Zasnęła o świcie.

— Szalom, samasie Jahielu!

Samas, zaskoczony, uniósł głowę.

— To ty, Salamonie? Szalom, szalom! Bardzo dobrze, że przyszedłeś, bardzo dobrze. Powinieneś się dalej uczyć zawodu. Tak, tak. Wejdz do środka, Salamonie, wejdz!

■ usaii

— Nie przyszedłem z tego powodu, samasie Jahielu. Przyszedłem prosić, żebyście mnie zaprowadzili do rabiego. Chcę się uczyć na rabiego — spokojnie i z pewnością siebie powiedział chłopiec.

— Chcesz się uczyć na rabiego —, powtórzył samas, a następnie położył swój mały drewniany młotek obok siebie. — Uczyć się na rabiego. Dlatego przyszedłeś. No dobrze, Salamonie, dobrze. Chcesz się uczyć na rabiego. Dobrze.

Samas mówił powoli i stanowczo. W tym miejscu urwał, zamyślił się przez chwilę i wpatrzył w jakiś niewielki kawałek błyszczącej żółtej blachy, który leżał na podłodze. Potem uniósł swoje spokojne oczy pełne łśni, odbitych od żółtego kawałka metalu, i kontynuował, kołysząc się jak w czasie modłów:

— Dobrze, Salamonie, chcesz się uczyć na rabiego. Dobrze. A czy ty wiesz, mój drogi, że trzeba się dużo uczyć, żeby zostać rabim?

— Wiem.' — odpowiedział Salamon krótko i ze zdecydowaniem.

— Wiesz, wiesz. To dobrze, Salamonie, że wiesz, to dobrze. — Samas pchnął płat czarnej blachy, z której skręcał rurę do pieca, odpiął skórzany fartuch i wstał.

— To dobrze, Salamonie, to dobrze.

Samas sięgnął po płaszcz i powoli go włożył. Powoli też zapiął guziki. Kilka razy pogładził bródkę i usunął z płaszcza siwy długi włos. Wreszcie, wzięwszy chłopca za rękę i w pobożnym uniesieniu wzniosłszy wzrok ku niebu, powiedział:

— Ruszajmy, Salamonie, ruszajmy, w imię Pana, Boga naszego! Ruszajmy! Przedziwne są drogi Jego, przedziwne!

Dom rabiego stał na wzgórzu. Prowadząc chłopca samas Jahiel milczał.

„Aftara, aftara... ja wiedziałem, co robię!” — mówił samas w duchu i powoli szedł pod górę.

Słowa Benciona Albahariego

Życie w domu Benciona Albahariego nie tchnęło już pogodą. Nawet niewielkie podwórze nie wydawało się Bencionowi tak czyste i jasne jak kiedyś.

Ale przed miesiącem jeszcze raz zabłysła radość. Zabłysła i w duszy ojca i matki, i w duszach ich dzieci, aby się objawiać przez cały jeden dzień i przez cały wieczór. Ten blask radości był, niestety, ostatnim światłem, które rozjaśniło dom Benciona Albahariego. Potem się już nigdy nie ukazał ani jego promyk.

Przed miesiącem mianowicie obchodzono uroczystość budzenia się drzew. Tę uroczystość Albahari święcił na swój sposób: po prostu się w niej zapamiętywał.

— Czy będą też migdały? — dzieci już na dziesięć dni przed uroczystością zasypywały matkę zdradzającymi ciekawość pytaniami, przymilały się do niej.

— A orzechy? A kasztany?

— Będą — mówiła matka.

— Pomarańcze też?

— Pomarańcze też.

— I niespliki?

— I niespliki.

— A co to są niespliki? — pytała mała Lejka.

— Jak to, nie wiesz?! — odpowiadał Rafael i błyskając oczami żywo objaśniał, co to są niespliki, opisywał, jak wyglądają, jaki mają smak i jak się je przechowuje, aby nie zgniły.

Przygotowania do uroczystości z każdym dniem pod-

niecały dzieci coraz bardziej. Zresztą podniecony był i Bencion Albahari.

Tego roku postanowił, że kupi wszelkiego rodzaju owoców. Niemało więc przechowywała ich w spiżarni — poowijanych w papier i odpowiednio poukładanych — jego Buena. Już od jesieni Bencion miał wypisane na kartce, co jeszcze trzeba kupić. Postanowił zaś nie żałować pieniędzy. Chodził po owocarniach i każdego dnia przynosił coś do domu. Wspinając się pod górę Bjelavami i niosąc w skórzanym torbie lub w papierowych opakowaniach kupione owoce, za każdym razem inne, promieniał, wyobrażając sobie, jak dzieci otworzą szeroko oczy, gdy Buena zacznie przybierać stół pełnymi talerzami, koszykami i miskami i gdy się przekonają, ile owoców jest w tym roku.

Kiedy myślał o radosnym zdziwieniu dzieci, które znajdzie wyraz w ich okrzykach, w lśnieniu oczu—on też zaczynał pragnąć, żeby ów wieczór nadszedł jak najszybciej. I wreszcie się to stało.

Matka także ze swojej strony szykowała niespodzianki. Kupiła tuzin świeczek. O tych świeczkach nie mówiła nawet Bencionowi.

Już od wczesnego rana lśniły oczy małej Lejki. Tak samo było z chłopcami.

Gdy Buena patrzyła na radosne twarze dzieci, również jej czoło się wypogadzało, a jeszcze bardziej się rozpogodziło, kiedy w kuchni otworzyła skrzynię i z ukrycia wydobyła pęk różnokolorowych niewielkich świeczek.

Ten dzień dłużył się dzieciom jak żaden inny. Po południu co chwila zaglądały do kuchni, aby zobaczyć, co matka szykuje, ona jednak wciąż jeszcze większą część owoców trzymała schowaną, przekomarzała się więc z dziećmi:

— Na próżno, na próżno tu przychodzicie, nie zobaczycie nic. O, proszę, wszystko jeszcze jest w skrzyni. A teraz — fora, dowiecie się, co będzie, kiedy przyjdzie wieczór. Wtedy będzie wam przyjemniej,

— Podprażałaś migdały! Ja wiem — wołał Miko. — A to, co się gotuje w garnku, to są kasztany.

— Nie wiem, nic nie wiem! — odpowiadała matka.

260

Po czym, śmiejąc się i tupiąc nogą w podłogę, nakazywała: — Proszę wyjść, już was tu nie widzę!

Wreszcie zapadł mrok. Dzieci kuląc się przy oknie nasłuchiwały: lada chwila miał się zjawić ojciec.

Kiedy zaskrzypiała furtka, całą trójką, jak oparzone, wybiegły z pokoju na korytarz. Wyrwijąc sobie dłoni ojca, całowały ją, a jednocześnie pokazywały kolorowe płócienne woreczki, jakie matka przygotowała dla nieb na wieczorną uroczystość.

Bencion zdjął płaszcz zimowy i wszedł do pokoju. Postawiwszy na stole buteleczkę rakii, podszedł do pieca, aby ogrzać ręce. Nieco później siedli do kolacji. Bencion z żoną wypił do posiłku parę kieliszków rakii. Buena po każdym kieliszku się wstrząsała: „Och, jaka mocna!” Dzieci jadły szybko i raz, dwa skończyły. Zresztą było tylko jedno danie. Po kolacji matka pozbierała naczynia, ściągnęła obrus, prędko jednak wróciła z drugim czystym. Kiedy przykryła stół, zaczęła przynosić owoce. Wchodziła i wychodziła, odchodziła i wracała, za każdym razem z pełnymi rękami talerzy, koszyków i misek z owocami.

— Ach, ach! — wołały radośnie dzieci. — I kolorowe świeczki są! Czerwona! Żółta! Zielona!

Zanim ojciec wypalił papierosa, matka zdążyła zastawić stół. Teraz się uśmiechała. Były jabłka i orzechy, suszone śliwki i gruszki, daktyle i rodzynki — orzeszki laskowe, prażone nasiona ciecierzycy, migdały i kasztany, pomarańcze i cytryny, owoce róży i niespliki, chlebki świętojańskie, figi... Był też talerzyk z konfiturami z czereśni i płatków róży.

Do każdego talerzyka Buena przytwierdziła z boku długą cienką świeczkę. Były w różnych kolorach: żółte, różowe, czerwone, zielone, niebieskie, białe, koloru pomarańczowego. ...

W środku, na talerzu, który znajdował się między pomarańczami, osadzona była duża biała świeca. Ojciec potarł zapałkę, zapalił ją. Po nim i dzieci pozapalały małe świeczki, wszystko więc zajarzyło się w świetle kilkunastu płomyków.

Siedzieli przy stole, każde na swoim miejscu. Ojciec przewracał kartki książeczki psalmów. Dzieci patrzyły to na niego i jego książeczkę, to znów na świeczki, płomyki

261

i owoce, i łykały ślinkę, która zbierała się im w ustach. W rękach niecierpliwie obracały kolorowe woreczki, jakie ojciec miał wkrótce nappełnić owocami.

Z pełnymi woreczkami na kolanach będą też jadły owoce, które zostaną na talerzach. Och, cóż to będzie za uczta! Miko nie mógł oderwać oczu od fig, Rafael — od prażonych migdałów, Lejka zaś już myślała o tym, że obiera pomarańczę, i paluszkami tarosiła swój pognieciony woreczek.

Matka, trochę oszołomiona rakiją, patrzyła na dzieci promieniejąc ze szczęścia.

„Sir Amalat...” — zaczął ojciec psalm i wyśpiewał go kiwając głową i zapamiętując się w ustępach z recitati- wem. Dzieci słuchały hebrajskich słów, których nie rozumiały, śledziły ruchy głowy ojca, wznoszenie i opuszczanie głosu, niecierpliwie czekając, kiedy zakończy psalmy i rozpocznie opowieść o budzeniu się drzew. Dla nich była to za każdym razem nowa opowieść, cudowna jak bajka. Pamiętały ją dobrze jeszcze z zeszłego roku. Ojciec, co chwila spoglądając na leżącą przed nim zapisaną starą kartkę, zaczynał tę opowieść słowami: „Słuchajcie, abyście słyszały i rozumiały wszystko, co wam powiem...” Zwłaszcza Miko dobrze sobie przypominał te słowa.

Ojciec zakończył psalm, zamknął książkę. Najpierw chrząknął, aby oczyścić gardło, następnie przemówił uroczyście:

— A teraz słuchajcie moich słów, ażebyście wszystkie słyszały i rozumiały.

Kiedy na jesieni w sadach pozrywa się płody i kiedy się od gałęzi oderwą ostatnie dojrzałe owoce, drzewa zaczynają się szykować do odpoczynku. Liście zmieniają kolor. Zielony kolor żółknie. Widziałyście to pewnie na naszej morwie. Każdy liść zaczyna blednąć, aż całkiem żółknie. Istnieją takie liście, które najpierw się zarumienia. Niektóre nawet stają się czerwone jak skórka tych owoców róży, co leżą na talerzyku obok Lejki. Błyszczą więc te kolory w słońcu, od czerwonego do żółtego, toteż kiedy wzrok padnie na sad, człowiek doznaje prawdziwej rozkoszy. A gdy jeszcze w tych liściach zagra lekki powiew wiatru — rozszumi się czarowna pieśń i płynie w dalekie strony. Jest to ostat- 262

nia pieśń, którą przesyłają owoce i drzewa, żegnając się z nami.

Czy przypominacie sobie? Zeszłego roku jesienią siedzieliśmy przed domem na kamiennych stopniach. Niebo było pogodne i usiane bezlikami gwiazd. Tarcza księżycy, jasna i zupełnie okrągła, rozsypywała swoje światło po ziemi, po dachach domów, po sadach i lasach. Jak pozłoczone drgały żółte liście i na naszej morwie, i na naszych śliwkach. Było cicho, była ciepła noc jesienna. Od morwy i śliwek odrywały się poszczególne listki i pierzchliwie opuszczały się na ziemię, a tamte, które jeszcze zostawały na gałęziach, szumiały swoją pieśń, kołysały się, drgały i łśniły, oblane wspaniałym bogactwem poświaty. Jak złote liście na złotym drzewie.

Potem przyszedł chłodny dzień, po nim pogodna i jeszcze chłodniejsza noc, a nad ranem chwycił przymrozek. Po przymrozku liście nagle zaczęły się odrywać od gałęzi, więc ziemia pod morwą była cała pokryta opadłymi blaszkami, które unosił wiatr; na morwie kołysały się zaledwie pojedyncze listki, same, jak opuszczone, czekając, aby podmuch je zerwał, aby one także poleciały ku ziemi. Wtedy ukazały się konary, wyciągnięte niby uniesione do góry smutne ręce. Morwa wydawała się naga, jakby była sierotą. Ale morwa nie była sierotą ani nie była smutna. Morwa po prostu, podczas gdy opadały jej liście, gotowała się do zimowego spokoju, do drzemania, do snu. Kiedy oderwał się od niej i ostatni liść, już drzemała, coraz bardziej morzył ją sen, aż wreszcie zasnęła na dobre. Serce morwy się przytailo, soki w jej konarach przestały krążyć... wszystko w niej przycichło. Przycichło i odpoczywało.

Morwa była spokojna przez całą zimę, spokojna jak wszystkie pozostałe drzewa owocowe i pnie w sadach, tak jak w lasach były spokojne dęby i wiązy, buki i brzozy, jak topole, topole włoskie, olchy, wierzby nad rzekami i wodami, przydrożne krzewy i polne krzaki cierniste. Biały śnieg osiadał na nagich konarach, a szron oblepiając gałęzie łśnił na nich jak drogie kamienie w słońcu. Skakały po nich ptaki, które nie wędrują do ciepłych krajów: dzięciołki, żolny, liczne i różne a niewielkie sikorki: te, co mają żółte kamizelki i czarne czapeczki,

owe szarawe o długich cienkich ogonkach i jeszcze inne, żółte i niebieskie, o puszystym upierzeniu, małych okrągłych łapkach, co kwilią jak pisklęta, które dopiero wykluły się z jaj. Wreszcie rudziki i strzyżyki, i całe stada naszych wróbelków, srok, wron. Opadały te ptaki na gałęzie, strząsały z nich okiść, dziobały szukając robaczek, a niektóre, jak wrony, krakały smutno, wygłodniałe, bo ziemia wszędzie pokryta była śniegiem, bo ziemia odpoczywała, a drzewa spały.

Bencion się zatrzymał, łyknął wody. Potem mówił dalej:

— Czy słyszałyście, jak dziś koło południa powiał wiatr z dalekich gór, które jeszcze pokryte są głębokim śniegiem? Czy poczułyście pod nogami, jak u nas też śnieg stał się miękki i jak z dachów zaczęło kapać?

Dzisiejsza noc jest uroczysta. Dzisiejszej nocy budzą się sady, budzą się drzewa ze swojego zimowego snu i odpoczynku.

Bencion się zatrzymał, aby odetchnąć. Dzieci też się poruszyły na swoich stołkach. Zaskrzypiało krzesło pod małym Rafaelem. „Psst!” — szepnęła Miko ledwie dosłyszalnie. Nastąpiła chwila zupełnej ciszy.

Bencion zwrócił się do Bueny, która trzymając ręce na podolku słuchała opowieści z taką samą uwagą jak dzieci. — Otwórz, proszę, okno — powiedział, a następnie z kieszeni wydobyl chustkę i otarł czoło, zroszone dużymi kroplami potu.

Matka wstała, powoli otworzyła najpierw jedno skrzydło, a potem drugie. Dzieci patrzyły i wstrzymując oddech czekały, co się teraz stanie, co ojciec jeszcze powie. Każdego roku jego opowieść wydawała się im jak nowa, coraz cudowniejsza, jakby zawsze coś do niej dodawał.

Kiedy matka usiadła, Bencion podjął dalszy ciąg:

— Dzieci, nastawcie ucha w stronę otwartego okna — powiedział. — Nastawcie ucha, żebyście mogły usłyszeć, jak się drzewa budzą. Słuchajcie. Ich serca znów zaczynają bić jak serca zegarków, kiedy naciągnie się w nich obluźowaną sprężynkę, wprawi w ruch kółka, ożywi tykot. W drzewach także bije serce, ale niedosłyszalnie, tego bicia nie chwyta się słuchem, tylko się je wyczuwa duszą. Nastawcie ucha, już słyhać, jak z dołu, z najgłęb-

264

szych korzeni, zaczynają tryskać soki, jak zaczynają krążyć w pniach, jak jakaś siła przetacza je w konary i gałęzie. Soki nakarmią pąki, obudzą się więc wkrótce, na wiosnę, która się zbliża. Pąki popękają, wyrosną z nich młode zielone listki, rzucają się bazie, zakwitną kwiaty — białe, różowe, czerwone, żółte. Słońce wiosenne zaświeci, ptaki zaczną ćwierkać, pszczoły brzęczeć, trawa zazieleni, zakwitną krokusy.

Słuchajcie, dzieci, jak się drzewa budzą!

Przez cały ten czas dzieci były nieruchome, jakby zaczarowane głosem ojca. Żadne się nie ruszało. W pokoju było ciepło i cicho. Przez otwarte okno wchodziło świeże, chłodnawe powietrze. Płomyki świec gięły się ponad owocami. Lśniły jabłka, żółciły się cytryny i pigwy, błyszczały pomarańcze. Owoce wydzierały też różne zapachy, a najprzyjemniejszy był aromat pigwy i konfitur z płatków róży, które znajdowały się na talerzyku przed Bencionem.

W okrągłym blaszanym piecyku trzaskał ogień.

— Posłuchajcie uważnie! — powtórzył ojciec.

Dzieci nastawiły uszu w stronę okna. Nasłuchiwały.

Zdawało się im, że wychwytyują dochodzącą z oddali cudowną muzykę.

Na dworze panowała cisza lutowej nocy.

— Czy słyszycie? — ojciec przerwał milczenie.

Odezwała się mała Lejka.

— Ja słyszę... słyszę... jak kwitnie róża pod oknem... Słyszę też, jak brzęczą pszczoły...

Kiedy Lejka wypowiadała te słowa, jej policzki były rozpalone, lśniły.

Matka łagodnie przesunęła ramię i objawszy dziewczynkę przycisnęła ją do siebie.

— Najdroższa moja! — zaszepiała, a w oczach stanęły jej łzy.

— Tak, słyhać — w chwilę później powiedział również ojciec. — Słyhać: kwiaty rozkwitają, pokrywają się płatkami jabłonie i grusze, migdałowce i morele, czereśnie i wiśnie, cytryny i pomarańcze, szumiące w liściach ciepłe wiatry roznoszą zapachy. Posłuchajcie uważnie, to właśnie pieśń soków, które dziś trysnęły z serc rozbudzonych drzew owocowych.

Słodka i cudowna jest aria tej pieśni. Słodka, jak słodki

265

jest sok pomarańczy, a cudowna, jak cudowny jest oddech róży.

Teraz zamknijmy okno. I póki się jeszcze palą świece, dzieci, każdego z owoców. I każdego zapagnijcie. Ale tak, żeby drzewa, które się obudziły, usłyszały was. One nie będą się mogły oprzeć waszym pragnieniom. Zaowocują kwitnieniem i owocami, a dary ich będą obfite. Proszę, dzieci, przedstawcie swoje pragnienia.

Cała trójka się poruszyła na swych miejscach, a następnie zawołała:

— Obrodzą czereśnie, boje dzieci lubią i radują się im!

Ojciec, zachęcony okrzykiem, kontynuował głośniejszym:

— Obrodzą śliwki!

— Obrodzą śliwki, boje dzieci lubią i radują się im! — mała trójka wołała po nim coraz swobodniej, coraz swobodniej powtarzała. Głos Lejki słychać było bardziej niż z początku, a Miko, zamykając oczy, odrzucał do tyłu głowę, jakby był w transie.

— Obrodzą jabłka!...

— Obrodzą jabłka, bo je dzieci lubią!

— Obrodzą gruszki!...

— ...gruszki, bo dzieci gruszki lubią!

Ojciec wziął talerz i w miarę jak wymieniał owoce — a owoce te były na stole — nabierał garść albo brał po jednej sztuce i kładł je na naczyniu.

Kiedy wymienili wszystkie owoce, które znali i które były na stole, ojciec poprosił do siebie Miko.

Chłopiec poderwał się z miejsca z wyciągniętymi rękami, w których trzymał kolorowy, rozsunęty już woreczek.

Ojciec powoli wsypał do niego owoce, a następnie znów się odezwał:

— Obrodzą czereśnie!...

Dzieci zawołały w uniesieniu:

— ...czereśnie, bo je dzieci lubią, bo przepadają za nimi!...

Aż do późnej nocy siedzieli przy stole i jedli. Dzieci gryzły owoce z trudem, bo miały pełne usta; co chwila obmacywały też woreczki, trzymane na kolanach. Ojciec 266

tymczasem, paląc i siorbiąc z filiżanki czarną kawę, przypominał sobie czasy swojego dzieciństwa.

Pierwsze swoje lata Bencion Albahari spędził w niewielkiej bośniackiej kasabie. Tutaj przestawał z chrześcijańskimi i muzułmańskimi dziećmi. Razem z nimi, zimą czy latem, biegał po polach, pagórkach i wzgórzach, buszował wśród krzaków i rokitnicy, która porastała brzegi potoków. Latem kąpał się w limanach i wspinając się na drzewa szukał ptasich gniazd, wyrzynał z wierzbiny puszczalki, zbierał jagody, przeskakiwał ploty, podkradał śliwki, a po zmroku ze wzgórza patrzył na kasabę, w której mrugały światła. Dokoła wznosiły się góry. Nad wszystkim rozpościerało się niebo. Migotały pierwsze gwiazdy, ukazywał się księżyc. Było cicho. Bencion puszczał kłęby dymu z papierosa. Pewien jesienny wieczór żywo utkwił mu w pamięci: Zbierano właśnie kukurydzę. Żółciły się liście, szumiał lekki wiatr. Muzułmański kolega Benciona leżał razem z nim pod orzechem w Polazniku. Była to równa płaszczyna nad potokiem, porośnięta niską gęstą trawą. Leżąc na wznak przez koronę orzecha patrzyli w niebo. Czasem pojedyncze duże liście, jasne i żółte po brzegach, odrywały się od gałęzi i opuszczały na ziemię.

„Przyszła jesień... — mówił Skender. Mówił tak, jakby rozmawiał sam z sobą. — Liście opadają. Za dzień, za dwa jaskółki wyruszą w daleką podróż. Zabraknie ich świergotu, który budził mnie każdego rana. Pozostanie puste gniazdo na dachu obok dymnika. Ciche będą poranki i wieczory. A kiedy spadnie śnieg, wszystko ogarnie spokój.”

Skender powiedział to zniżonym głosem, a potem zamilkł.

Wokół nich panowała cisza, strzygły tylko świeższe polne, skądś dolatywał gwizd kosa.

W chwilę później powtórzył: „Wszystko ogarnie spokój...” I znowu zamilkł.

Długo tak leżeli. A kiedy wstali i ruszyli do domu, Skender wziął kolegę pod rękę i rzekł:

— Słuchaj, Bencionie, co to może być? Jesienią jestem smutny. Zeszłej jesieni też byłem taki. Mam wrażenie, jakby dokoła mnie wszystko umierało.

Wtedy Bencion powiedział: „Nic nie umiera. Na wiosnę wszystko się znów obudzi do życia. Teraz drzewa się szykują do snu i będą w nim pogrążone do przedwiośnia. A wtedy przychodzi jeden dzień, kiedy zaczynają się budzić i budzą się...”

Podczas gdy ojciec tak rzewnie wspominał dawne dni, matka prosiła dzieci, żeby jadły, a małej Lejce sama łupała orzechy i podawała rdzeń.

Niektóre talerze były już puste, a niejedna świeczka dopaliła się i zgasła. Małej Lejce sklejały się oczki. Jej głowina coraz bardziej przechylała się ku przodowi. Drzemała. Walczyła jednak ze snem, nie chciała spać. Chciała zobaczyć, kiedy zgaśnie czerwona świeczka, która przed nią jeszcze się paliła. Ale wcześniej zmorzył ją sen. Matka ostrożnie objęła dziecko i wzięwszy ją w ramiona przeniosła na minder. Dziewczynka już spała. Nawet nie poczuła, kiedy matka ściągała jej buciki. Mocno jednak trzymała w ręce swój woreczek z owocami. Pocałowałwszy dziewczynkę w czoło, matka ją nakryła. Wkrótce położyli się też chłopcy; Bencion też się rozebrał i wyciągnął na wełnianym duszku.

Matka tymczasem posprzątała ze stołu, zaniósła do kuchni naczynia i resztki owoców, a następnie, zakasawszy rękawy, zabrała się do zmywania i wycierania naczyń, które potem kładła na swoje miejsce.

Była oszołomiona. Po trzecim kieliszku rakii zaczęło się z nią dziać coś dziwnego. Poczula rakię, ale jeszcze coś się jej przydarzyło. Dziwnie lekko było jej na duszy, serce zdawało się bić żywiej niż zazwyczaj. Robiło się jej ciepło, przyjemnie. Jasne promyki przenikały ją cudownym światłem, a płynąca z oczu dzieci radość strugami wlewała się do jej wnętrza. Ją też nawiedzały wspomnienia dzieciństwa. Zachwycające obrazy stawały przed oczami. Patrzyła na swojego dziadka, na jego gęstą długą brodę, na pomarszczoną twarz babci, patrzyła na ojca, matkę, braci, siostry. Widziała ich siedzących przy stole. A na stole były owoce. Trzymając na kolanach koszyczek czekała, kiedy dziadek wsypie do niego garść ucukrzonych migdałów, które wtedy tak lubiła pogryzać. „Obrodzą migdały!...” „Obrodzą migdały, bo je dzieci lubią!”

Robienie porządku w kuchni szło jej dziś tak łatwo. Ręce, jakby odmłodzone, zręcznie sięgały po talerze.

Miły głosik najmłodszego dziecka, jedynej córeczki, wciąż jeszcze brzmiał jej w uszach i wprawiał w zachwyty. O, ileż radości było w tym głosie, ile wyczuwało się w nim szczęścia, którym tchnie dzieciństwo.

Jak wibrował głos Lejki, jak się rumieniła jej twarzyczka, a oczy błyszczały!

Buena ciągle słyszała ten głos, jakby kuchnia była go pełna. Ale nagle, w chwili gdy wycierała ostatni talerz, wspomnienie głosu dziecka sprawiło, że poczuła dziwne ściśnięcie w krtani. Wstrząsnęła się, jakby wyrwano ją ze snu.

Kiedy się ocknęła, na jej twarzy nie było już ani śladu pogody. Padł na nią ponury cień. Przypomniała sobie siniórę Estere, sąsiadkę, która zaklinała kobiety: „Chowajcie te wiadomości przed dziećmi, chowajcie je, kochane, żeby się nie dowiedziały. Mogłyby ze strachu trupem paść.”

Pozostając pod wrażeniem wieści o prześladowaniach Żydów w Polsce, które przekazywano sobie szeptem i z rosnącym przerażeniem, sinióra Estera żyła w przeczuciu najokropniejszych wydarzeń, jakie czekają Żydów także tutaj. *

„Do nas też przyjdą ci oprawcy, zobaczycie! — mówiła. — Rozłączą mężów z żonami, dzieci z matkami, będą je mordować... podcinać im gardła...”

„Dzieciom naszym będą podcinać gardła, będą je mordować!” Te słowa Buena tyle razy słyszała od siniory Estery.

Teraz stała w kuchni jak skamieniała. „Będą mordować nasze dzieci? Nie, nie, to nie może być.”

Znowu usłyszała głos Lejki, głos Rafaela i Mika: „Obrodzą czereśnie!... czereśnie, boje dzieci lubią!”

Osunęła się na skrzynię. „Nie, nie, to nie może być! — rozbrzmiewało w jej wnętrzu. — Nikt, nikt nie podniesie ręki na dzieci, ani na dzieci, ani na starszych. Dlaczego mieliby to robić? Dlaczego?”

Główną ulicą przeciągały masy ludzi.⁴¹ Bencion Alba- hari też wyszedł ze swojego zegarmistrzowskiego war

Była już pozna noc. Cisza, która zaległa w kuchni, panowała wszędzie: na podwórzu, w ogrodzie, zaułku, sąsiedztwie — w całym mieście. Buena siedziała wśród tej ciszy sama jedna.

Zdawało się, że w całym otaczającym ją milczącym bezkresie niosą się słowa: „Nie, nie, to nie może być!”

Poczuła ciepło pokrytej rozczochranymi ciemnymi włosami główki, która tak niedawno spoczywała na jej ramieniu. Pochyliła się, jakby chciała musnąć policzkiem tę potarganą miękką czuprynę i rozgrzane czoło dziecka.

Po chwili znowu wstrząsnęło nią przerażenie. Czyżby to jej dziecko mieli zabić?

Po twarzy Bueny potoczyły się łzy. Ale zapłakać nie mogła.

Długo siedziała na skrzyni. Z trudem się podźwignęła. Zgasiła światło, przed drzwiami pokoju ściągnęła pantofle, weszła do środka. Na stole paliła się jeszcze owa duża biała świeca. Wszyscy spali. Spali przepelnieni radością. Czy Bencion także? Kto wie? Może on też nagle wyrwał się ze swoich wieczornych marzeń, jak ona. Może leży bezsenny. Może jego duszą też targa ból. Ale dzieci, dzieci są pełne radości. Dzieci śpią, ich sny będą pogodne.

„Powoli, powoli... — mówiła Buena w duchu — nie wolno mi jakimś nieopatrzonym ruchem napelnić niepokojem dziecinnych serc...” Zgasiła świecę, ułożyła się na posłaniu. Zrobiła to tak cicho, jakby na posłanie padł ciemny długi cień.

Tylko serce Bueny biło. Biło mocniej niż niewielki zegar ścienny, na którym w ciemnościach wskazówki i cyfry świeciły zielonkawym, słabo widocznym światłem.

Tik-tak, tik-tak...

Było już po północy, kiedy zasnęła.

sztatu. Nie wiedząc, co to się dzieje, opuścił metalowe żaluzje i pośpieszył na róg. W tym miejscu stało już sporo kobiet, dzieci, mężczyzn. Środkiem głównej ulicy szedł pochód. Niesiono flagi. Rozlegały się, raz po raz, okrzyki. Były różne, ale jeden najbardziej poruszył Benciona: „Lepszy grób niż niewola!” Z początku go nie rozumiał, powtarzał więc w duchu: „Lepszy grób niż... niż... niewola. Niewola. Niewolnik. Co to znaczy: niewola, niewolnicy, niewolnik?” Miał wrażenie, że słyszy te słowa po raz pierwszy w życiu. „Niewola, niewolnik. Niewolnik?.. Ach, to przecież: sclavo...” — przetłumaczył sobie na hiszpański. „A co znaczy: sclavo?” — wyrosło przed nim nowe pytanie. Szybko jónak przypomniał sobie Hagadę i zdanie z niej: „I byli niewolnikami w ziemi Egipcie...” Zaraz potem pamięć podsunęła mu pewien obrazek z tej księgi, obrazek przedstawiający gromadę wychudzonych ludzi w łachmanach, którzy dźwigali głazy do budowy jakiegoś gmachu i ciągnęli belki, podczas gdy z boku pilnowało ich dwóch rośliwych drabów. Z rozkraczonymi nogami, z rękawami zawiniętymi po pachy, prężąc muskularne ramiona, smagali biczem... niewolników... „I byli niewolnikami w ziemi Egipcie...”

Teraz już było dla niego jasne, co to znaczy: Lepszy grób niż niewola... Wciąż jednak niezupełnie pojmował prawdziwy sens tego hasła. Myślał więc dalej: To pewnie znaczy, że lepiej umrzeć, lepiej gnić w grobie, niż żyć jako niewolnik. Ale w tym miejscu znowu pobłądził, jakby się zaplątał, jakby po omacku brnął w ciemnościach i nie wiedział, jak z nich wyjść. Czy śmierć może być lepsza od życia wtedy, kiedy życie jest ciężkie, pełne udręki, straszne? Bencion Albahari łączył kółko z kółkiem, trybik z trybikiem, zespałał je, przykręcał, wiązał, dopasowywał, ale w dalszym ciągu coś było nie w porządku. Werk tego zegarka w żaden sposób nie chciał się poruszyć, odezwać biciem. Gdy się zaś nad tym wszystkim zastanawiał, tuz obok rozległ się zachrypnięty, lecz silny głos: „Racja! Lepsza wojna niż pakt! Niech żyje wojsko!”

Ten okrzyk szarpnął Bencionem Albaharim i jakby ostatecznie go rozbudził.

Zaczął patrzeć na człowieka, który rzucił hasło. W owej właśnie chwili przeciskał się, usiłując dołączyć do pierwszego szeregu tłumu, co narastał i zbijał się w głębi uliczki, przy skrzyżowaniu z główną arterią, którą sunął długi pochód. Człowiek ów był nie ogolony, o rozczochranych włosach, w czarnym pogniecionym kapeluszu z dużym rondem. Ruszał zamasyżycie rękami i unosząc kapelusz wołał: „Niech żyje wolność!” „Niech żyje!” — inni też wołali.

„Lepsza wojna niż pakt! Niech żyje wojsko! Niech żyje wolność!” t— błyskawicznie przelatywało Bencionowi przez głowę. Dopiero teraz, jak się zdaje, jego zegarek zaczął chodzić. Dopiero teraz dla Benciona wszystko stało się jasne. Ogólne podniecenie i jemu się udzieliło. Wokół niego narastała jakaś siła. Poczuł, że w owej chwili coś się poruszyło. To zaczęło bić także jego serce. „Niech żyje!...” — on również chciał zawołać, dołączyć do innych, ale w żaden sposób nie mógł dobyć z siebie głosu.

Tymczasem obok niego przechodziła fala, która głośno wykrzykiwała hasła. Unosząc się na palcach, żeby coś dojrzeć pomiędzy głowami gapiów, którzy cisnęli się stojąc przed nim, zobaczył robotników z warsztatów kolejowych. Poznał, że to oni, gdyż był wśród nich Naum, syn siniory Behary. „Precz ze zdrajcami narodu!” — rozbrzmiewał potężny głos. „Precz!” — odpowiadały setki głosów z pochodu i spośród ludzi, którzy stali na chodnikach. Rozległy się też słowa — Bencion Albahari słyszał je wyraźnie —■ „Niech żyje walka!” Tak zawołał Naum. Zawołał donośnie. Po nim huknęło: „Niech żyje!...”

Głośno też zagrała muzyka.

„Naum!”

Potem, siedząc przy stole w swoim zakładzie, Bencion długo nie mógł z powrotem zabrać się do pracy.